

PO CO NAM TO BYŁO
Trudno czuć ulgę
po zmianie ustawy o IPN

KS. TOMÁŠ HALÍK
Rozmowa życia: lubię
wszystko, co robię

MUNDIAL BEZ WSTYDU
Piłka nożna jako
kultura wysoka

KURS NA WAKACJE
O wyprawie przez morze
– nasz cykl na lato

Kraków 8 lipca 2018 nr 28 (3600)

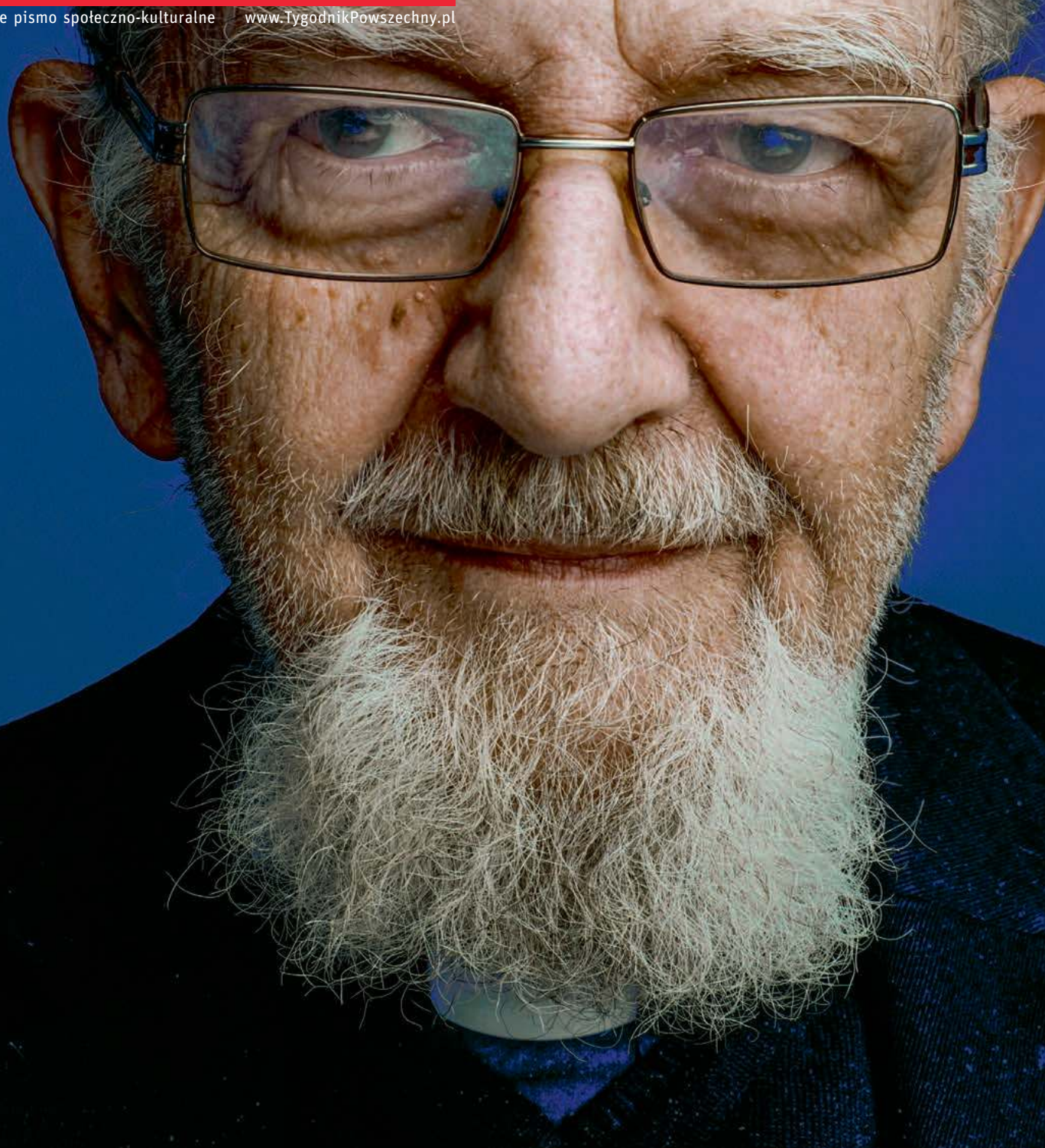
cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Ks. Adam Boniecki Dlaczego słabnie wiara Polaków



Festiwal
Stolica Języka
Polskiego

Skamandryci

5 sierpnia — 11 sierpnia
Szczeczeszyn 2018

5 sierpnia 2018
Dzień Zamojski

Cała nadzieja
w literaturze

MECENASEM FESTIWALU JEST
 ALIOR BANK



WSPARCIE FINANSOWE
 IV EDYCJI

**Ministerstwo
 Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego**
Infrastruktura ze środków Ministra Kultury
 i Dziedzictwa Narodowego



PARTNERZY
 MEDIALNI



KS. ADAM

Boniecki: Chwiejne, czyli żywe

SIEDEMDZIESIĄTE URODZINY KSIĘDZA HALÍKA TO okazja, której nie mogą zmarnować.

Kim jest, opowiedział sam w wydanej ostatnio książce „Czy to było życie?”. Opowiedział też nieco o sobie w zamieszczonym w tym numerze wywiadzie – udzielonym z tejże okazji – czeskiemu piśmie „Lidové Noviny”. W Polsce wiemy, kim jest. Mamy wszystkie jego książki przełożone na nasz język. Były rozchwytywane jak świeże bułeczki. Spotkania z księdzem Halíkiem w Polsce przyciągają tłumy, a nazywanie go „czeskim Tischnerem” świadczy o tym, że uznaliśmy go za swojego, jako że Tischner jest u nas swoim tak bardzo, że bardziej być swoim już się nie da.

Godzi się więc na 70. urodziny powiedzieć księdzu Tomaszowi, dlaczego jest dla nas ważny.

Jest ważny, bo jest księdzem-myślicielem. Mamy wielu księży-uczonych, profesorów, pisarzy, nauczycieli i pasterzy różnych stopni. Myślicieli jakoś mniej. Myśliciel, jak wiadomo (ze słownika), to „człowiek dążący do poznania i rozumienia rzeczywistości, poszukujący prawdy o życiu, ludziach i świecie”.

Jako taki ks. Halík nie powiela znanych pobożnych schematów. Stawia pytania, w których znajdujemy własne pytania, szuka odpowiedzi, których my szukamy, jest w ich formułowaniu odważny wtedy, kiedy nam brakuje odwagi. Wykłada, publikuje artykuły, nie stroni od wypowiedzi w środkach przekazu, ale książki pisze w nadreńskiej pustelni. Przebywa tam odcięty od świata pięć tygodni w roku i pisze przed Najświętszym Sakramentem, który – jak mówi – stawia na ołtarzu przed biurkiem, przy którym pracuje.

Wszelkstronnie wykształcony, był jako tajny ksiądz terapeutą w klinice dla alkoholików i narkomanów. Teraz pracuje na Uniwersytecie Karola w Pradze i jest duszpasterzem akademickim. Połączenie kapłaństwa z zawodem cywilnym uważa za model, do którego Kościół za jakiś czas wróci. Może dzięki temu, że żyje nie tylko w mikrokosmosie kościelnym, jego książki, choć o tematyce religijnej, ale nie „książki pobożne”, przemawiają także do zlaicyzowanego czytelnika.

We wspomnianym wywiadzie informuje, że ostatnio się przyłączył do inicjatywy wspierania reformatorskiej myśli pa-



pieża Franciszka. Wraz ze znanym naszym czytelnikom ks. prof. Paulem Zulehnerem zwerbowali do tej akcji 1400 profesorów teologii i mnóstwo innych osób z całego świata.

Jeśli ksiądz Halík mówi w wywiadzie, że „chrześcijaństwo to kolejne reformacje” i że „musi być [ono] otwarte dla wszystkich”, to natychmiast dodaje: „Jezus realistycznie powiedział, że jest to stroma i wąska ścieżka, którą kroczą nieliczni. Przypowieść o soli – mówi dalej ks. Halík – także nie jest wezwaniem do chrześcijaństwa masowego”.

Zwracam na to uwagę w związku ze znajdującym się w tym numerze artykułem Piotra Sikory o sekularyzacji Polaków. Tak bardzo przywykliśmy do naszej katolickiej masowości, że w głowach się nam nie mieści, iż z tą masowością moglibyśmy się kiedykolwiek rozstać. A to właśnie zdają się zapowiadać omawiane w artykule Piotra Sikory badania.

Prognozy to nie ślepe przeznaczenie. Bo jednak tymczasem są Polacy, którzy rozchwytyują książki ks. Halíka, szukają kościołów i duszpasterstw, w których się mogą odnaleźć, zapęnlają liczne domy rekolekcyjne i licznie uczestniczą w wielkopostnych rekolekcjach. W dobie kryzysu wiary rośnie zapotrzebowanie na księży Halików, ale też na prostych świadków wiary takich jak ks. Kaczkowski. Nie słabnie zapotrzebowanie na „kościół dominikanów” (w cudzysłowie, bo nie muszą to być dominikanie, chodzi o styl). Tak więc kryzys, na który wskazują badania Pew Research Center i o którym pisze Piotr Sikora, może, choć nie musi się okazać dla naszego katolicyzmu łaską przebudzenia.

Podsumowując, wróćmy do księdza Halíka. „Kilkakrotnie w ostatnich latach osobiście się zachwiało moje serce, mój wewnętrzny duchowy świat, moje kapłaństwo. Tak, nieraz musiałem się przed sobą przyznać, że moja wiara się chwieje – aby zaraz potem uświadomić sobie i doświadczyć, że w tym zachwianiu był Bóg (...) To, że nasze serce nie jest niezachwiane, znaczy również, że nie jest z kamienia, to, że nasza wiara (w najszerszym możliwym sensie tego słowa) nie jest niezachwiana, może po prostu znaczyć, że jest żywa. Boję się ludzi o niezachwianych przekonaniach” (z książki „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe”).

©P

TP

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

KRASNOGRUDA, niedziela, 8 lipca, godz. 18.00

Temat: „Kościół wobec wolności i solidarności”.

Miejsce: Kawiarnia „Piosenka o porcelanie” (Krasnogruda 14, Sejny).

Podczas spotkania będzie można kupić książki.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Polska bez sądu
MARCIN MATCZAK

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

30 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Wojna na słoiki
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *O co naprawdę walczą Jaki i Trzaskowski*

24 Po co nam to było
PAWEŁ BRAVO: *Po zmianie ustawy o IPN trudno czuć ulgę*

26 Izrael ustąpił Polsce
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Izraelskie media: Netanjahu uznał polską narrację o II wojnie światowej

27 Plebiscyt dla samobójców
KLAUS BACHMANN: *Kto niszczy Unię*

■ ■ WIARA

32 Lubię wszystko, co robię
ROZMOWA Z KS. TOMÁSEM
HALÍKIEM: *Żle znoszę wysiłki „obrońców naszej chrześcijańskiej cywilizacji”*

36 Jak nie zdradzić tajemnicy
MACIEJ MÜLLER: *Kościelne akta a osoby adoptowane*

38 Co to znaczy „Abba, Ojcze”
JÓZEF MAJEWSKI: *Bóg to nie „tatus”*

■ ■ ŚWIAT

42 Bierz ciało, póki dają
MONIKA ANDRUSZEWSKA
o matkach zaginionych żołnierzy

46 Rosja pod narkozą mundialu
ANNA ŁABUSZEWSKA

49 Niewidzialne kobiety
AGNIESZKA PIKULICKA-
-WILCZEWSKA:
Liban, współczesne niewolnictwo?



BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Polska niekatolicka
PIOTR SIKORA

Badania socjologiczne wskazują, że Polska jest najszybciej sekularyzującym się krajem świata. A może ujawniają tylko, że nasza religijność jest w swej istocie pozorem.

14 Wspólnota stęsknionych

ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM:

Proces sekularyzacji nie zaczął się dopiero teraz. Raczej ujawnia się coś, co od dawna istniało. Jestem przekonany, że proces laicyzacji będzie postępował, ale to nie znaczy, że Kościół zaniknie.

■ ■ FELIETONY ■

41 SZYMON HOŁOWNIA

51 WOJCIECH BONOWICZ

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KS. ADAM BONIECKI

Fotografia: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

■ ■ HISTORIA

52 Droga do raju zaczyna się w górach
KAROL FRYTA: *Jak wódz kaukaskich górali stworzył państwo*

■ ■ NAUKA

56 Grupa wpływu
SZYMON OSMOLA: *Presja otoczenia może nas zmusić do działania wbrew rozsądkowi*

■ ■ ROZMOWA

58 Kędziory Pana Boga
ROZMOWA Z JOANNĄ GOMUŁKĄ:
Przestałam reagować na rzeczy, które ludzie wygadują. Ale cały nagromadzony gniew we mnie jest.

■ ■ KULTURA

64 Kto nie dotknął piłki ni razu
MICHAŁ OKOŃSKI: *Mundial i futbol to także fenomeny kulturalne*

68 Żli i przymilni
ROBERT KASPRZYCKI: *Melodyjny bunt Rolling Stonesów*

72 Okrutny mistyk ma głos
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Zrobiliśmy ze Słowackiego Kapitana Amerykę*

74 Scenariusz upadku
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Whitney”

75 Warto zobaczyć w TV

76 Starość i eros
LEKTOR o książce Tanizakiego
„Dziennik szalonego starca”

■ ■ ZMYŚŁY / WAKACJE

78 Choroba na morze
ROZMOWA Z MATEUSZEM
JANISZEWSKIM, LEKARZEM,
PISARZEM I PODRÓŻNIKIEM:
Heroizmem jest właśnie to, że z wyprawy się wraca i żyje dalej

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Michał Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosowski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz
Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotorecenzja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



POLSKA BEZ SĄDU

Tak zwane reformy sądownictwa przyniosły ogrom szkód i żadnej widocznej korzyści. A będzie jeszcze gorzej.

MARCIN MATCZAK

AUTORYTARYZM W HISTORII ZAWSZE ZACZY-
nał się od usunięcia niewygodnych sędziów. U nas też tak będzie: z wejściem w życie nowych przepisów ustawy o Sądzie Najwyższym (zaczynają obowiązywać 3 lipca) prawie 40 proc. jego sędziów będzie musiało odejść ze swoich stanowisk, wbrew ich jasno wyrażonej woli. Działanie takie jest powszechnie uznawane za naruszenie niezależności sądownictwa i prawa do sprawiedliwego procesu. Komitet Praw Człowieka ONZ stwierdza, że obniżenie wieku emerytalnego sędziów z efektem wstecznym narusza niezależność sędziów, ponieważ jest równoznaczne z pozbawieniem ich urzędu i wypchnięciem tylnymi drzwiami.

Warto to podkreślić: rząd twierdzi, że Konstytucja daje parlamentowi możliwość ustalenia wieku emerytalnego sędziów. To prawda. Ale ta sama Konstytucja nie pozwala tego robić w sposób, który jest zmianą zasad gry w trakcie jej trwania. Nowy wiek emerytalny politycy PiS mogą sobie dowolnie wprowadzić w odniesieniu do kilkudziesięciu nowych sędziów, których zależna od nich Krajowa Rada Sądownictwa powoła do Sądu Najwyższego. To powołanie samo jest zresztą atakiem na sądownictwo – przypomina znaną z historii próbę prezydenta Roosevelta „napakowania” Sądu Najwyższego nowymi sędziami, żeby stanowili przeciwwagę dla tych, z których decyzjami się nie zgadzał. Roosevelt

*Protest
przed Sądem
Okręgowym
w Gdańsku
przeciw
upolitycznianiu
wymiaru
sprawiedliwości,
czerwiec 2018 r.*

→ nie przeprowadził tego niecnego planu. PiS i prezydent Andrzej Duda nie mają w tym zakresie żadnych oporów. Dzięki temu uzyskają wpływ na postępowania dyscyplinarne wobec wszystkich polskich sędziów oraz na ocenę legalności wszystkich polskich wyborów.

Pisząc ten tekst, nie wiem, jak potoczą się kluczowe wydarzenia 3 i 4 lipca. Czy będą dramatyczne, czy spokojne? Czy cofną się sędziowie, czy politycy? Czy zdarzenia te będą końcem oporu, czy początkiem rewolucji? Wiem jedno: tzw. reformy sądownictwa przyniosły ogrom szkód i żadnej widocznej korzyści. Zniszczyły wizerunek Polski za granicą, zdegradowały nas jako członka Unii Europejskiej, ściągnęły na nas krytykę organizacji odpowiedzialnych za ochronę praw człowieka: Rady Europy i ONZ; krytykę, która dotąd była kierowana wobec państw takich jak Białoruś czy Rosja.

Co pojawia się po stronie pozytywów? Nowi ławnicy w SN, którzy według swoich własnych słów uczyli się różnic między dobrem a złem od trzylatków? Opóźnienie w ekstradycji podejrzanych z zagranicy, które będzie zapewne efektem orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości w tzw. sprawie irlandzkiej? Wszystko wskazuje na to, że nowy Sąd Najwyższy pójdzie w ślady „reformowanego” Trybunału Konstytucyjnego. Ten ostatni pracuje obecnie niemal o połowę wolniej niż przed reformami i nie tylko nie przeszkadza w demontażu państwa prawa, ale aktywnie w nim pomaga. Sąd Najwyższy, zalany skargami nadzwyczajnymi oraz obowiązkiem rozpatrywania niemal każdej sprawy do niego kierowanej w efekcie likwidacji tzw. przedsądu, jest na tej samej drodze. A będzie musiał pracować bez swoich najbardziej doświadczonych sędziów.

Fiasko tzw. reform sądownictwa wynika z faktu, że niszczenie niezależnych sądów jest zawsze niszczeniem państwa. To, że unijny komisarz Frans Timmermans rozumie to lepiej od polskich polityków, nie napawa optymizmem. Jeżeli sami nie zrozumiemy powagi sytuacji, biernie oczekując na zewnętrzną pomoc, będzie to oznaczać, że nie dojrzeliliśmy do demokracji i prawnego państwa.

© MARCIN MATCZAK

Autor jest prawnikiem, profesorem UW.

W SKRÓCIE

ALBUM. Nakładem Wydawnictwa Sejmowego ukazał się album „Wizyta na Litwie Marszałka Sejmu RP Marka Kuchcińskiego z okazji 630. rocznicy chrztu Litwy: 26 września 2017”. Wydanie każdego egzemplarza (40 stron w rozmiarze 26 na 36 cm, na większości fotografie marszałka) kosztowało 750 zł – ustaliła „Rzeczpospolita”.

NOBEL. Czekamy na album ze zdjęciami prezesa PiS, wydany przez „Gazetę Polską”. Jej szef Tomasz Sakiewicz napisał na Twitterze, że Benjamin Netanjahu i Jarosław Kaczyński powinni dostać za wspólną deklarację walki z antysemityzmem i antypolonizmem pokojowego Nobla, i że „nikt nie zrobił tyle dla przełamывania stereotypów i wzajemnych uprzedzeń oraz budowania pomostów pomiędzy narodami”, co ci dwaj politycy. Do tej pory wydawało nam się wprawdzie, że deklarację z premierem Izraela wydał Mateusz Morawiecki, ale kilka fotografii powinno nas przekonać.



RADEK PIETRUSZKA

ODLOT. Zwłaszcza że o tym, kto tu rządzi, przypomniła prezentacja nowych samolotów PLL LOT, pomalowanych z okazji stulecia niepodległości w biało-czerwone barwy. W trakcie uroczystości – która, jak twierdzi Radio Zet, uniemożliwiła rejsowy lot jednej z maszyn do Toronto – wicepremier Piotr Gliński odczytał list prezesa PiS, który pogratulował LOT-owi wspianego pomysłu.

WYLOT. Nie będzie najprawdopodobniej albumu z występu Polaków na mundialu. Odpowiedź na pytanie, dlaczego, wydaje się prosta. Przed mundialem Jarosław Kaczyński zapowiadał wprawdzie, że „jak zawsze kibicuje polskiej drużynie”, ale drużynie ewidentnie zabrakło jego gospodarskiego oka. Za pewne pocieszenie może służyć fakt, że nowelizację ustawy o IPN przeprowadzono przez Sejm w 90 minut, czyli tyle, ile trwa mecz.

Bez licencji na okradanie

MAREK RABIJ



BANKOWI NIE WOLNO DZIAŁAĆ NA NIEKORZYŚĆ klienta, nawet jeśli ten ostatni się na to zgodzi – do tego sprowadza się orzeczenie sądu w najciekawszej, jak na razie, sprawie o tzw. kredyt frankowy. W sporze, który toczył się dotąd wokół procedur, pojawiły się także wartości.

Wyrok katowickiego sądu dotyczy kredytu hipotecznego na 150 tys. zł, zaciągniętego w 2008 r. – czyli w chwili, gdy frank szwajcarski był w Polsce rekordowo tani. Klienci spłacali go bez opóźnień do 2015 r., gdy w umowie doszukanali się tzw. klauzuli niedozwolonej. Sąd pierwszej instancji przyznał im rację, ale bank się odwołał. Wyrok apelacyjny znów zapadł na korzyść kredytobiorcy, choć tym razem sąd nie miał zastrzeżeń do któregoś z punktów umowy. Odrzucił ją w całości, gdyż – jak czytamy w sentencji – kształtowała ona „prawa banku i obowiązki powodów w sposób sprzeczny z dobrymi obyczajami, rażąco naruszając interesy powodów jako konsumentów”. Bank, zdaniem sądu, działał z premedytacją na niekorzyść klientów, a prawa do tego nie daje mu nawet ich podpis pod umową. Nie jest ważne, czy kredytobiorca rozumie, na jakie warunki przystaje. Kluczowe jest to, czy warunki banku są zgodne z prawem i dobrymi obyczajami. © P

Twarde negocjacje lekarzy rodzinnych – dogrywka jesienią

30 CZERWCA skończyły się kontrakty podpisane przez NFZ z placówkami podstawowej opieki zdrowotnej. Lekarze rodzinni nieraz już wykorzystywali taką okazję, by negocjować zwiększenie finansowania. W trwających cały czerwiec rozmowach lekarze podkreślali, że ostatnie zmiany w planie finansowym NFZ na 2018 r. są dla nich krzywdzące: inne sektory zasilono kwotą 1,5 mld zł, POZ nie. A to grozi odpływem personelu do szpitali czy opieki specjalistycznej i katastrofą kadrową.

Prezes NFZ przedstawił ostatecznie zarządzenie, które w znikomym stopniu zaspokoilo oczekiwania lekarzy. 29 czerwca dwie najważniejsze organizacje lekarzy rodzinnych – Porozumienie Zielonogórskie i PPOZ – zgodziły się na podpisanie kontraktów, ale tylko na trzy miesiące. Oznacza to powrót do negocjacji jesienią, w środku kampanii wyborczej. Konflikt w ochronie zdrowia i groźba odcięcia pacjentów od opieki lekarzy pierwszego kontaktu będą wtedy ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałby rząd. © P MACIEJ MÜLLER

UE ogranicza migrację, rząd RFN w chaosie

NAWET JEŚLI USTALENIA, które przywódcy UE przyjęli w ubiegłym tygodniu na szczycie nt. imigracji nie zostaną w pełni zrealizowane, kierunek jest jednoznaczny: Unia chce ograniczyć napływ imigrantów i objąć ściślejszą kontrolą tych, którzy już przybyli. Kryzys migracyjny ostatnich lat i jego skutki – wyborcze sukcesy partii obiecujących zatrzymanie imigracji (Włochy, Austria itd.) i zaostreżenie polityki w innych krajach (nie tylko na Węgrzech, także w rządzonej przez lewicę Szwecji) – sprawiły, że UE chce wzmocnić granice zewnętrzne, a imigrantów „grupować” w obozach w Afryce Północnej. Efekty szczytu doprowadziły rząd Niemiec na krawędź upadku: szef MSW Horst Seehofer (lider bawarskiej CSU) uznał je za „nieskuteczne” i zagroził dymisją. Do zamknięcia tego numeru, „TP” ważył się los Seehofera, rządu i samej kanclerz Merkel. © WP

Trump obsadza Sąd Najwyższy USA

81-LETNI ANTHONY KENNEDY, sędzia Sądu Najwyższego USA, przeszedł na emeryturę. To ważne, gdyż ten sędzia o poglądach centrowych często miał wpływ na ostateczną decyzję 9-osobowego Sądu. Jest niemal pewne, że jego następcą będzie konserwatysta, co daje konserwatystom stałą przewagę.

Obstrukcjonizm Partii Republikańskiej w Senacie za drugiej kadencji Obamy przyniósł efekty: dzięki tej taktyce obecny prezydent Trump mógł nominować także następcę Antonina Scali (zmarłego jeszcze przed wyborami prezydenckimi) i ponad stu sędziów niższych sądów federalnych. W ten sposób Trump może pośrednio wpłynąć na linię orzecznictwa SN na całe dekady.

W tle emerytury Kennedy'ego mający też rosyjskie śledztwo FBI: syn sędziego, ważny menadżer Deutsche Bank (będącego pod lupą śledczych z powodu prania brudnych rosyjskich pieniędzy), udzielił Trumpowi ponad miliona dolarów pożyczki, gdy inne banki odmawiały. © JAN SMOLEŃSKI

Syria: nowa ofensywa, nowi uchodźcy

MARCIN ŻYŁA Z JORDANII



GDY W NIEDZIELĘ WIECZOREM TELEWIZJA CNN nadawała spod stadionu Łużniki w Moskwie relację z wygranej Rosji na mundialu, doktor Yaroup Ajlouni, prezes jordańskiej organizacji humanitarnej JHASI, pędził autem nad syryjską granicę. Miał sprawdzić, jakie skutki wywołują inne niż sportowe zwycięstwa Rosji. Blisko miasta Dżabir, na „ziemi niczyjej” między postępkami celnymi, Yaroup zobaczył, jak



Ewakuacja ciężko rannego Syryjczyka. Granica syryjsko-jordańska w Dżabir. 1 lipca 2018 r.

jordańska armia wznosi szpital polowy. Lekarze poprosili go o użyczenie ambulansu, bo, jak mówili, tuż za ogrodzeniem czeka 20 tys. Syryjczyków. Wszyscy uciekli z nadgranicznego regionu Dara, który od kilku dni atakują armia Asada i właśnie rosyjskie lotnictwo.

Dara – prowincja i miasto o tej samej nazwie, gdzie siedem lat temu, od aresztowa-

nia nastolatków wypisujących na murach hasła przeciw prezydentowi Asadowi, zaczęła się syryjska rewolucja – jest przedostatnim regionem kraju kontrolowanym przez oddziały opozycji. Celem ofensywy rządowo-rosyjskiej jest m.in. odcięcie im dostępu do granic z Jordanią i Izraelem. Dla uciekających przed rakietami i bombami beczkowymi cywilów (ONZ informuje o 270 tys. uciekinierów) te dwa kraje są teraz jedynym ratunkiem. Ale oba odmawiają wpuszczenia nowych uchodźców. Skala cierpienia cywilów może przewyższyć tragedię Aleppo i wschodniej Ghuty – ostrzega Staffan de Mistura, wysłannik ONZ ds. Syrii.

Doktor Ajlouni mówi „Tygodnikowi”: „Jordańscy oficerowie w Dżabir prognozują długą kampanię. Słyszałem bombardowania. Niektórzy Syryjczycy próbowali nocą, bez skutku, przejść granicę na pustyni. Można było ich zobaczyć, jak w terenie znanym z obecności węży i skorpionów oświecali sobie drogę telefonami. 20 najciężiej rannych, w tym kilkoro dzieci, przewieziono do szpitala w Jordanii, ale są tam pilnowani i po wszystkich wrócić do Dżabir. W nocy z niedzieli na poniedziałek uciekinierom posłano koce, ubrania i mleko”.

Dzieje się to po cichu. Władze w Ammanie nie chcą, by informacje o pomocy skłaniały uciekających z Dary do szukania azylu w Jordanii, gdzie już teraz przebywa 670 tys. Syryjczyków.

Minionej niedzieli z obozu uchodźców Zaatari (gdzie na pustyni kilometrami ciągną się kontenery mieszkalne) widać było startujące z pobliskiej bazy jordańskie myśliwce. Kilkanaście kilometrów dalej Rosjanie bombardowali syryjską wieś Tafas. Parę minut wcześniej kilkuletnia Syryjka pokazywała nam, jak – z braku zeszytu – uczy się pisać na ścianie kontenera. Ona, jej rodzina i 79 tys. innych ludzi z obozu Zaatari zostaną w Jordanii jeszcze wiele lat. ©P

Za tydzień opublikujemy relację naszych dziennikarzy z granicy jordańsko-syryjskiej.



MARCIN ŻYŁA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM – w środę 4 lipca o godz. 15.20, podczas łączenia na żywo z Jordanii opowie o uchodźcach syryjskich. | 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce – www.tokfm.pl

Nacjonalista nie jest patriotą

MACIEJ MÜLLER



WSETNĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODległości życie Kościoła w Polsce zabarwiło się jeszcze bardziej niż zwykle tematyką narodową. Biskupi, widząc, jak wzmożenie patriotyczne wpływa na pielgrzymowanie, wydali dokument w tej sprawie.

Tekst potępia „manifestowanie nienawiści względem grup politycznych”, do których dochodzi podczas pielgrzymek, szczególnie na Jasną Górę. „W przestrzeni świętej nie ma miejsca na symbole grup wzbudzających spory w społeczeństwie i doprowadzających do podziału wspólnoty Kościoła” – czytamy. Biskupi przypominają o tradycjach polskiego patriotyzmu, otwartego na różnorodność etniczną i kulturową. „Prawdziwy patriotą (...) nie ulega agresji i instynktom nakazującym wykluczanie i stygmatyzowanie społeczne innych osób, różniących się światopoglądem, wiarą, pochodzeniem etnicznym czy odcieniem skóry. (...) Nacjonalista nie jest więc patriotą” – piszą.

To kolejne po dokumencie „Chrześcijański kształt patriotyzmu” z 2017 r. stanowisko Episkopatu jednoznacznie krytykujące postawy nacjonalistyczne. ©P

Interkomunia po niemiecku

DYSKUTOWANY w niemieckim Episkopacie dokument o komunii dla małżeństw mieszanych ujrzał światło dzienne. Publikację przyjętej w lutym większością głosów „Pomocy duszpasterskiej” zablokowało wówczas siedmiu biskupów, którzy odwołali się do Watykanu. „Dokument nie jest na tyle dojrzały, by nadawał się do opublikowania” – napisał 4 czerwca prefekt Kongregacji Nauki Wiary abp Luis Ladaria. Franciszek wyjaśnił później, że publikacja przedstawiona jako głos Episkopatu groziła uczynieniem z komunii dla niekatolików normy ogólnokościelnej, tymczasem zgodnie z prawem kanonicznym jest ona w gestii biskupa diecezjalnego. I jako pomoc dla takiego biskupa dokument przedstawia teraz Rada Stała niemieckiego Episkopatu.

©P ARTUR SPORNIK

W SKRÓCIE

DOMINIKAŃSKA PLATFORMA WIDEO. O. Adam Szustak ogłosił, że w ciągu najbliższych miesięcy portal dominikanie.pl zamieni się w „teologiczno-kaznodziejsko-duszpasterską” platformę wideo, gdyż filmy są „najlepszą formą do głoszenia Słowa Bożego w dzisiejszym świecie”. Do tego celu dominikanie wynajęli w Warszawie studio filmowe. Pomysł sfinansuje powołana przez zakonników fundacja zbierająca datki na ten cel, a platforma ma ruszyć w grudniu.

ADMINISTRATOR DÓBR.

Franciszek mianował nowego prefekta Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej – został nim dotychczasowy sekretarz generalny Episkopatu Włoch, 69-letni biskup Nunzio Galantino. Zastąpił 75-letniego kard. Domenica Calcagna. Administracja Dóbr



MASSIMILIANO MIGLIORATO / CPP

Stolicy Apostolskiej zajmuje się zarządzaniem dobrami należącymi do Watykanu, które finansują funkcjonowanie Kurii Rzymskiej – pełni rolę centralnego banku Państwa Watykańskiego. W przeszłości wraz z Instytutem Dzieł Religijnych (IOR) Administracja była zamieszana w proceder prania brudnych pieniędzy.

O TERAPII DAREMNEJ. Zespół Ekspertów ds. Bioetycznych Konferencji Episkopatu Polski w nowym dokumencie tłumaczy, na czym polega terapia daremna i dlaczego nie wolno utożsamiać jej z eutanazją. „Jeżeli lekarz uczynił to, co tu i teraz możliwe wobec nieodwracalnie postępującego zanikania procesów życiowych pacjenta, to ani on sam, ani otoczenie nie może uznać za niemoralną decyzji o zaprzestaniu dalszej terapii”. Nie może to jednak oznaczać „opuszczenia pacjenta w zakresie podstawowych form opieki”, które doprowadziłyby do jego śmierci.



MAT. PRASOWE EPISKOPATU POLSKI

JAŁMUŻNIK PAPIESKI KONRAD KRAJEWSKI wraz z trzynastoma nowo mianowanymi kardynałami podczas konsystorza 28 czerwca odebrał z rąk papieża bullę nominacyjną i insygnia kardynalskie (pierścień, piasek i biret w kolorze purpurowym). Z tej okazji wydał on w Watykanie przyjęcie dla ok. 300 ubogich i bezdomnych. „Nie przyjechałem do ciebie, przyjechałem do biednych, bo to jest czysta Ewangelia” – powiedział papież nowemu kardynałowi, gdy niespodziewanie pojawił się w watykańskiej stołówce (na zdjęciu). W uroczystość św. Piotra i Pawła 29 czerwca nowi kardynałowie oraz mianowani w ostatnim roku arcybiskupi – w tym abp Grzegorz Ryś – uczestniczyli w mszy, podczas której papież poświęcił arcybiskupie paliusze. ©P ASK

Kolejne dymisje biskupów w Chile

PAPIEŻ PRZYJĄŁ KOLEJNE DWIE DYMISJE chilijskich biskupów. W maju podczas wizyty w Watykanie 34 biskupów chilijskich podało się do dymisji z powodu skandalu związanego z tuszowaniem przypadków pedofilii. W czerwcu Franciszek przyjął dymisję trzech biskupów, w tym Juana Barrosa oskarżonego o tuszowanie nadużyć seksualnych swojego mentora – ks. Fernanda Karadimy. Jedną z obecnych dymisji dotyczy biskupa również należącego do kręgu uczniów Karadimy – 64-letniego Horacia del Carmen Valenzueli Abarki. Drugim zdymisjonowanym biskupem jest 78-letni Alejandro Goić Karmelić. Jak podaje portal Vatican Insider, jego odejście związane jest z wiekiem, gdyż należał on do nielicznych biskupów niezamieszanych w pedofilskie afery. Ostatnio zawiesił w posłudze 15 księży (na 68 pracujących w diecezji) podejrzanych o uczestniczenie w siatce osób handlującą dziecięcą pornografią.

©P ARTUR SPORNIK

Stary Teatr: czas próby

POWOŁANIE JANA POLEWKI na stanowisko wicedyrektora ds. artystycznych Starego Teatru było większą niespodzianką niż jego odwołanie. Wniosek Marka Mikosa, dyrektora NST w tej sprawie, który w ubiegłym tygodniu zaakceptował minister Piotr Gliński, to efekt kilkumiesięcznych starań Rady Artystycznej, wyłonionej spośród aktorów NST (w jej skład weszli m.in. Anna Dymna, Dorota Segda, Roman Gancarczyk i Radosław Krzyżowski). Odwołanego wicedyrektora zastąpi Rada Artystyczna lub jeden z jej członków.

Oznacza to, że w sezonie 2018/2019 nie zobaczymy żadnej premiery, na którą nie zgodziliby się aktorzy. Dzięki temu Stary Teatr uniknie kompromitującej współpracy z takimi reżyserami, jak Alejandro Radawski, autor największej porażki kończącego się sezonu – spektaklu „Dom Bernardy A.”.

Do Starego wrócą też najlepsi reżyserzy, z którymi przedstawiciele Rady prowadzili rozmowy od wielu tygodni. Będą wśród nich Monika Strzępka i Paweł Demirski, Paweł Miśkiewicz, Krzysztof Garbaczewski czy Konstantin Bogomołow.



Przyszły sezon będzie czasem próby przede wszystkim dla aktorów. Zmęczeni walką o Teatr (wygraną – biorąc pod uwagę, że przełamali czas fatalnych decyzji lub ich braku) i jałowym sezonem, będą musieli we wrześniu zrealizować plan podwójnie: biorąc odpowiedzialność za to, co Stary Teatr zaproponuje swoim widzom, i jak te obietnice spełni.

© ANNA GOC

JANUSZ SZEWIŃSKI / REPORTER



W WIEKU 72 LAT ZMARŁA IRENA SZEWIŃSKA, najwybitniejsza polska lekkoatletka, siedmiokrotna medalistka olimpijska. Jej rekord świata w biegu na 400 metrów (49,29 sekundy podczas igrzysk w Montrealu w 1976 r.) zapewniałby złoty medal także na wielu igrzyskach XXI wieku. ©

Czysty przypadek dla każdego

W LIPCU DWA KRAJE, Chile i USA, a pod koniec roku jeszcze Brazylia, niezależnie od siebie uruchomią w sieci darmowe generatory losowych ciągów liczb. Upublicznione algorytmy będą wykorzystywać szumy w układach elektronicznych, atmosferyczne zakłócenia radiowe, mikrotřżenia ziemi, a nawet dane z transakcji kryptowalutowych i postów na Twitterze.

Po co to wszystko? Otóż współczesna technika stwarza ogromne zapotrzebowanie na losowość. Analizy i badania statystyczne, komputerowe symulacje fizycz-

ne, chemiczne, klimatologiczne czy ekonomiczne, loterie wizowe, gry losowe, a przede wszystkim bezpieczne algorytmy szyfrujące „karmią się” długimi ciągami liczb, na których przypadkowości bazuje ich bezstronność i skuteczność. Publiczne generatory mają stanowić swego rodzaju „certyfikowane źródła losowości”.

Trzeba dodać, iż o prawdziwą losowość wcale nie tak łatwo – nawet wymienione wyżej zjawiska, choć w praktyce nieprzewidywalne, mogą wykazywać subtelne regularności. Dlatego przyszłe publiczne generatory losowości (ich prototypy już działają) będą bazować na zjawisku kwantowego splątania, którego całkowita nieprzewidywalność jest, jak sądzimy, immanentną cechą przyrody.

© TOMASZ MILLER

Życie zaczyna się po 105-ce

ŁUKASZ KWIATEK



STARSI LUDZIE UMIERAJĄ CZĘŚCIEJ NIŻ młodszy – nie jest to żadna tajemna wiedza. Większość z nas pewnie intuicyjnie sądzi, że prawdopodobieństwo śmierci rośnie wraz z wiekiem, w starości coraz szybciej. Dotychczas wydawało się, że to prawda. Na przykład 30-latek ma około trzykrotnie większe szanse na przeżycie kolejnego roku niż 50-latek (umrze 1 na 100), zaś dla 90-latków prawdopodobieństwo zgonu w ciągu najbliższego roku wynosi już ponad 15 proc. (pisał o tym kiedyś Łukasz Lamża na tygodnikpowszechny.pl/10opolakow).

Opublikowane w „Science” badania Elisabethy Barbi i współpracowników sugerują jednak, że ryzyko śmierci nie rośnie w nieskończoność, tylko stabilizuje się, gdy osiągnąmy 105 lat – osoby w wieku 106 lat, a nawet 110 czy 120 lat mają identyczne szanse przeżycia kolejnego roku. Te zaskakujące wyniki uzyskano dzięki przeanalizowaniu niemal 4 tys. przypadków włoskich stulatków. Może to oznaczać, że w wieku 105 lat właściwie przestajemy się starzeć, choć biologiczne przyczyny tego zjawiska nie są jasne.

©

TEMAT
TYGODNIKA



POLSKA NIEKATOLICKA

Badania socjologiczne wskazują, że Polska
jest najszybciej sekularyzującym się krajem świata.

A może ujawniają tylko,
że nasza religijność jest w swej istocie pozorem.

PIOTR SIKORA



Przed Katedrą na Wawelu, Kraków, październik 2017 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH I NAJPOWAŻNIEJSZYCH instytutów badających globalną religijność, Pew Research Center, opublikował niedawno raport na temat procesów sekularyzacyjnych na świecie. Opierając się na wynikach wielu badań przeprowadzonych w ostatnich kilku latach, wskazano na różnice, jakie zachodzą w religijności pomiędzy ludźmi przed i po czterdziestce. Brano pod uwagę cztery kryteria: auto-identyfikację z określoną tradycją religijną, uczestnictwo w nabożeństwach, praktykę codziennej modlitwy osobistej i odpowiedź na pytanie, czy religia jest dla danej osoby w życiu bardzo ważna.

Konkluzje są ciekawe, a dla Kościoła w Polsce powinny stanowić dzwonek alarmowy. W kryterium pierwszym – identyfikacją z daną tradycją – spadek wśród Polaków jest spory, ale nie dramatyczny (6 pkt. proc.), co sytuuje nas niedaleko europejskiej średniej. Jednak w pozostałych trzech kryteriach Polska jest najszybciej sekularyzującym się krajem świata (co do osobistej modlitwy ustępujemy nieznacznie Japonii, ale – autorzy raportu przyznają – wyniki w tym kraju mogą nie być do końca miarodajne ze względu na specyficzną kulturę religijną tego kraju). Różnice pomiędzy młodszymi i star-

szymi Polkami i Polakami odnośnie do wymienionych wyżej kryteriów zaangażowania religijnego wahają się pomiędzy 23 a 29 pkt. proc. na niekorzyść młodszych.

Innymi słowy: badania wskazują, że o ile deklaratywny katolicyzm pozostaje jeszcze wyznacznikiem tożsamości Polaków, to staje się on coraz bardziej pozbawiony treści, zarówno społeczno-rytualnej, jak – tym bardziej – osobistej. Sytuacja jest jeszcze gorsza, jeśli weźmiemy pod uwagę nie tylko różnicę między młodszym a starszym pokoleniem, ale średni wynik dla całego przekroju społeczeństwa. Tu bowiem okazuje się, że choć deklaratywne przywiązanie do katolicyzmu pozostaje w Polsce w miarę wysokie – ponad 80 proc. – to uczestnictwo we wspólnych nabożeństwach jest zdecydowanie mniej częste (chodzi o nie mniej niż połowa deklarujących się jako katolicy).

Prawdziwą miarą naszego katolicyzmu są jednak wyniki dotyczące osobistego zaangażowania religijnego Polek i Polaków. Niecała jedna trzecia polskich katolików modli się codziennie, mniej niż jedna piąta czyta samodzielnie choćby raz w miesiącu Pismo. Niespełna jedna trzecia uznaje religię za bardzo ważny element życia; 15 proc. w jakikolwiek sposób dzieli się swoją wiarą.

Z badań wynika zatem, że żyjemy we wcale nie tak bardzo religijnym społeczeństwie, które w dodatku błyskawicznie się sekularyzuje.

Pozorna religijność Polaków

Obraz polskiego społeczeństwa jako tylko pozornie religijnego znajduje potwierdzenie w wynikach serii badań polskich socjologów, np. z CBOS. Co prawda w 2006 r. ok. 70 proc. Polaków uważało się za ludzi religijnych, dla których religia jest ważna. Ale gdy w tym samym badaniu proszono o wskazanie najważniejszych pięciu wartości, którymi kierują się w życiu, tylko 28 proc. zaliczało do tej piątki wiarę religijną. Procent ludzi uznających wiarę religijną za ważną wartość kierującą życiem jest jeszcze niższy, jeśli badanie nie dotyczyło wprost kwestii religijnych, lecz po prostu wartości życiowych. W takim kontekście w 2005 r. tylko 19 proc. Polaków umieszczało wiarę religijną pośród takich ważnych aspektów życia. Przez kolejne dziewięć lat liczba ta spadła do 12 proc.

Znamienne: jeszcze mniej ludzi uważa, że wiara religijna znajduje się pośród czynników, które sprawiają, że życie jest

→ udane, i umieszcza sprawy powiązane z religią wśród swoich celów życiowych (w 2006 r. było to w obu przypadkach 1 proc.). Badania te pokazują, że nawet jeśli ktoś uznaje wiarę religijną za wartość liczącą się w jego życiu, to nie jest to element pozytywny, prowadzący do życiowego spełnienia i nadający życiu sens. Nasuwa się wniosek, że Polacy, dla których religia jest ważna, traktują ją raczej jako aspekt życia związany z powinnościami i koniecznymi do spełnienia obowiązkami, a nie z rozwojem, życiowym celem.

Możemy bronić polskiej religijności stwierdzając, że nawet jeśli to, co *explicit*e religijne, nie jest dla większości Pola-

ków zbyt ważne, to żyją oni na co dzień wartościami ewangelicznymi, choć ich wprost jako religijnych nie identyfikują. Aby rozstrzygnąć tę kwestię, trzeba zobaczyć, jakie wartości Polacy uważają za najważniejsze w życiu, co uznają za warunek udanej egzystencji, do czego dążą.

Badania na ten temat również były przez CBOS prowadzone. W kwestionariuszu, w którym respondenci mogli wskazać trzy cele życiowe, zdecydowanie przeważają materialne przedmioty dążeń i starań: praca, odpowiednia pozycja materialna, zdobycie domu i mieszkania. Pierwszy cel związany bezpośrednio z relacjami międzypersonalnymi – posiadanie dzieci – zaj-

muje piąte miejsce, wskazany przez dwa razy mniej odpowiadających niż każdy z dwóch pierwszych: praca i dobre warunki materialne.

W pytaniu o wartości życiowe wygrywa życie rodzinne (wskazywane przez 82 proc. badanych), ale kroku dotrzymuje mu tylko zachowanie zdrowia (74 proc.). Znajdujące się na trzecim miejscu uczciwe życie jest wartością tylko dla 24 proc. odpowiadających. Z drugiej strony warunków życia udanego Polacy upatrują zasadniczo w zdrowiu (54 proc.) i dobrobycie (46 proc.). Życie rodzinne – choć jest wartością dla ośmiu na dziesięciu Polaków – daje szczęście tylko co trzeciemu. Niechęć zaś

CELE I DĄŻENIA POLAKÓW

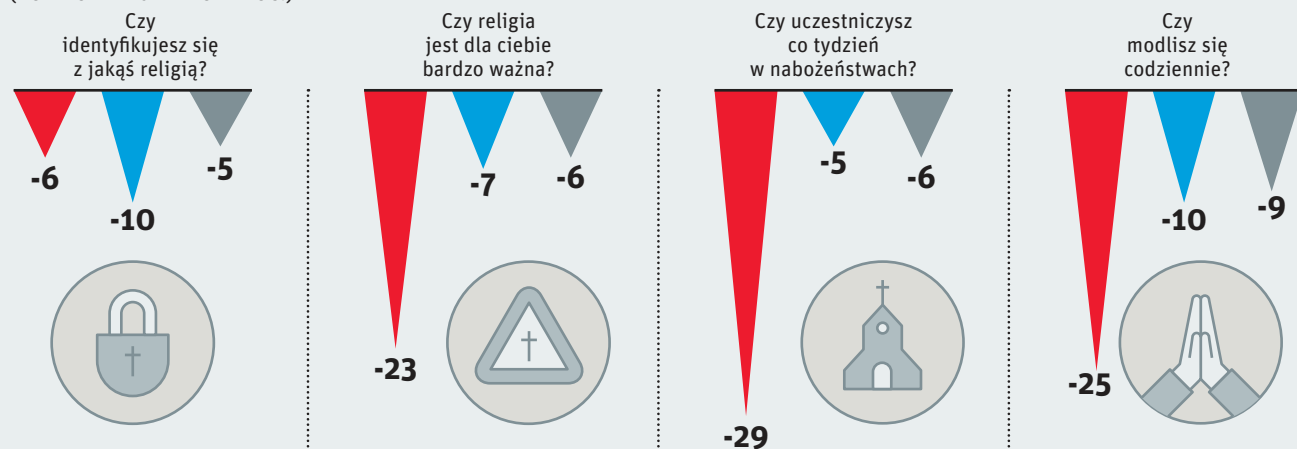
(W PROC.)



ŹRÓDŁO: CBOS

O ILE LUDZIE W WIEKU 18-39 LAT SĄ MNIEJ RELIGIJNI OD TYCH W WIEKU 40+

(RÓŻNICA W PUNKTACH PROC.)



ŹRÓDŁO: PEW RESEARCH CENTER

wobec przyjęcia uchodźców (sprzeciwia się temu 63 proc. Polaków) i motywy tejże niechęci każą podejrzewać, iż rodzinność Polaków ma swoje źródła nie tyle w Ewangelii, co w ewolucyjnie wykształconej skłonności do ochrony własnych genów.

Warto przy tym zauważyć, że cele i dążenia Polaków pokrywają się w znacznym większym stopniu z listą odpowiedzi na pytanie, co jest potrzebne do udanego życia, niż z listą najważniejszych życiowych wartości. Można zatem przypuszczać, że ta ostatnia ujawnia raczej sprawy, które według Polaków powinny być najważniejsze w życiu, a nie te, które takimi *de facto* są – kierując ludzką aktywnością. A przecież autor Listu do Koloosan w następujący sposób określał istotę chrześcijańskiej religijności: „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus zasiadając po prawicy Boga. Dążcie do tego, co w górze, nie do tego, co na ziemi (Kol 3, 1-2)”. Jeśli autor natchniony miał rację, to wiara religijna jest ważna dla jednego procenta mieszkańców naszego kraju.

Religijna zapchajdziura

Powstaje oczywiście pytanie, jak sytuacja w Polsce wygląda na tle trendów ogólnoswiatowych. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że istnieje duża grupa krajów stabilnie mało religijnych (głównie zachód Europy i Kanada), duża grupa krajów stabilnie bardziej religijnych (głównie Afryka, Bliski Wschód), do niedawna bardzo religijna, lecz teraz sekularyzująca się w pewnym stopniu Ameryka i gwałtownie sekularyzująca się Polska.

Analiza porównawcza może dostarczyć pewnych wskazówek wyjaśniających przyczyny tempa sekularyzacji naszego społeczeństwa. Z rozmaitych badań stanowiących podstawę raportu widać, że polska religijność jest znacznie mniej niż w innych krajach Europy związana z osobistym zaangażowaniem, takim jak indywidualna modlitwa, czytanie Biblii czy zastanawianie się nad sensem życia. Spośród ludzi deklarujących się jako religijni niewielki procent (mniejszy niż w większości krajów naszego regionu) przyznaje się do tego typu aktywności. Znacznie częściej sprowadzamy nasze zaangażowanie religijne do uczestnictwa w zbiorowych rytuałach. Albo po prostu traktujemy katolicyzm jako etykietę podtrzymującą tradycyjną narodową tożsamość.

Wielu religijnych nauczycieli i mędrców
nie zdziwiłoby się wcale tymi wynikami. Wielkie duchowe tradycje ludzkości przechowują świadomość, że religijność ma swoje rodzaje i poziomy rozwoju.

By głębiej zrozumieć przyczyny i naturę trendów sekularyzacyjnych, warto wziąć pod uwagę szersze tło, na którym badacze z Pew Research Center prezentują swój raport o pokoleniowych zmianach religijności. Chodzi tu o dane dotyczące związków ogólnego poziomu religijności poszczególnych społeczeństw z warunkami życia w ich krajach. Statystyczne prawidłowości są pouczające: istnieje wyraźne pozytywne powiązanie pomiędzy trudnościami życiowymi (biedą, niepewnością, zagrożeniem wojennym, przeżyтыми traumatycznymi wydarzeniami) a poziomem religijności. Można powiedzieć, że statystyki socjologiczne potwierdzają prawdę ludowego przysłowia: „Jak trwoga, to do Boga”.

Wielu religijnych nauczycieli i mędrców nie zdziwiłoby się wcale tymi wynikami. Wielkie duchowe tradycje ludzkości prze-

PEW RESEARCH CENTER to niezależny instytut badawczy z siedzibą w Waszyngtonie, założony w 2004 r. Zajmuje się badaniem spraw społecznych, postaw i trendów kształtujących świat współczesny. Jeden z głównych obszarów jego zainteresowania to kwestia religii na świecie (badania na ten temat są współfinansowane przez Fundację Templetona).

RAPORT „The Age Gap in Religion Around the World” („Różnica religijności na świecie związana z wiekiem”) powstał na bazie dziesięciu regionalnych, szczegółowych badań, prowadzonych w latach 2008-17, które swym zasięgiem objęły ponad sto krajów. Uczestnictwo w nabożeństwach było badane w krajach, w których żyje ok. 70 proc. populacji świata, pozostałe aspekty były badane w krajach, w których żyje ok. 90 proc. ludzkości.

chowują świadomość, że religijność ma swoje rodzaje i poziomy rozwoju. Liczni mistycy i święci mówili np., że początkowe etapy rozwoju religijności, na których duża część ludzi niestety pozostaje, to tzw. religijność niewolników i kupców. Chodzi tu o tych, którzy religijni są albo ze strachu (przed nieszczęściem, śmiercią czy potępieniem), albo w nadziei na uzyskanie w ten sposób doczesnych, tak naprawdę niereligijnych, korzyści: zdrowia, dobrobytu, władzy, poczucia bezpieczeństwa, grupowej tożsamości itp.

Zanikanie tego typu religijności łatwo wyjaśnić, odwołując się do analogicznych trudności, jakie pewnemu typowi wiary sprawia rozwój nauki. Od kilkadziesiątu lat filozofowie religii i teologowie zajmujący się relacjami pomiędzy nauką a religią krytykują wizję tzw. „Boga zapchajdziury”. Jest to postawa intelektualna, która przywołuje Boga jako wyjaśnienie tych zjawisk naturalnych, których nie potrafimy wytłumaczyć za pomocą aktualnych teorii naukowych. Gdy obszar naszej wiedzy się poszerza, dla Boga zapchajdziury pozostaje coraz mniej miejsca.

Podobną postawę można zauważyć w praktycznym radzeniu sobie z przyziemnymi trudnościami życia. Gdy nasze naturalne zdolności ich osiągania rosną, religijne zapchajdziury przestają być potrzebne.

Duchowi mistrzowie mieli jednak świadomość, że religijność tego typu nie jest autentyczną religijnością. Traktuje się tu bowiem Boga nie jak Boga, lecz (by użyć słów Mistrza Eckharta) krowę dającą mleko, którą po wydojeniu można zostawić w oborze. Autentyczna religijność zaczyna się dopiero tam, gdzie dążymy do Boga dla Niego samego, nie próbując od Niego nic uzyskać.

Udawany przekaz wiary

Charakter polskiej religijności, która – jak ujawnia się w badaniach – jest w przeważającej mierze praktykowaniem religii zapchajdziury, wyjaśnia szybkie tempo procesów sekularyzacyjnych. Sensowna wydaje się hipoteza, że młodsze pokolenie przestaje potrzebować „religijnych” narzędzi do osiągania niereligijnych celów. Być może nie potrafi się jeszcze obyć bez katolickiej etykiety w określeniu swojej polskiej tożsamości na najbardziej ogólnym poziomie. Gdy jednak chodzi o bardziej konkretne poczucie silnej przynależności grupowej, to albo w ogóle nie ➔

→ odczuwa tej potrzeby (w przypadku tych, którzy dają się ukształtować indywidualistycznej mentalności płynnej nowoczesności), albo zaspokaja ją w niekościelnych miejscach, np. na stadionach.

Tempo sekularyzacji wskazuje także na poważny problem w międzypokoleniowym przekazie wiary (co – po analizie raportu – nie powinno dziwić). Co prawda sto procent polskich katolików deklaruje katolickie wychowanie dzieci, ale – jak pokazują wyniki omawianych tu badań – sprowadza się to do posyłania dzieci do kościoła (niekoniecznie chodząc tam samemu) i na szkolną katechizę. Oba elementy okazują się nieskuteczne.

Wyniki badań ujawniają także porażkę szkolnej katechety. Występujące w raporcie Pew Research Center radykalnie mniej religijne młodsze pokolenie pokrywa się mniej więcej z pokoleniem Polaków, którzy uczestniczyli w lekcjach religii w szkołach.

Posyłanie dzieci do kościoła i duszpasterstwo oparte na obowiązku uczestnictwa w nabożeństwach (kartki ze spowiedzi, dzienniczki do bierzmowania) także nie ma sensu. Jeśli bowiem w religijności starszych – rodziców czy wychowawców – brakuje osobistego przeżycia i refleksji, jedyne co można robić, to próbować wdrażać swoje dzieci do uczestnictwa w rytuałach. Te jednak często są celebrowane w sposób, który nie pozwala ujawnić się głębokim sensom w nich ukrytym. Rytuały jawią się wówczas jako nudny, pusty i często infantylny obowiązek, który w przeszłości – owszem – pełnił ważną społeczną rolę, ale teraz jest już zbędny.

Wąski margines

W perspektywie biblijnej religia jest tym, co kształtuje całe życie, bez czego staje się ono tylko pustą rośliną. Religia bierze się bowiem ze spotkania z tym, co Ostateczne, co jest Źródłem wszelkiego dobra, wszelkiej wartości, wszelkiego sensu, w ogóle – samego istnienia. I do tego Źródła przez wszystkie swoje doktrynalne, rytualne i jakiegokolwiek inne przejawy ma prowadzić. Jeśli coś nie ma tego charakteru, może być folklorem, sportem, hobby, nawet sztuką – ale nie jest religią.

W tej perspektywie ludzie autentycznie religijni stanowią w Polsce wąski margines. Trzeba jasno powiedzieć: badania socjologów tylko ujawniają, że król jest nagi; religijność Polaków to w większości przypadków pozór religijności. ©PIOTR SIKORA

Wspólnota stęsknionych

KS. ADAM BONIECKI

Sekularyzacja w Polsce nie zaczęła się teraz. Raczej ujawnia się coś, co od dawna istniało.

KS. ADAM BONIECKI: W tym samym czasie są dwie msze – u dominikanów, niedaleko stąd, i w naszym kościele. Do dominikanów ciągną ludzie z całej Warszawy, w tym wielu młodych. Do nas przychodzą miejscowi, z przewagą starszego pokolenia. Podobnie jest w innych miastach, gdzie są dominikanie. Dlaczego ci bardziej wymagający, poszukujący idą do nich? Czy sądzą, że u nas ich głód nie zostanie zaspokojony? Być może jest jakaś nieadekwatność naszych działań i ich potrzeb.

ANNA GOC: Na czym ta nieadekwatność polega?

Mówi się o spadku frekwencji w kościołach, o tym, że coraz mniej ludzi przystępuje do sakramentów, że coraz częściej przestają się modlić. Obserwacje potwierdzają kolejne badania. Dla mnie – księdza, który od 58 lat stale spotyka się z ludźmi, zwłaszcza w konfesjonale – oczywiste jest, że wchodzimy w nową epokę przeżywania wiary i przynależności do Kościoła.

Według najnowszych badań Pew Research Center, o których pisze Piotr Sikora, Polska jest najszybciej sekularyzującym się krajem na świecie.

To brzmi tak, jakby proces sekularyzacji zaczynał się dopiero teraz. Mam wrażenie, że raczej ujawnia się coś, co od dawna istniało. Przez wiele lat w Polsce zewnętrzna religijność, chodzenie do kościoła i udział w religijnych manifestacjach, takich jak np. procesja na Boże Ciało, była często formą zaangażowania politycznego. Kościół był przestrzenią wolności. Pełnił wiele funkcji zastępczych. Kiedy się to skończyło, przyszedł czas próby.

Czyje?

Zacznijmy od księży. Nie byliśmy pieszczeni przez władze PRL, ale mieli-

śmy zaufanie mas. Kościół zagrożony to Kościół bardziej zwarty, solidarny. Teraz nie ma zadekretowanego ateizmu, szynkan, ograniczeń działalności. Istnieją katolickie organizacje, redakcje, w szkole jest religia. Więcej: uważa się – słusznie czy niesłusznie, to inna sprawa – że cieszymy się szeregami przywilejów. W czasach PRL Kościół był jedną z nielicznych propozycji słusznego zaangażowania. Dziś jest mnóstwo innych propozycji przyzwoitego, a nawet heroicznego życia. Jest także całkiem realna i pociągająca perspektywa osiągnięcia dobrobytu, dorobienia się, znalezienia szczęścia. Kościół, widziany jako instytucja mająca się materialnie dobrze, a do tego postrzegana jako uczestnik politycznych rozgrywek, Kościół z koncertem medialnym Radio Maryja na sztandarze, ma kłopot ze skutecznym głoszeniem ideałów ewangelicznych Królestwa „nie z tego świata”. Do tego dochodzą jeszcze skandale, w których opisywaniu media nas nie oszczędzają. Mamy kryzys komunikowania Ewangelii. Często ci, którzy się oddalają od Kościoła, nie chodzą na niedzielną mszę, nie przystępują do sakramentów i nie święcą dnia świętego, nadal wierzą w Boga, pozostają religijni. Niestety ci, którzy dziś zbliżają się do środowisk – nazwijmy je umownie – parafialnych, nie zawsze trafiają na miłujących się świadków wiary, na ludzi, którzy nią żyją.

Eucharystia u dominikanów pociąga – słowem, rytym, tym, że rytuał staje się wehikułem tajemnicy.

Pewnie tak. W naszych mszałach najbardziej wytarte są strony z drugą modlitwą eucharystyczną. Tą najkrótszą. Wygląda na to, że ksiądz chce jak najszybciej odprawić, co trzeba. Nie pomoże żadna reforma liturgii, jeśli msza nie będzie odprawiana z miłością, lecz rutynowo.

A inne formy modlitwy? Pielęgnowujemy stare nabożeństwa. Kiedy ponad



Ks. Adam Boniecki, Warszawa 2017 r.

60 lat temu byłem ministrantem, wieczorne nabożeństwa majowe i czerwcowe cieszyły się wielkim powodzeniem. Kościół był pełen rozśpiewanych ludzi. Dziś księży odprowadzają je po mszy wieczornej, bo się obawiają, że inaczej nikt nie przyjdzie. Tam, gdzie mogłem to widzieć, uczestniczą w nich głównie ludzie starsi. Konserwujemy te nabożeństwa – kiedyś bardzo żywe, dziś jakby zabytkowe. Czy mamy nowe? Czy mamy ludzi, którzy potrafią mówić o Ewangelii tak, żeby porwała swoim pięknem? Coś takiego było w kazaniach ks. Jana Zieja albo bp. Jana Pietraszki. Ludzie na kazania biskupa Jana ciągnęli czasem z dalekich stron. To nie była kwestia retoryki – chodziło o to, że on żył tym, o czym mówił. Był świadkiem wiary. Coś jak papież Franciszek, który dobrze uchwycił problem: źle komunikujemy Dobrą Nowinę.

Ks. Halik pisał, że Franciszek wybiera Kościół, który jest odwrotnością tryumfalizmu.

Tak jest. Niestety my, księża, przez wiele lat uczyliśmy się tę tryumfalistyczną machinę obsługiwać. Tryumfalistyczną nie w sensie pałaców czy złocistych szat. Broniliśmy obrazu Kościoła jako instytucji niepodlegającej słabościom, stojącej zawsze po słusznej stronie, Boskiej. A Kościół – jak wierzymy – jest „sakramentem obecności Boga” złożonym w ludzkie ręce. Ta ludzka strona może błędzić i podlegać doskonałemu. „Święty Kościół grzesznych ludzi”...

Jest też chyba inny problem: trwonienie zaufania. Niedbałości o sprawy ważne, zamiatanej pod dywan pedofilii, ostrych, raniących głosów w sprawach, które dla wielu ludzi są ważne, jak choćby dyskusja o in vitro.

Wierzę w Kościół, to znaczy w sakramenty, w przechowane i wciąż zgłębiane słowo Boże, w moc rodzenia świętych, a nie w księży czy nawet biskupów. Ale jeśli ci, którzy reprezentują Kościół i są z nim utożsamiani, zawiodą zaufanie, to do całej tej bosko-ludzkiej instytucji. Zwracam jednak uwagę, że przyszło nam żyć w momencie ujawnienia skandalu pedofilii, ale też zdecydowanego wysiłku Kościoła zmierzającego do oczyszczenia.

A sprawa raniących głosów?

Wymagania, które Jezus stawia tym, którzy chcą iść za Nim, są określone jako „krzyż” – „kto chce iść za mną, niech

→ weźmie swój krzyż”. Ale jak przypomina papież Franciszek – jedyna hermeneutyka słów Jezusa to hermeneutyka miłosierdzia. A my bywamy niemilosierni. Kościół ma sens, jeśli głosi Ewangelię i przybliża do Chrystusa, cała reszta ma temu służyć.

Rozmawiam czasem z katolikami, którzy się przenieśli do Kościoła ewangelickiego. To osoby religijne, które nie wytrzymały u nas i odnalazły się tam we wspólnocie mniejszościowej. Mam wrażenie, że dla nich nie są ważne różnice doktrynalne: to, czy Pan Jezus jest cały czas w konsekrowanym chlebie, czy tylko w czasie sprawowania wieczerzy, czy papież jest następcą Piotra itd. Dla nich jest ważna wspólnota ludzi wierzących.

Dlaczego stworzenie wspólnoty w Kościele katolickim jest trudniejsze?

Mówimy o Polsce. Tam, gdzie katolicy są mniejszością, łatwiej o doświadczenie wspólnoty. Obawiam się, że u nas jesteśmy zbyt pochłonięci „obsługą” instytucji i zapominamy, po co ona istnieje. Poniekąd wymusza to masowość katolicyzmu. Z instytucjami dobrze zorganizowanymi jest tak, że będą działały, nawet kiedy już nie będą nikomu potrzebne. Przedmiotem tęsknoty, na którą ma odpowiedzieć Kościół, jest jednak Bóg, a nie dobrze funkcjonująca organizacja pozarządowa. Może dlatego spada liczba kandydatów do seminarium.

Według mnie porywającym ideałem może być ksiądz, który z miłości do Boga służy ludziom. Nie funkcjonariusz. Tworzenie wspólnot w Kościele katolickim nie jest trudniejsze niż gdzie indziej, tylko czy my w ogóle próbujemy je tworzyć? Wspólnoty wokół Jezusa, a nie kluby sierot epoki kryzysu ojcostwa...

Jestem przekonany, że proces laicyzacji będzie postępował, ale to nie znaczy, że Kościół zaniknie.

Co w zamian?

W zamian za istniejące kościelne struktury? To miejsce już zajęły ruchy, jak choćby neokatechumenat czy charyzmatycy. Tam idą ludzie poszukujący, z dużymi potrzebami religijnymi. Można się obawiać o sekciarskie zapędy, typu „poza naszym ruchem nie ma zbawienia”, ale przecież jest tam autentyczna religijność. Jedni księża w to wchodzą, inni partają z niepokojem. Benedykt XVI, wyuczony na problemy naszej epoki, wyszedł do wniosku, że Kościół zostanie zredu-

kowany do nielicznej grupy zaangażowanych wspólnot. Twierdził, że konstrukcja, którą znamy, nie może przetrwać. Potem, już jako papież, przyznał, że jego wizja mogła być zbyt pesymistyczna. Ale dziś coś z niej zaczyna się spełniać.

Czego więc szukamy dziś w Kościele?

Spotykam coraz więcej ludzi stęsknionych miejsca, w którym czuliby się u siebie. Takiego, gdzie ze swoją wiarą nie czuliby się sami. Do którego mogliby przyjść ze swoimi niepokojami, pytaniami. Szukają zaspokojenia nie zawsze dla nich klawirnych potrzeb religijnych. Ale wielu po prostu szuka spotkania z Bogiem.

A Ty jak rozumiesz religijność w swoim życiu?

Moja historia szukania czegoś w Kościele nie jest wzniosła i, jak dziś widzę, rozpoczyna się poszukiwaniami raczej z tego świata. Wyrosłem w rodzinie religijnej, a decydując się, że związę moje życie z Kościołem, kierowałem się chyba właśnie tym, że widziałem w tej instytucji przestrzeń wolności i sposób na sensowne życie. Nie sądzę jednak, by te motywy były wystarczające na 65 lat, które upłynęły od moich pierwszych ślubów zakonnych. Motywacja z czasem się pogłębia albo nie. Stopniowo odkrywałem, że takie związanie z Kościołem ma sens, jeśli się szuka Boga. Że największą miłością może być tylko Bóg. Pociągała mnie także wspólnota zakonna marianów: konkretni, wspaniali ludzie. Cóż... tych, których poznałem przed wstąpieniem do zgromadzenia, już nie ma. Niektórzy zmarli, inni odeszli z zakonu.

Jak o tym mówili?

Zakon w nich został. Jak blizna... Z niektórymi byłem w kontakcie do końca. Przynajmniej dwóch – jednego, który wystąpił, drugiego, który zmarł w zgromadzeniu – uważam za świętych.

Z instytucją Kościoła więź czuje blisko 90 proc. Polaków. Mniej przyznaje się do czynności intymnych, m.in. do modlitwy.

Bywa, że człowiek przestaje chodzić do kościoła motywowany swoją religijnością. Religijność jest czymś bardzo intymnym. Nie można jej zmierzyć, obliczając, ile razy ktoś był na mszy. To jest pewien wskaźnik, ale nie religijności.

To ciekawe, że według badań Polacy deklarują się jako katolicy, choć nie czują

potrzeby modlitwy. Być może wynika to z pragnienia zaliczenia się do jakiejś kategorii? Katolicyzm jest akurat kategorią znaną, bo z katolickiego dziedzictwa kulturowego przyjęliśmy mnóstwo.

Piotr Sikora stawia tezę, że religijność Polaków jest w większości przypadków jedynie pozorem religijności.

Religijność i wiara rozumiana jako egzystencjalny akt człowieka to jest coś, co się wymyka badaniom. „Religijność Polaków” – czy w ogóle można mówić o religijności narodów? Tradycja czy kultura narodu może być przeniknięta elementami religijnymi, państwo może być nastawione życzliwie lub nie do religii. Ale religijność narodu? Zaraz przejdziemy do mówienia o duszy narodu, o misji narodu... Można pytać, czy Polacy kiedykolwiek byli głęboko religijni? Ja wolę pytać, czy byli Polacy głęboko religijni? Jeśli historia Kościoła jest historią świętych, także tych niekanonizowanych i niebeatyfikowanych, to można powiedzieć, że byli. Sam wielu takich spotkałem. Wielu.

Twoje pokolenie było bardziej religijne od mojego?

W jakimś sensie pewnie tak. Katolicyzm był integralnie związany ze społecznym obyczajem. Moi rówieśnicy, dziś dziadkowie, są bezradni i przerażeni tym, że ich dzieci nie chrzczą swoich dzieci, że nie posyłają ich na religię, nie mówią im o Bogu. Tym, że rośnie całe pokolenie poza wiarą. Być może chodzi o to, że dzieci moich rówieśników to było pokolenie uczzone religii przy kościołach. Była to często formacja z gitarą, miłą atmosferą, ale nie zawsze dostarczająca fundamentów wiary. Może chodziło o to, by nie odstraszyć uczniów wymaganiami? Nie wiem. Rozpoznaję to pokolenie w konfesjonale. Są wierzący, trwają w Kościele, skoro się przynajmniej raz w roku spowiadają, ale na tych spowiedziach ciąży rytualny nawyk, schemat. Ktoś się spowiada, że nie był w kościele w niedzielę, bo był chory albo się opiekował chorym. Pytam: myślisz, że Bóg oczekiwał, że przyjdiesz chory i zarazisz pół parafii, a sam padniesz? Czy Bóg chciał, żebyś zostawił chorego? No nie sądzę, odpowiada. Więc to jest czy nie jest grzech? – pytam. I słyszę, że nieważne, bo skoro się nie było, to trzeba się wypowiadać.

Są też i tacy, którzy wyznają, że nie uczestniczą w niedzielnej mszy, ale w ci-
szy się modlą do Boga w lesie.

I co odpowiadasz?

Odpowiadam krótką katechezą o znaczeniu niedzielnej mszy. A sam pocieszam się myślą, że coś, co uznane jest za formalny grzech, na skutek niezawinionej ignorancji nie jest wobec Boga grzechem.

Istnieje grzech, który nie jest czymś złym?

Grzech jest kategorią religijną – to zrobienie czegoś przeciwko oczekiwaniu kochającego Boga. Zawód sprawiony miłości. Wierzę, że Bóg stawiając wymagania, chce dobra. Jeśli mi ktoś tłumaczy, że nie widzi grzeszności w tym, że żyje w związku niesakramentalnym, bo przecież nikomu nie wyrządza krzywdy, to nie będę mu wmawiał, że to „rozpusta”, „nieczystość” itp. To może być bardzo dobry związek, nastawiony na wierność, na przyjęcie dziecka, pełen miłości. Ale to jest, mówię wtedy, grzech przeciwko wierze. Odzucenie sakramentu, a w konsekwencji także innych sakramentów, z Eucharystią na czele. Nie wdaję się w ocenę, co jest poważniejsze, i uważam, że popularność związków przedsakramentalnych jest sygnałem kryzysu wiary.

Jako ksiądz obserwujesz, jak ludzie sobie radzą ze swoją religijnością albo jej brakiem. Jak wyglądała ta próba z tej drugiej strony?

Niektórzy mówią wprost: nie wierzę. Pamiętam rozmowę z prof. Barbarą Skargą. „Tam nic nie ma, jest tylko nicność” – powiedziała. Była niewierząca, niereligijna. Nie podjąłem tematu, ale wciąż wierzę i mam nadzieję, że wspaniała Pani Profesor po przejściu na tamtą stronę musiała być mile zaskoczona spotkaniem z Bogiem.

Można pytać, czy Polacy kiedykolwiek byli głęboko religijni?

Ale jeśli nie trafiło na prof. Skargę, przekonywałeś, że być może coś tam jest?

Nie. Co najwyżej mówiłem i mówię, że ja mam nadzieję. Czasem takie rozmowy trwają kilka lat. Lubią je starzy pozytywiści, wielkiej wiedzy, często profesorowie, ludzie szlachetni, uczciwi i może dlatego trwający przy swoim ateizmie lub agnostycyzmie. Bliscy namawiają ich na spotkanie z „mądrym księdzem”. Zależy im, by ukochany dziadek czy ojciec przed śmiercią odnalazł drogę do Boga. Kiedy przychodzę, słyszę: „Oni chcą mnie nawrócić, ale nic z tego”. A potem tygodniami przychodzę, rozmawiamy. Wiara jest łaską, a nie wynikiem debaty.

Zdaję sobie też sprawę, że ci, co do mnie przychodzą, przychodzą jednak do księdza. Dlatego moje obserwacje są siłą rzeczy zawężone.

Największą grupą rozmówców są ludzie „niereligijni z nieuwagi”. Nie zagłębiali się w sprawy wiary. Uważali, że łatwiej żyć bez komplikacji religijnych. I kiedy w ich życiu następuje wstrząs, przychodzi mocne przeżycie, pojawiają się pytania, a czasem wręcz następuje wielkie nawrócenie. To są piękne spotkania. Wręcz się czuje, że w tym jest Bóg.

Jaka jest ta religijność ludzi, którzy są w Kościele, czyli tych, którzy zostali? Religijność większości.

Kiedys Stefan Wilkanowicz zaproponował bardzo prostą, ale moim zdaniem trafną typologię: wiara magiczna, koncentrująca się na obrzędach, cudownościach, prywatnych objawieniach itp., wiara socjologiczna, wynikająca z poddania się subtelnej presji otoczenia: wszyscy wierzą, przestrzegają norm, praktykują, więc i ja. Trzecia kategoria to wiara z wyboru. Otóż w ciągu tych 58 lat bycia księdzem obserwuję wyraźne zjawisko przechodzenia polskiego katolicyzmu od wiary magicznej i socjologicznej w kierunku świadomego wyboru. Sprzyja temu konfrontacja z laicyzacją życia, materializmem praktycznym, rolą Kościoła w życiu publicznym. To przechodzenie odbija się, rzecz jasna, na liczebności wierzących w statystykach, bo od wiary magicznej i socjologicznej łatwo też przejść w niewiarę.

Z badań wynika, że sytuacja w Polsce jest kryzysowa. Zwłaszcza jeśli chodzi o młodych.

Tych młodych ludzi spotykam na rekolekcjach, gdziekolwiek je głoszę. Przychodzą rozmawiać o wierze. Z pewnością są i tacy, którzy nie interesują się wiarą. Często zaabsorbowani światem materialnym, dopiero w momentach przełomowych zaczynają stawiać sobie pytania o Boga i wiarę.

Ale mimo wszystko ludzie nie przestali pytać o Boga, o sens, o życie wieczne. Przed tą rozmową czekałem na ciebie na przystanku. Nim podjechał autobus 501, dosiadła się do mnie młoda kobieta.

Tak, widziałam ją.

Powiedziała, że zna mnie z kościoła. Chciała porozmawiać. Mówiła..., no właśnie.

© P Rozmawiała ANNA GOC



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PAWEŁ

Śpiewak: Król Jozjasz



OJCEM KRÓLA JOZJASZA BYŁ KRÓL MANES, KTÓRY czcił Baalą i sadził gaje na wzgórzach. Manesa po pół wieku rządów utłukli spiskowcy i jego ośmioletni syn został koronowany na króla Judei (639 r. p.n.e.). Rządził 31 lat. Nie było w królestwie Judy i w królestwie Izraela władcy tak

wybitnego i tak ważnego dla umocnienia judaizmu i wychowania narodu wybranego. Cała dotychczasowa historia synów Jakuba zwracała się do Jozjasza i można śmiało powiedzieć, że bez niego nie byłoby owych przepysnych opowieści o założycielach zjednoczonego królestwa, Dawidzie oraz Salomonie.

Bez niego Mojżesz nie mógłby nam śpiewać swoich pieśni i wygłaszać przemów, a Jozue stanąć na czele ludu. Jozjasz ukazał ludowi jego przeszłość i powołanie. Śmiało można mówić o jego meksjańskiej roli. Tak zresztą o nim pisano 700 lat przed wspólną erą. Podjął się najgłębszej reformy religii i ukazał jej nowy wymiar. „Czynił, co było dobrego w oczach Pana, chodząc wszystkimi drogami Dawida, ojca swego, a nie uchylał się ani na prawo, ani na lewo” (2 Sm 21, 2). Trudno o bardziej miłe królowi słowa.

Jozjasz, gdy dorósł, utwierdził swoje panowanie, zgromadził znaczne środki i rozpoczął wielki remont Świątyni. W trakcie prac budowlanych odkryto nie tylko kosztowności i pieniądze, ale – co najważniejsze, a co wydaje się być absolutnie zaskakujące – odnalazła się brakująca czy jak pisano: zaginiona piąta księga Tory. Była to Księga Powtórzonego Prawa. Przyniósł księgę królowi nadworny pisarz i odczytał ją. „A gdy usłyszał król słowa ksiąg zakonu, rozdarł szaty swe” (2 Sm 22, 11). Zrozumiał, jak wiele grzechów lud wybrany popełnił. Bóg zobaczył łzy w jego oczach i uwierzył w szczerość i żarliwość jego wiary, obiecał mu pocieszenie i pokój.

Krół urządził wielkie czytanie nowo odkrytej księgi. Dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych wokół Świątyni Jerozolimskiej godzinami słuchało słów księgi przymierza znalezionej w domu Pańskim. A gdy skończono lekturę – nakaz czytania głośno Tory trwa po dziś dzień – król uczynił przymierze z Panem i oznajmił, że „chce chodzić za Panem i strzec rozkazania jego, i świadectw jego, i wyroków jego ze wszystkiego serca, i ze wszystkiej duszy i pełnić słowa przymierza” (2 Sm 22, 3). Wielki to był dzień, który porównać można tylko z dniem otrzymania Tory na górze Synaj.

Jozjasz zawarł traktat wojenny ze swoim Boskim suwerenem. Miał wolę go zachować, a odkryta księga wskazała, jak ów traktat ma zostać wypełniony. Nie ulega wątpliwości, że między piątą a pozostałymi księgami Tory jest wiele zasadniczych różnic. W ostatniej księdze opisany jest nowy sposób funkcjonowania judaizmu i wprowadzone zostają nowe rytuały oraz prawa. One stanowić będą podstawę królewskiej polityki i królewskiej propagandy. Jozjasz był odkrywcą religii w jej odmienności i z całą stanowczością owe reguły wprowadzał w życie. Rozpoczął od zburzenia wszystkich miejsc kultu obcych bogów, zarówno w Judei, jak i w Samarii. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Kapłan na Bożym tronie



KAPŁAN AMAZJASZ MÓWI DO PROROKA Amosa: „Idź stąd, widzący, uciekaj do kraju Judy! Tam jedz chleb i tam prorokuj! A w Betel nie prorokuj więcej, bo jest ono świątynią króla i sanktuarium królestwa”. Lecz Amos odpowiada Ama-

zjaszowi: „Nie jestem prorokiem ani uczniem proroków, lecz jestem pasterzem i tym, który nacina sykomory. To Pan wziął mnie od owiec i Pan powiedział do mnie: »Idź prorokować mojemu ludowi izraelskiemu!«”. Amazjasz chce wyrzucić Amosa poza granice kraju, ponieważ sądzi, że ten nie tylko nie popiera politycznych poczynań króla, ale jeszcze osłabia morale narodu. Amazjasz godzi się na podporządkowanie religii polityce, ale prorok nie może na to przystać ani za cenę upokorzeń i prześladowań, ani nawet za cenę życia.

Kiedy więc dzisiaj, jak dawniej, w przenośni i dosłownie, polityk chce się rozsiać na ołtarzu, a kapłan na tronie, konieczny jest prorok, który powie: nie, to już było, to nie po Bożemu. Jak mówi Franciszek, państwa wyznaniowe zawsze źle kończą. Dlatego jako chrześcijanie przede wszystkim powinniśmy „wybrać Jezusa”, zanim wybierzemy, czy jesteśmy „z prawicy czy z lewicy” (słowa papieża w siedzibie Światowej Rady Kościołów).

W tym samym przemówieniu Franciszek stwierdził: „Jesteśmy beneficjentami wiary, miłości i nadziei wielu tych, którzy z bezbronną mocą Ewangelii mieli odwagę, by odwrócić kierunek dziejów, tej historii, która doprowadziła nas do wzajemnej nieufności i oddalenia, wspierając diaboliczną spiralę nieustannego dzielenia się (...). Jakże trudno uśmierzyć niechęć i dbać o komunię, jakże ciężko wydostać się ze sporów i wzajemnego odrzucenia, umacnianych przez wieki! Jeszcze trudniejsze jest stawianie oporu podstępnej pokusie: być z innymi, podążać razem, ale z zamiarem zaspokojenia jakiegoś partykularnego interesu. Nie jest to logika apostoła, lecz Judasza, który chodził z Jezusem, ale dla własnych korzyści”. To pokusa zawłaszczenia Boga, stania się dystrybutorami zbawienia, przy zredukowaniu Ewangelii do zakazów i nakazów, do „wolno – nie wolno”.

„Nie mogę pani rozgrzeszyć, prawo zabrania”. „Nie mogę pana dopuścić do komunii, bo wszyscy pana tu znają i będzie zgorszenie. Co ludzie powiedzą, jak zobaczą, że przystępujesz do stołu Pańskiego?”. „Nie, nauka Kościoła jest niezmienna, ja nigdy nie słyszałem, żeby z takich grzechów rozgrzeszano”.

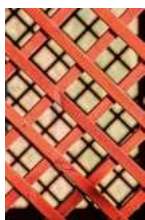
Prawo, doktryna, tradycja, spowiedź, rozgrzeszenie, sakramenty, źródła, kanały i strumienie łask... Dobrze, ale gdzie w tym wszystkim jest nie tylko mistyczny, eucharystyczny, ale żywy Jezus? Wcielony w nasze ciała i w naszą krew, w nasze myśli, słowa i czyny? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Dwie ręce

*Niech serce twe
nie trzyma w niewoli
innego serca ani dusza
twoja nie niewoli
innej duszy.*

Z SALOMONA



*Kto chwyci i trzyma
mocno – ten straci.*

LAOZI



Dziś „OKRUCH” INNEGO RODZAJU – wygenerowany nie przez lekturę Biblii, lecz przez spotkanie z papieżem Franciszkiem. Jak pewnie wiecie, w minionym tygodniu kilka dni dane mi było spędzić w Rzymie – w Uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła otrzymywałem paliusz z rąk Ojca Świętego, a w wigilię tej uroczystości uczestniczyłem w publicznym konsystorz, na którym do kolegium kardynałów został włączony abp Konrad Krajewski.

Dzień wcześniej wraz ze wszystkimi łódzkimi biskupami uczestniczyliśmy w audiencji generalnej, i po niej mogliśmy podejść do papieża na moment prywatnej rozmowy. Podeszliśmy razem z moim poprzednikiem – łódzkim arcybiskupem seniorem Władysławem Ziółkiem, aby m.in. podziękować za nominację kardynalską abp. Konrada – pierwszego łódzianina odznaczonego purpurą.

Franciszek słuchał nas uważnie, a po chwili powiedział mniej więcej tak:

„Papież, aby sprawować swoją posługę Piotra, potrzebuje rąk – dwóch rąk. W jego misji istotne są bowiem dwa wymiary: nauczanie i posługa miłości. I dlatego na obecnym konsystorzu godność kardynalską otrzymuje m.in. dwóch prefektów: prefekt Kongregacji Doktryny Wiary i prefekt [tak, papież użył tego słowa], jakim jest papieski jałmużnik”.

Te dwie nominacje mają pokazać wagę, jaką papież przywiązuje do dwóch wymiarów swojej misji. Wykład wiary i dzieła miłosierdzia. Wzięte komplementarnie. Bez różnicowania: co ważniejsze? Jak dwie ręce. Obie równie konieczne – inaczej człowiek staje się niepełnosprawny. Kiedy piszę ten tekścik, myślę o tym,

ile rzeczy wykonujemy obydwoma rękoma naraz. Jedną ręką to niemożliwe.

Muszę przyznać, że ta wypowiedź Franciszka we mnie od kilku dni pracuje: pokazuje jego myślenie wcale nie dla wszystkich oczywiste. Myślę o tym, że wielu komentatorów traktuje papieża z dystansem, gdy chodzi o wykład doktryny. Jedni mówią, że nie ma precyzji swego poprzednika – wielkiego teologa, jakim jest Benedykt XVI; inni idą dalej, i oskarżają go o nonszalanecę w podejściu do nauczania prawd objawionych albo nawet o chęć ich korygowania. Franciszek mówi (nie po raz pierwszy): doktryna jest dla mnie ważna. W żaden sposób nie zamierzam jej zmieniać. Reforma Kościoła nie wymaga zmiany nauczania, lecz zmiany odniesienia. Stąd właśnie owe dwie nominacje kardynalskie.

Czy samym nauczaniem – nawet najlepszym i najbardziej precyzyjnym – można otworzyć człowieka na doświadczenie zbawienia? Nie. To Sokratesowi wydawało się, że wystarczy człowiekowi wytłumaczyć, na czym polega dana cnota, aby zaczął nią żyć...

Czy można człowieka rzeczywiście kochać, biorąc w nawias prawdę? Również nie. Jezus mówi: „Poznać prawdę, a prawda was wyzwoli”.

A o to właśnie chodzi w spotkaniu z Nim: nie tylko o wiedzę – o światopogląd, ale o wyzwolenie, o zbawienie. Mówił o tym Franciszek również podczas ostatniej katechezy: Bóg najpierw wyprowadza Izraelitów z Egiptu, a dopiero potem – na Synaju – ogłasza im przykazania. Znów: zbawienie (miłosierdzie) i pouczenie (wykład prawdy). Dwie ręce.

Tak widzi swoją misję Piotr. Tak musi widzieć ją – i praktykować – Kościół. Tak muszę widzieć ją – i praktykować – ja. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 VII)

14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5; Ps 123;
2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6;

Poniedziałek: Oz 2, 16. 17b-18. 21-22; Ps 145; Mt 9, 18-26;

Wtorek: Oz 8, 4-7. 11-13; Ps 115; Mt 9, 32-38;

Środa: Prz 2, 1-9; Ps 34; Dz 4, 32-35; Mt 19, 27-29;

Czwartek: Iz 52, 7-10; Ps 96; 1 Tes 2, 2b-8; J 15, 9-17;
Piątek: Syr 2, 7-11; Ps 1; Mt 6, 1. 5-8;

Sobota: Iz 6, 1-8; Ps 93; Mt 10, 24-33;

15. niedziela zwykła: Am 7, 12-15; Ps 85; Ef 1, 3-14;
Mk 6, 7-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

WOJNA NA SŁOIKI

Rafał Trzaskowski i Patryk Jaki wcale nie walczą o stołeczny ratusz. To jedynie etap na ich drodze do władzy, na której chcą przeskoczyć parę szczebli partyjnej kariery.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WYBORY SAMORZĄDOWE BĘDĄ PIERWSZYM od trzech lat bezpośrednim starciem władzy i opozycji przy urnach, a zatem pierwszym realnym testem na poparcie społeczne dla polityki PiS – i oceną kondycji opozycji. Jednocześnie będzie to próba generalna przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi, które – wielkie słowa mają w tym przypadku rzeczywiste uzasadnienie – zadecydują o losach Polski na lata. Zachowanie przez PiS władzy to unikatowa i ostatnia szansa Jarosława Kaczyńskiego na trwałe przebudowanie państwa na osobistą modłę. Dojście do władzy opozycji liberalnej oznaczać będzie demontaż ogromnej większości projektów PiS z ostatnich lat i masowe czyszczenie państwa z ludzi Kaczyńskiego, z możliwym wykorzystaniem prokuratury, sądów i trybunałów.

Myśląc o wygranej za rok, trzeba najpierw walczyć o samorządy, bo to pokaże realne nastroje społeczne w terenie. Dlatego tym razem mobilizacja głównych bloków, czyli PiS z przystawkami oraz Platformy z nowalijkami, będzie wyjątkowa.

Twierdzą nam będzie każdy ratusz

Dziś sytuacja w samorządzie jest taka, że dawny układ polityczny PO-PSL rządzi w 15 na 16 sejmików wojewódzkich. Odbicie przez PiS znaczącej liczby tych regionalnych parlamentów jest jednym z podstawowych zadań, jakie prezes Jarosław Kaczyński stawia przed swymi ludźmi.

Platforma czuje, że bitwa o regiony jest nie do wygrania. Mimo że PiS przeżywa

kryzys poparcia ze względu na pasmo wpadek, wciąż jest formacją najsilniejszą, która – tak to teraz wygląda – wygra wybory w większości regionów (przy czym pozostaje jeszcze kwestia, w ilu sejmikach będzie w stanie stworzyć koalicję, która umożliwi mu faktyczne sprawowanie regionalnej władzy). Lider PO Grzegorz Schetyna buduje koalicję z Nowoczesną i innymi mniejszymi partiami nie po to, aby wygrać wybory do sejmików, tylko po to, aby porażka była jak najmniej dotkliwa. Jeśli Platforma dostanie potężnego łupnia – dajmy na to, zachowa władzę w mniej niż pięciu sejmikach – to Schetynie zacznie się palić grunt pod nogami. W jego partii mogą się pojawić krwiożercze tendencje do pozbycia się przewodniczącego.

Ale Schetyna wie też, że w wyborach samorządowych jest jeszcze jeden, widowiskowy wymiar zwycięstw i porażek. To wybory w największych miastach – one mogą mu pozwolić ocalić skórę. W metropolitalnych ratuszach dominują w tej chwili ludzie Platformy. W odróżnieniu od sejmików mają tam spore szanse zachować władzę i wpływy.

Jarosław Kaczyński na różne sposoby chciał tych wieloletnich liberalnych władarzy miast wyeliminować. Rozważał nawet wprowadzenie dwukadencyjności prezydentów liczonej wstecz, co wyeliminowałoby z wyborów sporą część obecnych prezydentów. Ostatecznie zrezygnował, bo rozwiązanie wyglądało podejrzanie nawet jak na frywolne konstytucyjne standardy PiS. Za to wokół platfor-

mianych prezydentów zaczęły intensywniej krążyć specsłużby i prokuratura, czasem w sprawach rzeczywiście poważnych (jak niejasności majątkowe prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza), a czasem miażdżących (jak próba usunięcia w Lublinie Krzysztofa Żuka za to, że wbrew ustawie antykorupcyjnej zasiadał w radzie nadzorczej PZU Życie – szkopał w tym, że wysłał go tam Skarb Państwa).

Każdy odbity ratusz w dużym mieście, każda wyrwana z rąk liberałów metropolia są dla Kaczyńskiego na wagę złota.



Rafał Trzaskowski po konferencji zorganizowanej na stacji warszawskiego metra, czerwiec 2018 r.

Dziecko Saryusza

W tym pojedynku szczególnie prestiżowe i widowiskowe znaczenie ma Warszawa, w której dwa główne bloki polityczne postawiły na młodych zawodników.

PiS po długich deliberacjach wskazało wiceszefa resortu sprawiedliwości Patryka Jakiego, a Platforma z Nowoczesną – Rafała Trzaskowskiego, byłego wiceministra do spraw europejskich.

Trzaskowski to prominentny przedstawiciel tzw. frakcji młodych PO, polity-

ków 30-40-letnich, którym bliżej do Donalda Tuska niż do Grzegorza Schetyny. Marzą o wymianie pokoleniowej, a Trzaskowski ma być tego symbolem. Także ze względu na jego słynny luz wielu chce w nim widzieć reinkarnację Tuska, który za swej politycznej młodości również uchodził za bawidamka i luzaka, a przebudziła go, odmieniła i utwardziła dopiero wojna z PiS.

Ale Trzaskowski nie trafił do Platformy przez dawnych liberałów, takich jak Tusk. To wychowanek konserwatysty Jacka Sa-

ryusza-Wolskiego, na początku poprzedniej dekady jednego z nielicznych znawców integracji europejskiej. Dzięki temu ma w CV serię stypendiów na istotnych zagranicznych uczelniach. Trzaskowski współpracował z Saryuszem akurat wtedy, gdy działał on w Platformie. W ten sposób płynnie wszedł w to środowisko polityczne – najpierw był doradcą PO, a od 2009 r. jej europosem. Zerwali kontakty, gdy po ostatnich wyborach Saryusz dokonał wolty i zaczął ostro atakować Tuska oraz PO, wspierając PiS.

⇒

Oto mężczyzna wedle Kaczyńskiego

↳ 46-letni (choć wyglądający znacznie młodziej) Trzaskowski spełnia kryterium Jarosława Kaczyńskiego, który wierzy w to, że mężczyzną można się stać dopiero po czterdziestce – z młodszymi nie przechodzi na „ty”. Z tego punktu widzenia postawienie przez Kaczyńskiego na 33-letniego Patryka Jakiego to mentalny przełom.

W dodatku mówimy o rodzinnym mieście prezesa, z którego kandyduje on do parlamentu przez niemal całą swą karierę, i o ratuszu zajmowanym niegdyś przez jego brata.

Zdecydowała gotowość Jakiego do walki na śmierć i życie, do gryzienia trawy i ostrej kampanii przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Wywodzący się z Opola Jaki zaczynał w PiS, ale radnym został z Platformy, by potem do PiS wrócić. Zawsze był kontrowersyjny, do dziś ciągnie za sobą z Opola konsekwencje brutalnych wojen. Choćby z wiceprzewodniczącym Nowoczesnej Witoldem Zembaczyńskim.

To syn byłego prezydenta Opola Ryszarda Zembaczyńskiego. Doradcą Zembaczyńskiego seniora był ojciec Jakiego. Synowi nie przeszkadzało to ostro prezydenta zwalczać. Dziś Witold Zembaczyński zarzuca Jakiemu, że do promocji politycznej wykorzystuje swego chorego na zespół Downa synka. A Jaki odpowiada: „Zembaczyński sięgnął dna”.

Jaki ma ogromne umiejętności przetrwalnikowe, nie zabiła go nawet międzynarodowa awantura dotycząca ustawy o IPN, za którą odpowiadał w rządzie. W szczytowej fazie ataku ze strony USA i Izraela był przerażony – to był najpoważniejszy zakręt w jego karierze. Przetrwał dzięki przyjętej przez Kaczyńskiego linii „nie oddamy ani guzika” i protektorom takim jak Ziobro. Awantura go umocniła i nauczyła, że politycznie wygrać można nawet sprawy beznadziejne – zrobiło się o nim głośno, a dla elektoratu prawicy stał się herosem.

Dziś, gdy Jarosław Kaczyński skierował kciuk w dół i ustawa o IPN została ekspresowo zdekapitowana, nikt już jej nie broni. Jaki zręcznie się od niej odsunął.

Już na początku kampanii chętnie wszedł w fundamentalną rozgrywkę z Trzaskowskim, który – choć był w swym politycznym życiu krakusem, gdy tego wymagała kampania – naraz stał

Wpadki Jakiego i leniuchowanie Trzaskowskiego

mogą być bez znaczenia,
bo wybory zanoszą się
na plebiscyt oceniający rządy
PO w mieście
oraz PiS w kraju.

się stuprocentowym warszawiakiem i wypomina Jakiemu opolskie pochodzenie. To ma oznaczać, że Jaki jest jednym z tzw. słoików, napływowych warszawiaków, którzy – wedle drwin – przywożą od rodzin z prowincji gotowy prowiant w workach.

– Mamy obliczone, że w tej chwili większość warszawiaków to ludność napływowa, a nie mieszkańcy stolicy od wielu pokoleń. Bardzo dobrze, niech Trzaskowski ich do siebie zraża – opowiada jeden z głównych strategów kampanii Jakiego. Widać wyraźnie, że tę kwestię zamierza wykorzystywać w kampanii przeciwko kandydatowi Platformy.

Przy okazji kampanii, a wcześniej przy okazji pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości oraz w komisji repriwatywacyjnej, Jaki systematycznie buduje wokół siebie grupę młodych, pravicowych aktywistów, którzy mają być załącznikiem jego ekipy wewnątrz PiS.

W podobny sposób awansował w krajowej polityce – podczepił się pod Zbigniewa Ziobrę, trwając przy nim wiernie, nawet wówczas, gdy w atmosferze wojny z Kaczyńskim Ziobro opuszczał PiS w 2011 r., tworząc konkurencyjną partię. Do dziś Jaki formalnie nie jest w PiS, tylko w Ziobrowej Solidarnej Polsce, mimo że wielu na pozór bliższych Ziobrze ludzi już dawno go porzuciło, wracając na łono PiS.

Kiełbasa za swoje

Warszawa to trudny teren dla PiS. Partia Jarosława Kaczyńskiego zazwyczaj dostaje tu łupnia od liberałów. Sytuacja zmieniła się w ostatnich wyborach parlamentarnych, gdy PiS niespodziewanie wygrało w stolicy. Ale – co Jaki doskonale wie – tylko dlatego, że głosy Platformie odebrała Nowoczesna. Dziś, gdy PO i N startują razem, Jakiemu trudno bę-

dzie wygrać. – O ile jestem sobie w stanie wyobrazić wygraną PiS do rady miasta, to prezydentura jest niebywale mało prawdopodobna – mówi wpływowy polityk obozu władzy, wcześniej stołeczny radny.

Naiwnie byłoby jednak sądzić, że Jaki gra wyłącznie o prezydenturę stolicy. Gra o coś znacznie ważniejszego – awans do politycznej ekstraklasy, który po tej kampanii będzie na wyciągnięcie ręki. To dla niego niepowtarzalna szansa, dlatego z miejsca wziął się do roboty. Z opolanina stał się warszawiakiem i zaczął prowadzić dynamiczną kampanię, opartą na dużej liczbie spotkań z wyborcami oraz festynach i piknikach dla młodzieży.

Wszystko wbrew przepisom zakazującym prowadzenia kampanii przed zarządzeniem wyborów. W dodatku – w związku z tym – bez pieniędzy z PiS. – Kiedy rozdaje wyborcom kiełbasę z grilla, kupuję ją za swoje pieniądze. To nie jest kiełbasa wyborcza, bo to nie jest kampania. Każdy polityk ma prawo promować się między wyborami – twierdzi Jaki.

Opieranie kampanii na rozgorączkowanych wolontariuszach już go zresztą narażiło na dodatkowe koszty. Jego sztab zaliczył serię wpadek. Raz zabawnych – jak pomylenie czeskiej Pragi z warszawską dzielnicą Praga. Czasem jednak żenujących – jak wówczas, gdy opublikował w internecie zdjęcie zapłakanych Tuska ze Schetyną, podpisując je jako żal po porażce Niemiec na mundialu. Szkopuł w tym, że zdjęcie pochodziło z pogrzebu polityka PO Sebastiana Karpiniuka, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

Mistrz drugich skrzypiec

Paradoksalnie podobne plany na awans do ekstraklasy ma też Trzaskowski, czy też może raczej wielu polityków oraz wyborców liberalnych ma wobec niego takie plany. Kłopot z Trzaskowskim polega jednak na tym, że nie gryzie trawy jak Jaki i nigdy nie angażował się w politykę na całego. W Platformie często zarzucano mu, że nie jest zbyt pracowity, miga się od partyjnej codzienności znaczonej wizytami w terenie i spotkaniami z elektoratem. Dlatego też do tej pory w partii – i w polskiej polityce – grał drugie skrzypce. Potrafił porzucić posadę konstytucyjnego ministra (kierował resortem administracji i cyfryzacji w rządzie Tuska), by objąć niższej rangi posadę wiceszefa MSZ do spraw eu-

ropejskich (w rządzie Kopacz). Chodziło nie tylko o to, że z wykształcenia jest europeistą. Po prostu cyfryzacja to ugor, wymagający zakasania rękawów, zaś polityka europejska jest w porównaniu z nią salonorową przyjemnością.

Jednocześnie Trzaskowski potrafił robić bardzo zręczne kampanie wyborcze, angażując znajomych z kręgów artystycznych, w których funkcjonuje także dzięki temu, że jest synem Andrzeja Trzaskowskiego – kompozytora, pianisty, pioniera jazzu w Polsce. Nawet więc jeśli dziś jego kapania jest cherlawa, niemrawa i bez pomysłu, to Trzaskowskiego przedwcześnie przekreślać nie należy.

To będzie plebiscyt

Powiedzmy sobie szczerze: kampanie Trzaskowskiego i Jakiego to w dużej mierze teatr. Służą bardziej wypromowaniu obu politycznych podlotów, co ma im umożliwić ogólnopolskie kariery. Miejsca na samą Warszawę jest tu niewiele, za to często pojawiają się odniesienia do krajowej polityki.

Bo też trudno zakładać, że kampanie obu panów będą miały decydujące znaczenie dla wyboru warszawiaków – czy to rdzennych, czy „słoików”. Wybory w Warszawie będą tak naprawdę głosowaniem oceniającym rządy PO i PiS. Z jednej strony chodzi o wieloletnią władzę Platformy nad Warszawą rządzoną trzy kadencje przez wiceszefową PO Hannę Gronkiewicz-Waltz. Jej rządy być może zmieniły miasto, ale zostały naznaczone

Standardowy awans młodych wilczków do ekstraklasy

proceedzi przez długoletnie czeładnikowanie na niskich szczeblach. To żmudna droga, bo partiom daleko do wewnętrznej demokracji i przejrzystości.

aferą reprivatyzacyjną, co zresztą definitywnie zakończyło polityczny żywot pani prezydent. Z drugiej – to będzie dla warszawiaków pierwsza szansa, by ocenić dwa i pół roku rządów PiS w Polsce. W tym sensie wpadki Jakiego i leniuchowanie Trzaskowskiego mogą być bez znaczenia, bo wybory zanoszą się na plebiscyt.

Skoro stolica to miasto raczej niechętnie PiS, wszystkie starania Jakiego mogą spaść na panewce, a wszystkie defekty Trzaskowskiego nie muszą mu uniemożliwić wyboru. Ale znów – Jaki nie walczy tylko o prezydenturę.

Podskoczyć do ucha prezesa

Dopóki w polskiej polityce pierwsze skrzypce grają PiS i Platforma, standar-

dowy awans młodych wilczków do ekstraklasy prowadzi przez długoletnie czeładnikowanie na niskich partyjnych szczeblach. To długa i żmudna droga, bo polskim partiom daleko do wewnętrznej demokracji i przejrzystości. Rządzą nimi nieczytelne powiązania, specyficzna wy-cena stażu i zasług, podsycana rozgrywkami wewnętrznymi.

Dla polityków w takiej sytuacji jak Jaki i Trzaskowski jedyną szansą na szybki awans – i ominięcie partyjnej kolejki do uszu liderów – jest kandydowanie w wyborach samorządowych w dużym mieście. Najlepiej, rzecz jasna, w Warszawie. To buduje rozpoznawalność i pozycję w partii, co daje nadzieję na dalsze awanse w przyszłości. Przy czym Jaki jest w lepszej sytuacji, bo – co logiczne – w PiS oczekiwania są mniejsze. Nie przypadkiem Kaczyński zrezygnował z wystawienia kandydata swej partii – choć palił się marszałek Senatu Stanisław Karczewski – oddając Warszawę w ręce ziobrystów. Z kolei jeśli Trzaskowski myśli o dalszej karierze, musi wygrać. Porażka w mieście Platformy zastopowałaby jego awans na lata.

Może więc tegoroczne wybory w Warszawie pokazują nam liderów przyszłości, którzy poniosą partyjne sztandary w kolejnych bitwach? Kampania wyborcza, która już jest, choć formalnie jej nie ma, pokaże, czy to byłaby zmiana na lepsze. Na razie się na to niestety nie zanosi.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

TP

TISCHNER – MOCNA NUTA – konkurs dla prenumeratorów!



PŁYTA INSPIROWANA PROZĄ KSIĘDZA JÓZEFA TISCHNERA. W jej nagraniu wzięli udział m.in. Kayah, Trebunie-Tutki, Wojciech Waglewski, Zygmunt Staszczyk, Jorgos Skolias i Mateusz Pospieszalski. Muzykę skomponował Mirosław Kowalik (basista zespołu Raz Dwa Trzy) i Jan Trebunia-Tutka. Jedenaście tekstów napisała Izabela Domańska-Kowalik, łącząc myśl Tischnera z refleksją na temat współczesnego świata.

Pomysłodawcą płyty jest Kazimierz Tischner, brat księdza, prezes Stowarzyszenia „Drogami Tischnera” i przyjaciel „Tygodnika”, zaś wydawcą jest Wydawnictwo Agora. Płytę można kupić na kulturalnysklep.pl.

Dla naszych Prenumeratorów mamy 6 płyt „Mocna nuta” – aby otrzymać jedną z nich, należy wysłać na adres promocja@tygodnik.com.pl potwierdzenie optacenia dowolnej prenumeraty „Tygodnika Powszechnego” (wydania papierowego, wersji elektronicznej, dostępu do strony czy zakupu w aplikacji).



Wydawnictwo
Agora



KULTURALNY
SKLEP.PL

Po co nam to było

PAWEŁ BRAVO

Po zmianie ustawy o IPN i wspólnym oświadczeniu premierów Izraela i Polski wszyscy powinni być zadowoleni – tylko dlaczego trudno czuć ulgę?

DŁUGO BĘDZIEMY DOCHODZIĆ, DOMYŚLAŁAMI latając materię przecieków, jakie były szczegóły przygotowań do błyskawicznej operacji uchwalenia przez obie izby parlamentu poprawek do styczniowej nowelizacji ustawy i jak się udało po składać w jedną całość krzyżujące się interesy różnych frakcji politycznych w obu krajach – tym bardziej że rzecz odbyła się z rzadko spotykaną w Polsce dyskrecją. Co doprowadziło do szokująco sprawnego wyrzucenia na śmietnik zapisów przez tyle miesięcy sprzedawanych nam jako sedno polskiej racji stanu w wojnie na narracje historyczne?

Postawa petentów, pokornie proszących o wytlumaczenie nam tej „ustawki” Polski z Izraelem – czy ściślej: premierów obu krajów wraz z ich zapleczem politycznym – to czynność dość upokarzająca dla obywatelskiego rozumu w sprawie, która przecież rozpałała publiczne dyskusje przez dłuższy czas. Odwraca też uwagę od tego, co naprawdę warto wynieść jako moral z tej historii.

Antypolonizm i interes narodowy

Po pierwsze, Warszawa dostała od Tel Awiwu swego rodzaju świadectwo moralności, bo z treści wspólnej deklaracji premierów dla polskiego rządu liczy się to, że może wymachiwać światu przed nosem autoryzowanym przez Tel Awiw papierem, na którym oprócz „antysemityzmu” zapisano „antypolonizm”. Odległość między tymi słowami i ich kontekst były zapewne starannie negocjowane, nie mogło bowiem powstać wrażenie, że rządowi

Netanjahu przyszło do głowy stawiać na równi te zjawiska – fala krytyki w izraelskich mediach wskazuje, że takie ryzyko istniało. Musiały zarazem stać na tyle blisko siebie, by PiS mógł antysemickiej części swojego elektoratu pokazać, jak bardzo zadbał o „interes narodowy”.

Że o te parę słów – oraz o dobitne podkreślenie, iż to Niemcy są sprawcami Holocaustu – polskim władzom chodziło, świadczyły zarówno komentarze formułowane na gorąco przez premiera Morawieckiego, jak również nieco późniejsze wywiady udzielane przez Jarosława Kaczyńskiego. Według obu tych polityków Polska pokazała światu, jakie są jej racje, i tytuł do niewinności. Ponoć zmusiliśmy wszystkich, żeby odrobili lekcję ze skali polskiego cierpienia w trakcie wojennej okupacji.

Z Morawieckiego i Kaczyńskiego biło szczere zapewne zadowolenie, jakby ten urzędowy dokument mógł być argumentem przed trybunałem światowej opinii publicznej. Owszem – niesprawiedliwym i skłonny do uproszczeń, ale z pewnością niedającym się modelować przez ustawy i urzędowe wypowiedzi. I niechętnie nastawionym do polskiej narracji nie

z powodu wydumanego spisku sił chcących poprzez pedagogikę wstydu pozbawić Polskę jej siły przetargowej, lecz przez dokładnie takie hece jak ta, która się u nas od stycznia przetaczała. Kaczyński i Morawiecki mogliby zapytać prof. Joanny Nizyńskiej, która w poprzednim numerze „Tygodnika” opisuje w szczegółach skalę zmarnowanej polskiej *soft power* w USA, czy jej się ten wynegocjowany kwit na cokolwiek przyda w odbudowie wizerunku Polski w amerykańskich środowiskach żydowskich.

Za dwa tygodnie przekonamy się o kolejnym wyglądaniu przez polskie władze owocu tego nagłego odwrotu. Podczas najbliższego szczytu NATO prezydent Andrzej Duda uzyska zapewne upragnione spotkanie z Donaldem Trumpem. Choćby było krótkie i pozbawione treści, jest teraz tym ważniejsze, że w okresie coraz mocniej zabagnionych relacji z Unią poklepanie nas po ramieniu przez prezydenta USA nabiera symbolicznego znaczenia. Jakbyśmy wspólnie w coś grali. Ma również znaczenie na forum samego NATO, którego cierpliwość ostatnio Warszawa postanowiła przetestować swoją ofertą ściągnięcia do





Przed Marszem Pamięci w rocznicę likwidacji krakowskiego getta, Kraków, plac Bohaterów Getta, marzec 2014 r.

wnątrz nie będzie narzucał suwerennej Polsce rozwiązań prawnych. Okazało się, że może – a fakt, iż jawna część spektaklu trwała tak krótko, jeszcze to wrażenie zmiany dokonanej pod dyktando świata umacnia. Premier mówił w środę o „mądrości etapu” i chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, jak celnie ściągnął z historii skojarzenie. Cóż więcej mówić o szacunku PiS-u dla własnej bazy i twardego elektoratu: etap się zmienił, a to, co wczoraj było białe – jest czarne.

Żeby jednak wyjść z tego kręgu domysłów: warto sobie odpowiedzieć na pytanie, co wiemy na pewno i z czym wychodzimy dalej. Po pierwsze, dzięki awanturze wznieconej pod koniec stycznia pospadało trochę masek i dowiedzieliśmy się, jaki jest aktualny kurs waluty antysemityzmu na polskiej politycznej giełdzie. Całkiem wysoki, okazuje się – i to też jest szkoda wizerunkowa, której żadna deklaracja premierów nie wymaże.

Można też ironicznie zauważyć, że dzięki błyskawicznej akcji w środę przekonał się, iż mamy sprawnie funkcjonujące e-panstwo, skoro pan prezydent zdołał złożyć swój podpis pod ustawą przebywając za granicą. Nie można było czekać, aż wróci do kraju ze swoim wiecznym piórem: na szóstą był już zamówiony telefon: z Tel Awiwem i każda godzina zwłoki groziła, że z jakiegoś kąta politycznej sceny wybiją jednak antysemickie szambo, na tyle wredne, że popsułoby cały pozytywny efekt szybkiej zmiany.

Ile czasu zajęło panu prezydentowi skonsultowanie ustawy z prawnikami (czego dokonał, jak informuje urzędowym tonem Kancelaria)? Jak pamiętamy, „niezwłocznie” to w jego przypadku pojęcie →

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

siebie wojsk amerykańskich, z pominięciem Sojuszu właśnie. Tak więc niech obie brukselskie centrale patrzą i wyciągają wnioski: Polska się liczy i ma przyjaciela w Białym Domu!

Warto przy okazji zauważyć szczególnie, może drobny, ale w tej dziwnej grze w aluzje i niedomówienia także detale są ważne: w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” prezes PiS używał wyrażenia „władze w Jerozolimie”. Czy to zapowiedź, że wkrótce Polska dołączy do Trumpa w brzemiennej w skutki operacji uznania tego miasta za nie tylko faktyczną, ale formalną stolicę Izraela?

Dlaczego warto połknąć żabę

Aż trudno uwierzyć, ile musi być wart taki *handshake* (bo ważne decyzje, czy wziąć na serio propozycję baz wojskowych nad Wisłą, Biały Dom nie podejmuje na podstawie aktualnego stanu relacji Polski z Izraelem). Dla niego – okazuje się – warto posłać do diabła pięć miesięcy zaciskania zębów, bezsensownej obrony własnej pomyłki i zjeść jednym kęsem żabę, którą można było przez parę miesięcy przetrwać ze znacznie mniejszym uszczerbkiem dla godności. Pięć miesięcy obóz rządzący powtarzał, że nikt z ze-

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Gminy Miasta Sulejów, pod sygn. I Ns 1140/17, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w Sulejówku, w obrębie 0016, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 414, o powierzchni 0,0317 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności Icka Grabie bądź jego spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do tut. Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 40/18, toczy się postępowanie z wniosku Getin Noble Bank S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Marii Spocińskiej z d. Rzuczkowskiej, c. Tadeusza i Józefy, zm. 17 maja 2016 r. w Łodzi, a ostatnio stale zamieszkałej w Odrzywole, gm. Odrzywół.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Stanisławy Marii Spocińskiej, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swój interes prawny, gdyż w przeciwnym razie Sąd pominie ich jako spadkobierców.

OGŁOSZENIA

→ rozciągliwe, tym razem jednak nie musiał się długo namyślać, doskonale bowiem wiedział, co dostaje do podpisu: był częścią (nie wiemy na razie, jaką) całego procesu tkania środowowej operacji.

Nic o niej nie wiedzieli natomiast zagonieni naprędce rano na nadzwyczajne posiedzenie klubu posłowie – i to jest kolejna obserwacja, z którą powinniśmy pozostać. Niezależnie od tego, że zmiana w ustawie likwiduje koszmarny błąd, trudno się z niej cieszyć, kiedy przyjmuje ją maszynka do głosowania, w którą Sejm został zamieniony tak brutalnie jak nigdy dotąd w tej kadencji. Sprawa była wielokrotnie dyskutowana, zarówno na sali sejmowej, jak i w licznych gremiach okołopolitycznych oraz w mediach, także w łonie partii rządzącej ścierały się różne postawy i strategie. Ale – i to kolejna lekcja – sposób jej ostatecznego rozstrzygnięcia pokazuje dobitniej niż naruszanie trójpodziału władzy i majstrowanie w sądownictwie, że PiS po prostu nie lubi demokratycznych procedur i zasad. Potrafi je zdeptać – jak w tym przypadku – nawet gdy robi krok w dobrze pojętym interesie nas wszystkich.

I wreszcie gwiazda premiera Morawieckiego: niewątpliwie świeci mocniej, ale czy aż tak, jak przedstawiają to pochlebcy? Bez względu na to, czy był pierwszym poruszczeniem w tej misternej układance, fakt, że wszystko zostało rozegrane tak, by to był jego triumf, wskazuje, iż jego pozycja na szczytach pisowskiego układu władzy jest jeszcze mocniejsza. Opowiastka o twardym pragmatyku, który rozgrywa skutecznie swoje karty przeciwko wewnętrznym konkurentom i osiąga trudne, ale owocne kompromisy międzynarodowe, byłaby może nawet krzepiąca, gdyby nie to, że akurat ten kompromis utopił on zaraz w nieznosnej tromtadacji, która wykraczała poza konieczne w takich razach robienie dobrej miny do złej gry. Spór z Unią Europejską o zmiany w sądownictwie pokazuje zresztą, że licencję na kompromis jego polityczny patron dalej wydziela mu skąpo i po uważaniu.

© © PAWEŁ BRAVO

Izrael ustąpił Polsce

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Premier Netanjahu dał Polsce w zamian prawdziwy skarb: uznanie dla polskiej narracji o II wojnie światowej – komentują izraelskie media.

WYWALCZYLIŚMY PRAWDĘ I SPEŁNILIŚMY nasz obowiązek obrony historycznej prawdy o Zagładzie” – napisał na Facebooku premier Benjamin Netanjahu, ogłaszając zwycięstwo w sprawie ustawy o IPN (zwanej w Izraelu „prawem o Szoah”). Swoją wpis opatrzył filmikiem z fragmentami środowowego przemówienia i dramatyczną muzyką, co ciekawe – z pominięciem odczytanej wspólnej deklaracji premierów Polski i Izraela.

To, czego zabrakło w filmiku Netanjahu (i czego premier najwyraźniej się zawstydział), nie uszło uwadze izraelskiej prasy. Dziennik „Jediot Ahronot” komentuje, że zmiana tego prawa w Polsce jest oczywiście dużym osiągnięciem, ale deklarację obu premierów uznać już należy za skandal. Próbuje ona ustalić jednolitą wersję historii z jednego z najciemniejszych okresów w dziejach ludzkości, szczególnie narodów żydowskiego i polskiego. „Z historycznej perspektywy jest niemądrą próbą obniżenia wagi polskiego wątku w historii Zagłady poprzez sprowadzenie morderczej aktywności wielu Polaków w stosunku do żydowskich sąsiadów do niewłaściwej postawy konkretnych osób (...) Nie leży w roli, autorytecie czy zdolności polityków podpisywanie deklaracji historycznych. Tak jak żadne prawo nie może zamazać prawdy o Szoah, tak samo nie robi tego żadna polityczna deklaracja”.

Autor zauważa, że w deklaracji jest tyle błędów i złego smaku, że potrzeba teraz długich historycznych badań, by je nazwać. „Na przykład po raz pierwszy premier Izraela mówi coś o antypolonizmie – słowie, które zostało wymyślone przez polskich nacjonalistów jako przeciwwaga do słowa antysemityzm”. Jak ocenia dalej komentator dziennika, „w bitwie o to prawo poddali się nie tylko Polacy, ale też my”. Zauważa również, że szybkość, z jaką zmiana tego prawa odbyła się w Polsce, była czymś właściwym niedemokratycznym rządom.

W podobnym tonie sprawę komentuje „Haaretz”, ogłaszając zwycięstwo Warszawy w walce o historyczną narrację. Dziennik zwraca uwagę na wątek ceny, jaką może wśród swojego elektoratu ponieść polski premier i partia rządząca. „Pod naciskiem obcego rządu wycofał się z prawa uchwalonego przez swój parlament i prezydenta. Premier Netanjahu dał Polsce w zamian prawdziwy skarb – uznanie dla polskiej narracji o II wojnie światowej. (...) Izrael ewidentnie ustąpił Polsce, z powodu nieujawnionych dyplomatycznych okoliczności”. Komentator punktuje historyczne nieścisłości deklaracji, zauważając, że wspólnemu oświadczeniu brakuje szczerzego rozliczenia z polską częścią historii Zagłady, która przecież jest znana z wielu historycznych badań, także tych prowadzonych w Polsce. „Mimo tego wszystkiego, rezultat tej wspólnej deklaracji jest mile widziany i pożądany. Od teraz rozpatrywanie polskich wątków w II wojnie światowej będzie należało do historyków, dziennikarzy, postaci życia publicznego i polityków – bez zagrożenia więzieniem wiszącego nad każdym, kto ośmieli się wyrazić poglądy nie mile dla danego ucha”.

„Jerusalem Post” z kolei zbiera komentarze polityków. Najostrzejszy z nich padł z ust głównego rywala politycznego Netanjahu Jaira Lapid, który nazwał zmianę prawa „złym żartem” i nawoływał do całkowitego odwołania tego „skandalicznego prawa” i przeprosin. „Powinni prosić o wybaczenie zmarłych” – komentuje Lapid. Gazeta zauważa też, że instytut Yad Vashem przyjął zmianę z zadowoleniem i nazwał ją „pozytywnym rozwojem sprawy w dobrym kierunku”.

Kanał 10 izraelskiej telewizji przytoczył z kolei wypowiedź wysokiego rangą urzędnika państwowego, który twierdzi, że deklaracja została zaakceptowana przez grupę izraelskich historyków, prowadzoną przez prof. Dinę Porat – główną historyk Yad Vashem.

©



JACEK TARAN

Marsz Wolności, Warszawa 2017 r.

Plebiscyt dla samobójców

KLAUS BACHMANN

Demokraci sprzyjają zniesieniu demokracji. Proeuropejscy politycy przyczyniają się do likwidacji Unii Europejskiej. Takie mamy czasy.

WYNIKU SPORU W OBOZIE RZĄDZĄCYM jedna frakcja wykorzystuje morderstwo, które bulwersuje opinię publiczną, i proponuje przeprowadzenie referendum o karze śmierci. Pozostałe frakcje i opozycja zgadzają się na to. Nie chcą uchodzić za pobłażliwe wobec morderców i przeciwników woli większości. Referendum daje przewagę zwolennikom kary śmierci i stawia kraj przed wyborem: albo ignorować werdykt obywateli, albo opuścić Radę Europy i Unię Europejską, czego nikt wcześniej nie chciał. To hipotetyczny scenariusz dla Polski, o wiele bardziej realny niż powtórka z brexitu. Według podobnego scenariusza przebiegają obecne konflikty polityczne w kilku kluczowych krajach UE.

Brytania, Polska i Niemcy

W 2015 r. brytyjski premier David Cameron obiecał eurosceptykom w swojej par-

tii przeprowadzenie referendum na temat członkostwa Wielkiej Brytanii w UE, aby zapewnić sobie ich poparcie w wewnętrzpartyjnych rozgrywkach. Był przekonany, że takie referendum skończy się gromkim „tak”, i że będzie po nim premierem z jeszcze silniejszym mandatem. Ale referendum skończyło się na „nie”. Cameron przestał być premierem. Mniejszość w partii, przed którą wówczas ustąpił, dziś jest większością i rządzi krajem.

Nie chodzi o to, że Cameron się pomylił – to każdemu politykowi może się zdarzyć. Chodzi o to, że konflikt w bardzo małej grupie wywołał daleko idące skutki dla całej Europy. Nikt potem nie był już w stanie ich kontrolować.

Cały spór o miejsce Wielkiej Brytanii w UE sprowadzono do prostego podziału na „zostać albo opuścić”. Wybrano więc taki sposób jego rozwiązania, który wykluczył jakiegokolwiek kompromis, tym bar-

dziej że doprowadzono do skrajnego rozhuśtania opinii publicznej. Politycy obiecali szanować wynik referendum jako wolę narodu, tak jakby ta wola była niezmienna w czasie i niezależna od skutków własnych wyborów.

Warto o tym pamiętać przed referendum, które Polsce zamierza zafundować prezydent. Referendum nie polega na tym, że naród decyduje (większość i tak zazwyczaj nie idzie głosować), lecz na tym, że w najbardziej dla siebie korzystnym momencie rządzący zadają narodowi pytania, które uważają za słuszne. A potem interpretują odpowiedzi i wcielają je w życie tak, jak im się podoba.

W polskich warunkach dzięki referendum rządzący mogą sterować rządzonymi i dostać od nich *carte blanche*, z pominięciem innych instytucji i opozycji.

Od referendum w Wielkiej Brytanii upłynęły już dwa lata. Ale warto powrócić do tej historii również dlatego, że właśnie teraz w Niemczech, w obrębie małej grupy (liderów partii CDU i jej dotychczasowego bawarskiego partnera CSU) dochodzi do konfliktu, który obie strony sprowadzają do alternatywy między „proeuropejskim multilateralizmem” i „niemiecką własną drogą”. Obie strony próbują rozwiązać go metodami, które wykluczają jakiegokolwiek kompromis: za pomocą ultimatum i decyzji, kto z głównych antagonistów zachowa twarz i urząd. Czy minister spraw wewnętrznych Horst Seehofer, czy

→ kanclerz Merkel. Niemiecka konstytucja nie pozwala na przeprowadzenie referendum. Dlatego sprawę rozstrzygną intrygi w elitach politycznych. Ale poziom rozhuśtania opinii publicznej jest obecnie podobny jak w Wielkiej Brytanii przed referendum. I obojętnie, jaki będzie wynik, żadnego problemu nie rozwiążą, lecz tak samo jak podczas brexitu, stworzą mnóstwo dodatkowych problemów.

Mała rzecz, nieobliczalne skutki

Istota niemieckiego sporu dotyczy kilku tysięcy imigrantów, którzy rokrocznie trafiają do Niemiec, mimo że są już zarejestrowani w innych krajach UE. Niemcy mają prawo ich odsyłać tam, gdzie są rejestrowani, i tak też robią. Jest to jednak kosztowne i trwa długo. Wymaga też współpracy z krajami, które ich rejestrowały (głównie z Grecją, Włochami i Hiszpanią). Dlatego Seehofer chce ich odsyłać już z południowej granicy Niemiec do Austrii (a Austria musiałaby ich albo przyjąć, albo odsyłać dalej do Grecji lub Włoch). Liczba tych przypadków ginie w ogólnej liczbie ok. 80 tys. nowych przybyszów, którzy trafiają rocznie do Niemiec.

Problem jest więc niewielki i jego rozwiązanie – obojętnie w jaki sposób – nie rzutuje ani na globalne trendy migracyjne, ani na politykę integracyjną Niemiec. Prawnie rzecz biorąc, Seehofer może odsyłać już uchodźców z granicy, ale bez naruszenia prawa UE nie może tam wprowadzić kontroli granicznych. A jedno bez drugiego nie ma sensu. Ale o sens już od dawna nie chodzi.

Angela Merkel – w odruchu podobnym do tego, który skłonił Camerona do zgody na referendum – ogłosiła to sporem między „multilateralizmem” i „własną drogą”. Szefostwo CSU tę interpretację przyjęło za swoją. W następnym kroku uzależniła swój los od wyniku negocjacji z innymi przywódcami państw UE – tak jak zrobił to Cameron podczas negocjacji o nowej umowie z UE. Politycy, komentatorzy, media traktują ten spór jako zasadniczy konflikt „za czy przeciw” Unii Europejskiej, „za czy przeciw” multilateralizmowi, „za czy przeciw” zamykaniu granic. To podział, który w niemieckiej polityce dotąd nie istniał. Do pojawienia się Alternatywny dla Niemiec (AfD) w Bundestagu wszyscy zawsze szukali „europejskich rozwiązań”, negocjując je z innymi państwami, ścigając się wręcz o to, kto jest bardziej proeuropejski.

Dobra wiadomość dla rządu: po osłabieniu UE

Komisja będzie siedzieć cicho, Parlament Europejski będzie się tylko kłócił, a Trybunał Sprawiedliwości zostanie zatkany wzajemnymi skargami instytucji i państw.

Seehofer wprowadził nowy podział: teraz po jednej stronie stoją zwolennicy multilateralizmu i negocjacji, po drugiej zwolennicy narodowych rozwiązań, to znaczy próby zmuszenia innych państw do zmiany swojej polityki: albo pozostałe kraje zgodzą się na system ochrony granic, relokacji i przekazywania imigrantów, albo Niemcy stopniowo wprowadzą kontrole graniczne na swoich granicach. Kaskada podobnych decyzji innych państw spowoduje wtedy pojawienie się kontroli granicznych (zatorów i kolejek) wszędzie. Będzie to oznaczało zapaść systemu Schengen.

Podobne plany krążyły w Niemczech już w 2015 r., ale wtedy nikt nie odważył się na ich realizację. Wobec napływu ponad 800 tys. uchodźców w ciągu kilku miesięcy i braku infrastruktury policyjnej na granicach były one i tak mało realistyczne. Teraz jest inaczej, m.in. dlatego, że jest o wiele mniej uchodźców.

Kiedy liczba przybyszów na granicach była dziesięciokrotnie większa niż dziś, paniki nie było i Niemcy witali ich na dworcach prezentami. Teraz, kiedy napływu już prawie nie ma, wybucha panika, która rozgrzewa opinię publiczną do białości i grozi obaleniem rządu.

Szkoda narodu

Zmiany nastrojów społecznych mogą wynikać z wyobrażonych zagrożeń, to pewne. Od trzech lat „bezpieczeństwo” jest na ustach wszystkich, choć przestępczość w Niemczech maleje znacznie, miasta stają się bezpieczniejsze, a policja skuteczniejsza. Ale o wiele ważniejsze od tych mierzalnych trendów okazało się kilka głośnych zamachów terrorystycznych i kilka morderstw, które łączyło to, że sprawcy byli uchodźcami, ofiarami nieletni, a zbrodnia zdawała się mieć tło seksualne.

Jedna głośna zbrodnia, która nie rzutuje na ogólny trend, może silnie podkopać społeczne poczucie bezpieczeństwa, może wręcz doprowadzić do zaostrzenia prawa i do wiktymizacji całych grup jako kozłów ofiarnych. W krajach demokratycznych, z dużą konkurencją wolnych mediów i silnymi mediami publicznymi, można było takie ataki paniki konfrontować z rzetelną informacją. W erze mediów elektronicznych, internetu i mediów społecznościowych jest to o wiele trudniejsze, bo odbiorcy nie tylko sami decydują o doborze informacji, mogą się też zamykać we własnej bańce medialnej, dobierając tylko takie informacje, które potwierdzają ich stereotypy. Tworzą sobie wtedy świat, w którym np. liczba „odczuwalnych przestępstw” jest o wiele większa niż liczba realnych przestępstw w policyjnych statystykach. Liczba „odczuwalnych uchodźców” może wielokrotnie przerastać statystyki ministerstwa spraw wewnętrznych. Różnicę można sobie tłumaczyć teorią spiskową.

Sprzyjają temu politycy, którzy zamiast wyjaśnić sprawę, domagają się, aby „obawy obywateli brać poważnie”, niezależnie jak dalekie są one od rzeczywistości.

Politycy lubią podsycać takie lęki, domagają się zaostrzenia prawa, które miałyby tym urojonym zagrożeniom zapobiec. Znamy przykłady, kiedy całe plemiona, grupy etniczne i państwa oszukiwały się same, wmawiając sobie szkodliwe przesady, na podstawie których podejmowały zbiorowe decyzje przynoszące im szkody. Dzięki metodom demokracji bezpośredniej takie decyzje są podejmowane szybciej i w sposób nieodwracalny.

W wyniku krótkotrwałej, zbiorowej paniki mogą zapaść daleko idące decyzje, których nikt przy zdrowych zmysłach by nie podjął. A już na pewno by nie podjął, gdyby mógł przewidzieć ich skutki. Przypieczętowane plebiscytem stają się nieodwracalną „wolą narodu”, nawet wtedy, kiedy temu narodowi ewidentnie szkodzi.

Jak tnie ostrze noża

W wyniku tej „demokracji dramatu”, jak nazwał to już 16 lat temu belgijski socjolog Mark Elchardus, partie proeuropejskie w Niemczech mogą przyczynić się do rozpadu UE. W Wielkiej Brytanii wszystko odbywało się w ramach demokracji i wśród demokratów. Ale połączenie „demokracji dramatu” z demokracją bezpośrednią w rękach władzy dążącej do au-

tokracji daje jeszcze bardziej piorunujące efekty. Pozwala na likwidację demokracji demokratycznymi metodami i z pełnym poparciem zwolenników demokracji. Kiedy bowiem rząd albo prezydent ogłaszają referendum w kontrowersyjnej, dzielącej obywateli sprawie, to przekierowują skomplikowany i nastawiony na zawieranie kompromisów system polityczny na prosty podział na tych, którzy są za, i tych, którzy są przeciwko. Tego podziału nawet najbardziej zagorzali zwolennicy demokracji nie podważają. Co najwyżej wzywają do głosowania na „nie”, ale sensu plebiscytu nie kwestionują, bo przecież demokratom nie wolno oponować przeciwko demokratycznym procedurom!

Dedykuję to prezydentowi Rzeczypospolitej, ale też wszystkim tym, którzy uważają, że skomplikowane, wymagające kompromisów problemy polityczne, od aborcji przez *in vitro* aż do uchwalenia nowej konstytucji, można łatwo rozwiązać za pomocą referendum. Mimo najlepszych chęci mogą się nie tylko rozczarować i osiągnąć wynik odwrotny do zamierzonego. Demokratyczni zwolennicy referendum mogą się też obudzić w zupełnie innym państwie i w innym ustroju. Stawiając wszystko na ostrzu noża, można się nieźle pociąć. Propagując demokrację bezpośrednią, demokraci zakładają na siebie pułapkę, w którą z łatwością zląpią ich przeciwnicy demokracji.

Od dawna wiadomo było, że posiadanie swoistych hamulców dla władzy wykonawczej i ustawodawczej daje niektórym państwom przewagę w negocjacjach w ramach UE, bo pozwala im się wiarygodnie zasłaniać argumentem, że niekorzystny wynik negocjacji nie będzie potem mógł być wcielony w życie w kraju. Mogą go przecież zablokować silny Trybunał Konstytucyjny albo opozycja za pomocą referendum. W niektórych krajach prowadziło to do dyskusji nad wprowadzeniem referendum w sprawach europejskich (np. w Austrii), w innych (na Węgrzech) do mnożenia takich referendum. W jeszcze innych – np. w Holandii przy ratyfikacji Traktatu Konstytucyjnego UE – uznano za wiążące nawet referendum, które zgodnie z konstytucją było tylko doradcze. Oka-

zało się, że „wola narodu” jest wiążąca i nieodwracalna nawet wtedy, kiedy jest tylko opinią. Dzięki tym krajowym hamulcom mamy dziś UE, która jest mniej zdolna do podejmowania wspólnych decyzji niż kiedykolwiek.

Dobre wieści dla polskiego rządu

Polski rząd nie może się już wiarygodnie zasłaniać oporem Trybunału Konstytucyjnego, kiedy chce blokować decyzje Brukseli – a wobec olbrzymiego poparcia dla UE w Polsce tylko polityczny samobójca może chcieć przeprowadzić referendum na temat udziału w UE. Ciężar blokowania niechcianych decyzji w Brukseli spoczywa teraz na ministrach i na premierze. Mogą tam robić, co im sumienie albo centrala partii nakaze, ale z bardzo słabych pozycji.

Dotąd sprawy europejskie w większości krajów europejskich nie były kontrowersyjne, a elity mogły pracować nad rozszerzeniem i pogłębieniem integracji nawet przy niesprzyjających nastrojach. Istniało bowiem coś w rodzaju cichego przyzwolenia. To się zmieniło dramatycznie podczas kryzysu strefy euro, kiedy Europa spierała się, czy ratować Grecję. Teraz mamy podobny spór o politykę wobec migracji, ale w o wiele mniej sprzyjających warunkach. Na Stany Zjednoczone (które uczestniczyły w ratowaniu Grecji) nie ma co liczyć, obecny prezydent jest zdeklarowanym przeciwnikiem integracji, zwolennikiem protekcyjizmu i wydał UE wojnę handlową. Wielka Brytania jest zajęta brexitem i jego skutkami.

Niemcy, tradycyjny moderator konfliktów w UE, odpadają na wiele miesięcy lub nawet na lata, bo w warunkach rozbratu części elity politycznej z multilateralizmem żaden rząd nie będzie w stanie odgrywać roli arbitra w UE, obojętnie, kto będzie kanclerzem i w jakiej koalicji.

Stąd dobre wiadomości dla polskiego rządu. I złe dla Polski. Za rok zapanuje inny układ w Komisji Europejskiej i w Parlamencie. Ugrupowania prawicowo-populistyczne i eurosceptyczne mogą uzyskać negatywną większość, która pozwoli im blokować decyzje (ale nie pozwoli na podejmowanie wspól-

nych decyzji przeciwko innym), albo mniejszość blokującą. W skrajnym przypadku komisarzem odpowiedzialnym za kwestie praworządności może być wtedy zausznik Jarosława Kaczyńskiego i Viktora Orbána.

Jedyna instytucja, która może się wtedy jeszcze poważnie zajmować praworządnością w Polsce, to Trybunał Sprawiedliwości – jeśli ktoś uprawniony odważy się tam złożyć skargę. W obliczu wojny handlowej między Stanami i resztą świata, brexitu, spieć w obrębie strefy euro i rozpadu strefy Schengen, nikt nie będzie wyręczać polskiej opozycji w walce o praworządność, dopóki ona sama się nie zjednoczy.

Z tego wynika druga dobra wiadomość dla polskiego rządu: ze słabymi, niezdolnymi do podejmowania decyzji instytucjami UE przyjdzie czas, kiedy Komisja będzie siedzieć cicho, Parlament Europejski będzie się tylko kłócił, a Trybunał Sprawiedliwości zostanie atakowany wielką liczbą wzajemnych skarg instytucji i państw.

Zła wiadomość dla Polski brzmi tak: taką Europę jest bardzo łatwo rozgrywać Rosji, Stanom Zjednoczonym i Chinom. W takiej Europie, która nie podejmuje decyzji i gdzie strefa Schengen (w dalszym planie także Wspólny Rynek) przestaną funkcjonować, płatnicy netto nie będą mieli już powodu płacić na rzecz mniej zasobnych członków.

To nie musi być zła wiadomość dla rządu, bo po pierwsze, wraz ze zniknięciem funduszy europejskich znikną też możliwości wywierania presji przez Unię.

Po drugie, jak pokazują liczne przykłady w Afryce, Chiny też są gotowe opłacić dostęp do rynków innych krajów inwestycjami w infrastrukturę i kredytami – nie stawiając politycznych warunków. W takim świecie zewnętrzne naciski na przestrzeganie zasad praworządności, praw człowieka i demokracji stają się bezskuteczne. Rząd, który nie zamierza ich respektować, będzie mógł zawsze uciec przed finansowymi, dyplomatycznymi i ekonomicznymi konsekwencjami swojej polityki wewnętrznej pod skrzydła Chin lub Rosji.

© KLAUS BACHMANN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



„TP” 25/2018

Dyskusja w Polsce nie uchodzi

„4 czerwca – symbol zdrady i zmywy elit” – takiej treści „pasek” pojawił się w Wiadomościach TVP1 w rocznicę pierwszych (częściowo) wolnych wyborów. „Zmowa elit jest zawsze zdradą ludu.

W samej tej figurze kryje się już wizja podziału na prawdziwych Polaków i elity – bliżej nieokreśloną warstwę społeczną, której nie definiuje w tym przypadku ani wykształcenie, ani bogac-

two, lecz właśnie gotowość do zdrady. Kompromis stanowi w Polsce synonim zdrady” – pisał w „TP” Marcin Napiórkowski. Jego tekst, a także wywiad z kulturoznawczynią Agnieszką Haską sprowokował komentarze na facebookowym profilu i stronie „Tygodnika”:

~ **Mundi8:** Był dialog, kompromis, porozumienie. Jego owoce to na końcu: demokracja, wolny rynek, wolność słowa, suwerenność kraju. „Zmowa” i „zdrada elit” to oczywiście owoce zazdrości i resentymentu.

~ **Mirieli Vinya:** Nie uchodzi u nas żadna dyskusja z przeciwnikiem, każdy najmniejszy kompromis, próba zrozumienia kogoś z drugiej strony stołu obarczone są ryzykiem

oskarżenia o zdradę, układania się z wrogiem, słabość przekonań, sprzedanie przyjaciół. Wydaje mi się, że jest to tak bardzo wrośnięte w sposób myślenia i odczuwania Polaków, że można by to nazwać już chyba cechą narodową, pielęgnowaną z pokolenia na pokolenie rysą charakteru. Jest to silne nie tylko ze względu na „strach przed byciem zdrajcą”, ale także dlatego, że „niebycie zdrajcą” jest powodem do dumy, silnie dowartościującym czynnikiem. Trzeba by chyba wielu pokoleń, by ta cecha straciła na intensywności. Szkoda bardzo, że tak trudno nam docenić wartości, jakie wynikają z rozmowy, współpracy, kompromisu.

~ **Kalinar6:** Agnieszka Haska celnie opisuje idiotyzm polskiej

(i nie tylko) mentalności, która każe ludziom rekompensować swój kompleks poniewieraniem innych pod banalnym hasłem „zdrady”. Cóż to bowiem jest zdrada? Zdradca osoba, która miała poglądy A i wspierała sprawę A, a dla niskich pobudek (np. finansowych) zmieniła front i przeszła na Drugą Stronę Mocy. Takiej zmianie frontu powinny do tego towarzyszyć szczególnie okoliczności. Delikwent powinien ukrywać swój zamiar zdrady, żeby nie być zbyt wcześnie zdemaskowanym i tym dotkliwiej zaszkodzić. Natomiast to, co chętnie jest określane jako zdrada, jest najczęściej naturalną ewolucją poglądów czy generalnie przynależnością do grupy reprezentującej inną niż nasza opcję.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 24/18 postępowanie z wniosku Aleksandra Zajączkowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Marii Wolińskiej, zm. 30 kwietnia 2017 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi udział w prawie własności zabudowanej kamienicą nieruchomości położonej w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, w sprawie sygn. akt I Ns 1276/17, z wniosku Jolanty Dziedzic, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia przez posiadacza samoistnego Józefa i Kazimierę małżonków Opolskich, z dniem 4 listopada 1971 r. własności nieruchomości położonej w Spiczynie, pow. łęczyński, oznaczonej jako działki gruntu 608 o pow. 3,11 ha, 192/1 o pow. 0,35 ha, 192/2 o pow. 0,18 ha.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili się i wykazali własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeżeli zostało ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 238/17, toczy się sprawa z wniosku Gminy Udanin o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Kościu, s. Stanisława i Anny, ur. 14 stycznia 1919 r. w Targowisku, ostatnio zamieszkałym w Targowisku nr 40, zm. 15 listopada 1987 r. w Biłgoraju, i po Anieli Kość, z d. Flis, c. Wawrzyńca i Marianny, ur. 22 kwietnia 1915 r. w Biskupiu, ostatnio zamieszkałej w Targowisku nr 40, zm. 15 października 2008 r. w Bychawie. W skład spadku wchodzi udział we współwłasności nieruchomości o pow. 0,19 ha.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego Edwarda Kościa i zmarłej Anieli Kość, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Janowie Lubelskim i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 61/18, toczy się postępowanie z wniosku Jarosława Kwintala, o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności ruchomości w postaci motocykla WSK M06-L, koloru brązowego, wyprodukowanego w 1962 r., o nr. ramy SO284504 oraz nr. silnika 17049, typu S01-Z, pojemności 123 cm i mocy 6,2 KM, kupionego w 2012 r. na motobazarze w Łodzi.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym w szczególności właścicieli ww. pojazdu lub ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili przysługujące im prawo do ww. pojazdu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie na rzecz wnioskodawcy, o ile zostanie ono udowodnione.



Dyrektywa o jednolitym rynku cyfrowym to ratunek dla niezależnego dziennikarstwa

Istnienie niezależnej, zróżnicowanej i wiarygodnej prasy wymaga stabilności działania jej wydawców. Bez tego wydawcy prasy – drukowanej i cyfrowej – nie zapewnią rzetelnego przekazu, pozwalającego odróżnić fałsz od prawdy.

Obecnie treści prasowe są bezprawnie kopiowane i udostępniane na stronach internetowych wielu podmiotów. Wydawcy i dziennikarze nie otrzymują należnych rekompensat, a większość wpływów z reklamy w sieci wędruje do światowych gigantów technologicznych, zwiększających swą atrakcyjność dzięki wykorzystaniu cudzych treści.

Wydawcy nie zabiegają o przywileje, ale o równe traktowanie: prawo pokrewne, z którego od lat korzystają producenci filmowi, muzycy, audiowizualni, producenci gier i programów komputerowych, bazujące na zasadzie: jeśli zarabiasz na cudzej twórczości, to podziel się zyskiem. Właśnie takie rozwiązanie, którego beneficjentami będą zarówno wydawcy, jak i dziennikarze, proponuje Komisja Prawna Parlamentu Europejskiego.

Wbrew rozpowszechnianym ostatnio dezinformacjom prawo to NIE ZAGRAŻA WOLNOŚCI INTERNAUTÓW:

- **nie ograniczy linkowania** (hasło „podatek od linków” to FAŁSZ!)
- **zachowuje wszystkie dotychczasowe wyjątki na rzecz prywatnego użytku, odnoszące się do:**
 - cytatów,
 - ilustracji,
 - tworzenia memów,
 - prowadzenia badań naukowych,
 - kopiowania i dzielenia się treściami w kręgu osobistym itp.
- **nie dotyczy platform edukacyjnych,** usług w chmurze, platform open source, encyklopedii (np. Wikipedii) itp. Jedynie od największych, zarabiających na udostępnianiu treści, wymaga, by stosowali się do prawa autorskiego.
- **nie nakłada na internet żadnej cenzury.**

Dyrektywa ma naprawić znaczące dysproporcje między wynagrodzeniem twórców a zyskiem komercyjnych platform internetowych, udostępniających różnego rodzaju utwory. Dzięki stosownym licencjom twórcy otrzymają godziwe wynagrodzenie, a internauci nadal będą mogli dzielić się utworami i przysyłać posty bez czyjejkolwiek cenzury i ograniczeń.

Rozwiązanie to jest korzystne przede wszystkim dla małych i średnich, także lokalnych wydawców, których nie stać na prowadzenie długotrwałych i kosztownych procesów sądowych w obronie swych praw.

Jednolity rynek cyfrowy powinien przynosić korzyści wszystkim twórcom (w tym dziennikarzom) oraz konsumentom (w tym czytelnikom). Nie tylko kilku dominującym na rynku gigantom internetowym.

Na wprowadzeniu dyrektywy skorzystają wszyscy, także portale i wyszukiwarki, w których czytelnik znajdzie wartościowe treści.

Apelujemy zatem do Parlamentu Europejskiego, do polskich przedstawicieli w Parlamencie, naszego rządu – o wsparcie proponowanych rozwiązań prawnych, zapewniających wreszcie dziennikarzom i wydawcom godziwe traktowanie i powstrzymujących degradację prasy.

Wydawcy Prasy



WIARA

LUBIĘ WSZYSTKO, CO ROBIĘ

KS. TOMÁŠ HALÍK, TEOLOG:

Źle znoszę wysiłki „obrońców naszej chrześcijańskiej cywilizacji”, aby z wiary zrobić ideologię polityczną.

„LIDOVÉ NOVINY”: Z okazji jubileuszu 70. urodzin napisać Ksiądz autobiograficzną książkę „Czy to było życie?”. Na początku pada tam pytanie Księdza współpracownicy, Scarlett: „A Ty znowu piszesz o sobie?”. Co Ksiądz jej odpowiedział?

TOMÁŠ HALÍK: Powiedziałem, że piszę nie tylko o sobie, ale też o ponad półwieczu historii społeczeństwa i Kościoła oraz o Bogu. Nie jestem historykiem, żeby starać się o „obiektywność”, i nie piszę traktatu teologicznego. Daję osobiste świadectwo – nic więcej i nic mniej. Często byłem we właściwym czasie i we właściwym miejscu, spotykałem właściwych ludzi i te doświadczenia – także doświadczenia charakteru duchowego – mogą wzbogacić również innych.

Przy pisaniu pierwszych dwóch książek, którymi przed mniej więcej dwudziestu laty rozpocząłem swoją pisarską drogę – „Pytałem się dróg” i „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe” – wybrałem styl, który swoimi „Wyznaniami” odkrył święty Augustyn: kombinację autobiografii z refleksją filozoficzno-teologiczną. Reakcje na te książki zachęciły mnie do dalszego pisania. Przypominam sobie kilkoro młodych ludzi, którzy mi mówili, że dzięki mojej książce pojednali się z rodzicami, bo zrozumieli, w jakim czasie przyszło im żyć. Niektórym z czytelników świadectwo mojej wiary jako nieustającego poszukiwania umożliwiło nowe rozumienie religii. Zrozumieli, że nie chodzi tu o zbiór „poglądów i przekonań”, o ideologię, ale też nie o bezkrytyczną identyfikację z jakąś instytucją i jej dogmatami.

Wiara i wątpliwości potrzebują się nawzajem jak dwie dopełniające się i szukające równowagi siostry. Wiara bez namysłu i krytycznych pytań może ulec degeneracji do poziomu bigoterii, fundamentalizmu i fanatyzmu. Z drugiej strony nieumiejętność poruszania się wśród własnych wątpliwości i brak odwagi, aby wkroczyć z nadzieją i zaufaniem w obłok tajemnicy, tam, gdzie jest coś więcej niż tylko to, co „dotykalne i możliwe do udowodnienia” – mogą prowadzić do cynizmu, zgorzkniałego sceptycyzmu i powierzchownego materializmu. Dojrzała wiara jest drogą z powierzchni życia do jego głębi. Nie jest nią sentymentalno-folk-

lorystyczna nostalgia „tradycjonalistów”, nie jest to też schlebający współczesności „progresywizm” ani komercyjna oferta ezoteryków i sekciarzy.

Uważa Ksiądz, że Boga można szukać także opowiadając własną historię, i że czyniąc to nie należy ukrywać własnych wahań. Jakie wahania Księdza osobiście dotknęły?

Zawsze mną wstrząsa, jak słyszę gromkie porykiwanie o wierze w stylu odpustowych zapiewajłów. Żle też znoszę wysiłki „obrońców naszej chrześcijańskiej cywilizacji”, aby z wiary robić ideologię polityczną. A w Ameryce czułem przesyt ulicznych i telewizyjnych „ewangelizatorów”. Pytam czasem sam siebie, ze wstydem i grozą, czy ja mam coś wspólnego z tak wulgarną wersją religii.

Wierzę, że chodzi tu o tajemnicę, której nie można opowiedzieć słowami i pojęciami, a lepiej używać cudownej, poetyckiej mowy metafor. Chrześcijanie nie powinni starać się przekrzykiwać reklam tego świata, ale raczej prowadzić w ciszy do świątyni sumienia, gdzie Bóg przemawia delikatnymi podmuchami. Pamiętaj: zdejmij buty, bo ziemia, na której stoisz, jest święta.

Czym dla Księdza jest pisanie?

Lubię wszystko, co robię, i co od upadku komunizmu mogę już robić publicznie. Lubię moją pracę naukowo-pedagogiczną na uniwersytecie, liturgię, kazania i działalność w duszpasterstwie akademickim w kościele św. Salwatora w Pradze. Lubię wykłady i podróże naukowe po świecie, spotkania z czytelnikami. Ale pisanie książek sprawia mi najwięcej radości. Oczywiście jest to związane z przestrzenią, w której powstają wszystkie moje książki. To pustelnia nad Renem, w której przez pięć tygodni nie widzę człowieka, telewizji, radia czy gazet, gdzie pisanie jest moją formą modlitwy i medytacji. Przed biurkiem do pisania jest ołtarz z wystawioną Eucharystią i niekiedy piszę dosłownie na klęczkach. W czasie roku akademickiego mogę pisać artykuły, polemiki czy teksty naukowe. Ale porządna książka musi powstawać zupełnie inaczej. Ten czas na pisanie to jest taka mała wycieczka w głąb siebie. W ciszy i samotności inaczej pracują mózg i zmysły. Inaczej postrzegam barwy i zapach lasu, śpiew ptaków, smak chleba i wina, ciepło z otwartego kominka, ale także moje wła-

sne sny. Niekiedy kładąc się spać nie wiem, jak pisać dalej, a rano po obudzeniu mam w głowie gotowy nowy rozdział.

Był Ksiądz ochrzczony, ale potem wyrastał w rodzinie, w której nie praktykowano religii katolickiej. Co w 18. roku życia skierowało Księdza na drogę ku Kościołowi?

To była długa droga. Nie wykluczam, że na jej początku był między innymi protest przeciw ideologii ateistycznej, wmuślanej przez reżim. Zawsze miałem skłonność do podważania wszystkiego, co wymuszone, zawsze lubilem oglądać rzeczywistość także z drugiej, niewidocznej strony. W szarej, zapleśniałej i zatęchłej atmosferze realnego socjalizmu oczarowała mnie katolicka kultura, pełna uduchowienia muzyka, architektura sakralna, literatura wielkich katolickich powieściopisarzy i poetów, jak i sztuka współczesna. Do dziś, kiedy wprowadzam ludzi w tajemnicę wiary, używam nagrań z mszy Strawińskiego, reprodukcji „Ukrzyżowania” i „Ostatniej Wieczerzy” Salvadora Dalego, powieści Mauriaca, Bernanosa, Greena. Wielkim odkryciem był też dla mnie Chesterton i katolicyzm angielski.

Dopiero później była filozofia i teologia. Do Kościoła jako instytucji cały czas miałem daleko. Musiało dopiero przyjść osobiste spotkanie z mądrym, przyjaznym ojcem Reinsbergiem, pełnym humoru i wrażliwości na piękno. Jeszcze potem, za czasów Praskiej Wiosny, spotkałem całą generację wielkich kapłańskich osobowości, ludzi, którzy stracili lata w komunistycznych, a niektórzy też hitlerowskich kazamatach, w obozach koncentracyjnych i kopalniach uranu. To byli moi intelektualni i moralni nauczyciele. Cała generacja praskich studentów, intelektualistów i artystów lat 60. nigdy by nie przekroczyła progu kościoła, gdyby ich przez ten próg nie przeprowadził właśnie ojciec Reinsberg i następni: Zvěřina, Mandl. Oni przekazali mi tę służbę odźwiernego. Myśląc o tym, czuję wdzięczność, pokorę i odpowiedzialność.

Dlaczego Ksiądz wybrał właśnie Kościół rzymskokatolicki? Przecież rodzice Księdza byli pod wpływem masarykowskiego humanizmu, a Ksiądz sam w młodości interesował się husytyzmem.

→ Przekonał mnie ogromny pluralizm kultury katolickiej, barwność rozmaitych zakonów, duchowości, teologii i sposobów artystycznego wyrażania, wielka różnorodność katolicyzmu w różnych narodowych kulturach. Prostota przestrzeni ewangelickiej robi na mnie wielkie wrażenie, ale boję się, że byłoby mi tam trochę ciasno. Prawosławie ma tę mistyczną głębię, ale w odróżający sposób łączy się też z rosyjskim nacjonalizmem. Katolicyzm, czyli powszechność, uniwersalizm postrzegam jako ekumeniczną otwartość. Rzymski katolicyzm to tylko jego element.

Czy Ksiądz tajne święcenia nie przypominały przypadkiem filmu szpiegowskiego?

Tak, do biskupa zawieźli mnie w aucie, przykrytego płaszczem. W 1977 r. w prywatnej kaplicy biskupa Aufderbecka w Erfurcie przyjąłem święcenia diakońskie, a rok później kapłańskie. W filmie telewizyjnym czeskiej telewizji „Trzynasta komnata” osobiste świadectwo tego wydarzenia przedstawił naoczny świadek, biskup Reinhard Koch. Na drugi dzień w zamkniętej kaplicy jednego z klasztorów odprawiłem swoją pierwszą mszę. Prosto z tej kaplicy poszliśmy z biskupem Meissnerem, późniejszym kardynałem, oglądać w telewizji transmitowaną na żywo pierwszą papieską mszę Jana Pawła II.

Dlaczego wybrał Ksiądz działalność w Kościele podziemnym, a nie w tym oficjalnym? Czy to nie cud, że policji nigdy nie udało się Księdza zdekonspirować?

Dla człowieka, który spotykał się z dysydentami oraz odmawiał zaakceptowania okupacji w latach 70., nie było innej drogi. Do kontrolowanego przez reżim seminarium wtedy by mnie nie przyjęto, ale przede wszystkim sam nigdy nie czułem powołania, aby być proboszczem. Czułem jasne powołanie do duszpasterstwa akademickiego, do łączenia kapłaństwa ze świeckim zawodem i temu powołaniu pozostałem wierny do dziś.

Przygotowania do tej służby w warunkach podziemnych to były nie tylko studia i formacja duchowa, ale też kurs konspiracji. Mieliśmy wtedy do dyspozycji specjalne przywileje, podobne do tych, które Watykan dał kiedyś prześladowanym księżom w Meksyku. Była to na przykład możliwość odprawiania mszy w bardzo nietradycyjnej przestrzeni. Do wymo-

Zawsze miałem skłonność do podważania

wszystkiego, co wymuszone, zawsze lubiłem oglądać rzeczywistość także z drugiej, niewidocznej strony. W szarej atmosferze realnego socjalizmu oczarowała mnie katolicka kultura.

gów konspiracji należał zakaz mówienia o swoim kapłaństwie członkom rodziny, bo z doświadczenia było wiadomo, że do dekonspiracji najczęściej dochodzi właśnie w gronie rodzinnym. Jak się później okazało, tajna policja prowadziła na mnie grubą teczkę, traktując mnie jako nieprzyjaciela reżimu. Nie mieli jednak w rękach żadnych dowodów, które by pozwoliły mnie postawić przed sądem. Byłem wielokrotnie przesłuchiwany, nie wolno mi było podróżować czy pracować na uczelni, ale procesu mi nie wytoczyli.

Czy trudne było dla Księdza to, że nie mógł Ksiądz podpisać Karty 77?

Wielu moich najbliższych przyjaciół należało do założycieli Karty. Ale moi kościelni zwierzchnicy dali mi jasny wybór: albo opozycja polityczna w stałym towarzystwie tajnej policji, albo trwanie w pieczołowicie zakonspirowanej sieci podziemnego Kościoła. Wybrałem to drugie,

ale potem, w drugiej połowie lat 80., i tak musiałem opuścić tajne struktury i grać *va banque*. Stałem się wtedy członkiem trójki najściślejszych współpracowników kardynała Tomáša, który dzięki temu wsparciu zmienił się z ostrożnego hierarchy w międzynarodowy symbol oporu przeciw reżimowi. Wtedy już jednak nawet tajna policja przeczuwała zbliżający się koniec i choć notowała wszystko, to jednak bardzo mało interweniowała.

Obok tajnego kapłaństwa miał Ksiądz cywilny zawód – był Ksiądz socjologiem, a potem psychoterapeutą w klinice dla alkoholików. Czy to był dobry układ, aby dawać świadectwo religijne, nie zwracając na siebie uwagi w mrowisku niewierzących?

Połączenie kapłaństwa z zawodem cywilnym uważam za model, do którego Kościół za jakiś czas wróci. Swoje wcześniejsze miejsca pracy pod naciskiem tajnej policji musiałem opuścić. Oni widocznie uznali klinikę dla alkoholików i narkomanów za środowisko, w którym nie mogą nikogo ideologicznie zepsuć. Ale ja się nie starałem pacjentów nawracać. Uważałbym to za sprzeniewierzenie się roli psychoterapeuty. Mimo to świadectwo bliskości człowieka uważałem za integralną część kapłańskiego powołania.

Gdy komunizm w latach 80. zaczął się walić, pracował Ksiądz nad wizją duszpasterskiego programu Dziesięciolecia. Kreślił on wizję pomocy, jakiej mógłby udzielić Kościół przy duchowym odrodzeniu społeczeństwa. Jak Kościół wykorzystał szansę,

Najważniejsze książki Tomáša Halíka

„CO NIE JEST CHWIEJNE, JEST NIETRWAŁE. Labiryntem świata z wiarą i wątpliwościami” – to

książka, którą powinien przeczytać każdy, kto poszukuje wartości duchowych. Przestrzega, że bez trudu zmagania się z pytaniami droga wiary zawsze będzie iluzją. Życie, świat i sam człowiek dla siebie jest labiryntem. We wstępie Václav Havel pisze o auto-

rze: „Jest to twarz człowieka myślącego, tolerancyjnego, w dobrym tego słowa znaczeniu wątpliwego, któremu dane jest kształtować sobie przede wszystkim samemu pogląd, a nie ulegać ślepej doktrynie”.

„WZYWANY CZY NIEWZYWANY. Bóg się tutaj zjawia” – to

wykłady Halíka wygłoszone na całym świecie. Ale napisane w formie eseju.

Oksford, Fryburg, Cambridge, Mannheim, Berlin, Saarbrücken, Akwizgran, Strasburg, Rohr, Warszawa, Lublin, Rzym, Paryż, Moskwa, Wiedeń. Czyta się jak opowieść o dzisiejszym świecie i jego zmaganiach. O człowieku i jego nadziei. O Kościele, Europie, o postmodernizmie i postchrześcijaństwie.

którą był obecny w społeczeństwie
głód wiary?

Żle. W Kościele wygrały iluzoryczne próby powrotu do czasów przed komunizmem. Dbałość o własne instytucjonalne interesy przysłoniła poczucie odpowiedzialności za całe społeczeństwo. Moje pełne przerażenia wezwania z początku lat 90., aby ster Łódzki czeskiego Kościoła obrócić w zupełnie inny kierunek, nic nie pomogły. Tylko narobiłem sobie wrogów.

Jak Ksiądz wspomina pierwsze osobiste spotkanie z Janem Pawłem II?

To była prywatna kolacja, dzień przed upadkiem muru berlińskiego – piszę o niej szczegółowo w nowej książce. Opisuję też miesięczny pobyt w Sekretariacie Stanu w Watykanie, w czasie przygotowań pierwszej wizyty papieża w roku 1990 w Czechosłowacji. Funkcjonowałem wtedy trochę jak oficer kontaktowy między Janem Pawłem II a prezydentem Havlem, bo wtedy jeszcze nie mieliśmy kontaktów dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Owszem, pośredniczyłem w przekazywaniu kilku osobistych wiadomości między nimi, ale jeśli obaj zabrali te wspomnienia z sobą do grobu, to i ja czuję powinność uszanowania ich tajemnicy.

W swojej książce pisze Ksiądz o wstrząsie, którym po aksamitnej rewolucji był kontakt ze środowiskiem Wydziału Teologicznego. Zmuszono Księdza do odejścia stamtąd. Czy to było rozczarowanie?

Tak, to była ciężka próba wiary w Kościół i gorzkie otrzeźwienie po epoce konspiracji, kiedy marzyłem o zupełnie innej postaci Kościoła. Dziś jestem wdzięczny ówczesnemu kierownictwu Wydziału za to, że mnie wypuściło tak, jak wieloryb wypuścił Jonasza. Pozwoliło mi to przenieść się z dusznego, klerykalnego środowiska Wydziału Teologicznego na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Karola, gdzie sam w latach 60. studiowałem. Tak rozpoczęła się moja kariera akademicka, możliwość wykładania i uzyskiwania nagród na prestiżowych uniwersytetach kilku kontynentów. O tym wszystkim nie mogłbym nawet marzyć na Wydziale Teologicznym. Potwierdziło się hiszpańskie przysłowie: Bóg pisze równo po krzywych liniach.

Czy pogodzenie się z celibatem jest trudne? Nie jest on przeżytkiem?

Współczesny konserwatyzm części młodego kleru

uwzględam za dziecięcą
chorobę, z której większość
– mam nadzieję – wyrośnie.
Nawet ich psychologicznie
rozumiem, to jest
forma protestu
przeciwko większości.

Celibat jest zawsze trudny, a dla niektórych ludzi jest nie do udźwignięcia. Nie jestem z drewna, nie mam w żyłach atramentu czy święconej wody. Nie jestem ani eunuchem, ani homoseksualistą. Jestem normalnym mężczyzną. W pewnym wieku życie w celibacie było dla mnie trudne, ale nigdy nie było nie do zniesienia. Zobowiązanie celibatu wziąłem na siebie świadomie i dobrowolnie w trzydziestym roku życia i nigdy go nie zламаłem. Wiedziałem, że z wielkim trudem przychodziłoby mi ryzykowna służba w podziemi, kiedy jedną nogą stałem w kryminale, gdybym jeszcze dodatkowo czuł odpowiedzialność za żonę i dzieci. Naprawdę dziś żyję w takim zawodowym napięciu, że rodzina by mi się prawdopodobnie szybko rozpadła.

Nie należę zatem do wojowników zwalczających celibat. Z drugiej strony myślę sobie też tak, jak to daje do zrozumienia papież Franciszek, że nadszedł czas, aby znowu, jak przed wiekami, celibat nie musiał być koniecznie związany ze służbą kapłańską. W końcu już dziś Kościół katolicki ma wielu żonatych księży w swojej wschodniej gałęzi czy księży, którzy przeszli z Kościoła anglikańskiego. Sam poznałem wielu mężczyzn, którzy byliby dobrymi księżmi, ale z powodu celibatu nimi nie zostali. Niestety, spotkałem też wielu takich, którzy nigdy księżmi zostać nie powinni, ale stali się nimi po to, by pod zasłoną celibatu, świadomie czy nieświadomie, ukryć orientację homoseksualną. Dlatego to chyba dobrze, że nastąpiło ujawnienie kościelnych skandali seksualnych. To przewietrzy kościelne środowisko i chyba powinno prowadzić do uzdrowienia kościelnego stosunku do seksualności w ogóle. Jako spowiednik wielu

setek ludzi przez czterdzieści lat służby wiem swoje o tych sprawach.

Jak to jest być księdzem w czeskim społeczeństwie, gdzie religijność nie jest oczywistością? Nie czułby się Ksiądz lepiej w społeczeństwie, które – jak Ksiądz pisze w książce – jest religijnie przesolone?

Nasz Pan dobrze wiedział, dokąd mnie posyłał. W tradycyjnym, katolickim środowisku masowego Kościoła chyba bym za dużo prowokował. Cechuje mnie głęboki brak zaufania do kultury większościowej, do opinii publicznej, do głosu ludu. Większość się w większości wypadków myli. Dlatego jestem radykalnym przeciwnikiem referendum czy bezpośredniej demokracji i zawsze podkreślam, że demokracja nie może zamienić się w dyktaturę większości, że jej istotą jest ochrona mniejszości i legalizacja opozycji.

Wszystkie rzeczy wielkie w kulturze, religii, nauce czy sztuce zawsze zaczynały się jako przedsięwzięcie wyśmiewanej, a często prześladowanej mniejszości. A kiedy te idee w końcu stały się dla większości oczywistością, to często były już tak zwulgaryzowane, że pojawiała się kolejna reforma. Historia chrześcijaństwa to kolejne reformacje – tak twierdzi już św. Augustyn. Chrześcijaństwo musi być otwarte dla wszystkich. Jednocześnie Jezus realistycznie powiedział, że jest to stroma i wąska ścieżka, którą kroczyć nieliczni. Przywołuję o soli także nie jest wezwaniem do chrześcijaństwa masowego.

Współczesny kurczowy konserwatyzm części młodego kleru u nas i w świecie uważam za dziecięcą chorobę, z której większość – mam nadzieję – wyrośnie. Nawet ich psychologicznie rozumiem, to jest forma protestu przeciwko większości w ich środowisku.

W swoje 50. urodziny w naszej gazecie przeczytał Ksiądz wywiad z Václavem Havlem, który wymienił Księdza jako dobrego kandydata na prezydenta. Sam Ksiądz napisał kiedyś, że jako dziecko chciał być niedźwiedziem polarnym, a być może i prezydentem. Czy kusi Księdza wizja filozofa na tronie?

Czasy mamy takie, że raczej bym wolął być polarnym niedźwiedziem niż czeskim prezydentem. Myślę, że dla naszego społeczeństwa jestem najbardziej pożyteczny tam, gdzie jestem, i to nie tylko w kraju, ➔

→ ale przede wszystkim za granicą, gdzie nasz kraj na wielu forach reprezentuje i chyba nie robię tego źle.

**Jakie plany na następną dekadę?
Będzie Ksiądz szukał leku dla
naszego sfrustrowanego społeczeństwa?**

Zacząłem kolejną książkę i pracuję nad trzema międzynarodowymi projektami badawczymi. Bardzo mnie inspiruje myśl papieża Franciszka, że Kościół ma być szpitalem polowym. Rozumiem to tak, że ma rozwijać terapeutyczną rolę wiary, ale poświęcać też wiele uwagi diagnozie, prewencji i leczeniu infekcji i uzależnień, do jakich należą populizm, szowinizm i ksenofobia czy fundamentalizm religijny wraz z wykorzystywaniem religijnych symboli i retoryki do szerzenia strachu, nienawiści i usprawiedliwiania przemocy.

Niedawno wraz z ks. prof. Paulem Zulehnerem z Uniwersytetu Wiedeńskiego zapoczątkowaliśmy inicjatywę wsparcia reformatorskiej myśli papieża. Udało nam się zorganizować międzykontynentalną sieć ponad 1400 profesorów teologii z całego świata i kilku dziesiątek tysięcy innych ludzi. Teraz zaczynamy tę sieć wykorzystywać, zgromadziliśmy inspirujące pomysły z 50 krajów z pięciu kontynentów i na tej podstawie chcemy opracować propozycje praktycznych kroków do rozwijania terapeutycznej roli religii i do prewencji przed jej destrukcyjnymi postaciami. Zatem: nie sądzę, żebym się w kolejnej dekadzie nudził – jeśli tylko Pan Bóg da mi zdrowie. ©

Przełożył: TOMASZ MAĆKOWIAK

Powyższy tekst jest skróconą rozmową, która ukazała się 6 czerwca w czeskim dzienniku „Lidové Noviny”. Dziękujemy ks. prof. Tomášowi Halíkowi za zgodę na publikację wywiadu.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

Jak nie zdradzić tajemnicy

MACIEJ MÜLLER

Episkopat uregulował kwestię prowadzenia ksiąg chrztu w przypadku osób adoptowanych.

MĘŻCZYŻNA, KTÓRY ZASŁĄBŁ W KANCELarii parafialnej, przyszedł załatwić prostą formalność: poprosił o wydanie odpisu aktu chrztu potrzebnego do zawarcia małżeństwa. Ksiądz otworzył księgi i przepisał do metryki wszystkie dane. „Nie zgadza się nazwisko ojca” – zauważył petent. Ksiądz jeszcze raz sięgnął do oryginału: nie pomylił się, wpisał takie nazwisko, jakie widniało w rubryce. W ten sposób dwudziestokilkuletni, który przyszedł do kancelarii, dowiedział się, że został adoptowany. W księdze chrztu nie zanotowano żadnej uwagi na ten temat i pozostawiono dane jego biologicznych rodziców.

W marcu 2017 r. Helsińska Fundacja Praw Człowieka napisała do przewodniczącego KEP abp. Stanisława Gądeckiego list wzywający do uporządkowania w księgach chrztów wpisów dotyczących dzieci adoptowanych. Przytoczyła w nim historię kobiety, która adoptowała dziewczynkę: była to tzw. adopcja całkowita, kiedy wydaje się nowy akt urodzenia z danymi jedynie rodziców adopcyjnych. Niestety, analogicznych zmian nie wprowadzono w księdze parafialnej. W rezultacie dziewczynka przeczytała na świadectwie chrztu nazwiska biologicznych rodziców. HFPC wspomniała również o przypadku, w którym z adoptowanym dzieckiem skontaktowała się nieznajoma, twierdząc, że jest jego matką chrzestną. Informacje o nazwisku i miejscu zamieszkania dziecka miała uzyskać z ksiąg parafialnych.

W kręgach kościelnych prawników od lat trwała dyskusja o problemach, które wynikają z braku rozwiązań dotyczących umieszczania w księgach informacji o adopcji. Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 r. pozostawia to do rozstrzygnięcia episkopatów. – Chodzi m.in. o to, żeby uzgodnić przepisy kościelne z obowiązującym prawem państwowym – mówi ks. prof. Piotr Majer, kanonista, konsultor Rady Prawnej KEP. – Polski Episkopat długo tego nie robił.

Przeszkoda pokrewieństwa

Sprawa nie jest prosta. Nasuwające się rozwiązanie – by zlikwidować wszelkie ślady po tym, że dziecko zostało przysposobione – jest obarczone poważną z punktu widzenia Kościoła wadą. – Kiedy byłem kanclerzem kurii krakowskiej, spotykałem się z prośbami rodziców adopcyjnych, by zniszczyć pierwotny akt chrztu – przyznaje ks. Majer. – Chcieli zabezpieczyć się przed możliwością odkrycia w przyszłości prawdy o adopcji przez dziecko oraz odnalezienia go przez rodziców biologicznych.

Z zasady nie zgadzał się na takie rozwiązanie. – Tutaj trzeba pogodzić dwie kwestie. Z jednej strony uszanować tajemnicę adopcji: poważnym dylematem jest, czy w ogóle powinno się informować człowieka, że został przysposobiony, i kto miałby prawo to uczynić. Niekoniecznie Kościół, a już na pewno nie z własnej inicjatywy ksiądz. Z drugiej strony, nie możemy pozbawić się możliwości badania przeszkody pokrewieństwa, uniemożliwiającej zawarcie małżeństwa – tłumaczy kanonista.

Polskie prawo zasadniczo nie pozwala na rozdzielanie rodzeństwa: dzieci powinny zostać adoptowane razem. W krakowskiej kurii znany jest jednak przypadek kobiety, która, rodząc kolejne dzieci, wszystkie oddawała do adopcji. Pierwszą trójkę przysposobiło pewne małżeństwo, ale czwartego dziecka nie było już w stanie przyjąć. A matka urodziła jeszcze dwoje kolejnych: wszystkie trafiły do adopcji. – Istnieje minimalne prawdopodobieństwo, że dwoje dorosłych ludzi pozna się i zakocha w sobie, nie wiedząc, że są rodzeństwem – mówi ks. Majer. – Gdyby z ksiąg usunąć wszelkie wzmianki o adopcji, Kościół nie miałby jak wykluczyć takiej możliwości.

Poufna przesyłka

Jak to jednak uregulować, żeby nie dochodziło do takich dramatów jak przytoczony na początku? Ks. Majer w 2011 r. w kwar-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

talniku poświęconym prawu kanonicznemu opisał rozwiązania przyjęte przez światowe episkopaty i zaproponował wyjście, które – w uzupełnionej wersji – zostało zapisane w dekrecie KEP.

Przepisy przyjęte przez Episkopat dają możliwości stworzenia po adopcji zupełnie nowego aktu urodzenia w parafii zamieszkania rodziców adopcyjnych. Starego aktu wprawdzie nie wydiera się z księgi (do której dostęp mają jedynie pracownicy kancelarii), niemniej zostaje on – na polecenie ordynariusza – opatrzony klauzulą utajnienia. Nie wolno z niego wydawać żadnych odpisów. Nigdy, nikomu – jedyny wyjątek dotyczy samego zainteresowanego, o ile jest pełnoletni i wie, że jest dzieckiem adoptowanym.

Nowy akt sporządza się na podstawie dokumentów Urzędu Stanu Cywilnego. Podobnie jak w akcie urodzenia (po adopcji również sporządzanym na nowo, stary USC utajnia) w rubryce „rodzice” wpisuje się adoptujących. W „uwagach” notuje się natomiast, że dziecko jest przysposobione i podaje się nazwiska i adresy rodziców biologicznych. Dekret KEP zakazuje udostępniania tych danych: do odpisów aktu chrztu wpisuje się jedynie dane rodziców adopcyjnych. Można ustanowić również podczas specjalnego obrzędu błogo-

ślawieństwa dziecka nowych chrzestnych, tzw. substytutów.

Jeśli dziecko przed adopcją nie zostało ochrzczone, procedura jest prostsza: nie trzeba nic utajniać, a w akcie chrztu również dodaje się notatkę o przysposobieniu, której jednak się nie ujawnia. A co, jeśli rodzice adopcyjni postanowią zataić, że dziecko jest przysposobione? – Cóż, wtedy rzeczywiście ten fakt nie ujrzałby światła dziennego – mówi ks. Majer. – Znacznie bardziej niegodziwym postępowaniem byłoby jednak zatajenie faktu, że dziecko jest już ochrzczone, i próba ponownego przystąpienia do sakramentu po adopcji.

Według ks. Majera przyjęta przez KEP procedura zapobiegnie przypadkowemu ujawnieniu faktu adopcji, a jednocześnie umożliwi Kościołowi badanie przeszkody pokrewieństwa. W świetle nowych przepisów w przypadku, gdy ksiądz wypisujący metrykę zobaczy notkę o adopcji, wydaje petentowi metrykę z danymi rodziców adopcyjnych, a później wysyła poufną poleconą przesyłkę z nazwiskami rodziców biologicznych do księdza sporządzającego protokół przedślubny (na ogół w parafii przyszłej panny młodej). – To znacznie lepsze rozwiązanie niż gdyby ksiądz w takim przypadku wręczał petentowi metrykę w zaklejonej kopercie.

Przecież to od razu wzbudza podejrzenie – mówi prawnik. Nie ceni też rozwiązania stosowanego na Malcie, gdzie dane rodziców biologicznych są przechowywane w tajnym archiwum kurii. – To ogromnie mnoży biurokrację – ocenia. Zastrzega, że rozwiązanie polskie wymaga od księży roztropności, dyskrecji i delikatności. – Nie może dochodzić do sytuacji, w której padłyby słowa „a wie pan o tym, że jest pan adoptowany?”.

Nietrudno jednak wyobrazić sobie sytuację, w której ksiądz, proszony o wydanie odpisu, otwiera księgę chrztów, a petent zapuszcza w nią żurawia. I widzi w swojej rubryce podejrzaną dużą ilość informacji. – Taka sytuacja jest niedopuszczalna i biskupi przypomnieli o tym w dekrecie dotyczącym ochrony danych osobowych, wydanym po wejściu w życie RODO – odpowiada ks. Majer. – Księgi parafialne podlegają szczególnej ochronie, nie można ich dać nikomu do przejrzania na zasadzie „proszę się tu znaleźć” ani wypisywać aktu wystawiając oryginał na widok. Podobnie np. kancelaryjny monitor nie może być zwrócony tak, żeby ktoś mógł zobaczyć ekran.

A co ma zrobić ksiądz, kiedy zorientuje się, że siedzący przed nim narzeczeni są bratem i siostrą? Złamać tajemnicę adopcyjną? – Tajemnica tu nie wchodzi już w grę, bo przecież prawo państwowe również nie pozwala na małżeństwo krewnych – wskazuje ks. Majer. – Ksiądz na pewno nie powinien działać pochopnie; sugerowałbym, żeby poprosił narzeczonych o ponowne przyjście za jakiś czas, po czym skontaktował się z kurią. Takich spraw nie załatwia się bez udziału prawników i psychologów.

Kiedy HFPC pisała list do abp. Gądeckiego, dekret KEP był już zredagowany: nosi datę 14 marca 2017 r. Opóźnienie z jego wejściem w życie wiąże się z kościelną drogą stanowienia prawa: tego typu przepisy zatwierdza Watykan. Dokument o księgach chrzcielnych przeleżał w kurialnych biurkach wyjątkowo długo, dlatego wszedł w życie dopiero dwa tygodnie temu. Poprosiliśmy o komentarz Marcina Szwea, prawnika z HFPC. – Nie poddawaliśmy jeszcze szczegółowej analizie dekretu KEP – przyznaje. – Ale to bez wątplenia dobrze, że podjęto działania mające na celu ujednolicenie zasad przetwarzania danych osobowych w aktach kościelnych.

© Współpraca ANTONI KUŹMIŃSKI



Andrea Mantegna „Modlitwa w Ogrójcu”, ok. 1460 r.

Co oznacza „Abba, Ojczy”

JÓZEF MAJEWSKI

Prawie wszyscy ulegliśmy sugestii, że jedno słowo z Nowego Testamentu otwiera dostęp do najgłębszej natury Trójcy Świętej. Dziś wiemy, że słowo to zostało błędnie odczytane.

ABBA, OJCZE, DLA CIEBIE WSZYSTKO jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty!” – tak według ewangelisty Marka modlił się Jezus w ogrodzie Getsemani, gdy zbliżyła się do Niego godzina Krzyża (14, 36). Wielu chrześcijan, hierarchów, teologów, kaznodziejów i katechetów w słowach tych – szczególnie zaś w wezwaniu Abba – widzi najważniejszy klucz do tego, jak Jezus pojmował tajemnicę Boga – jako Ojca,

i rozumiał samego siebie – jako Syna Bożego. W „imieniu” Abba ma wręcz kryć się linia demarkacyjna oddzielająca „nowe” od „starego”, wizję Boga Jezusa czy chrześcijan od wizji Boga Żydów. Ale czy na pewno?

Tatusiu, tatko

W 1987 r. Jan Paweł II w jednej z katechez powiedział: „Nie ma słowa, w którym bardziej wyraziłoby się samoobjawienie się

Boga w Synu, jak to właśnie słowo »Abba – Ojczy«. (...) »Abba« (...) w ustach Jezusa wyraża świadomość wyłączonej i jedynej relacji, jaka zachodzi między Ojcem a Nim, między Nim a Ojcem. (...) Słowo Abba nie tylko objawia tajemnicę więzi wzajemnej pomiędzy Ojcem a Synem, ale zarazem streszcza całą poniekąd prawdę o życiu wewnętrznym Boga w Jego trynitarniej głębi: objawia owo wzajemne poznanie Ojca i Syna, z którego płynie przedwieczna miłość. Słowo Abba należy do języka rodziny, świadcząc o tej szczególnej komunii osób, jaka zachodzi pomiędzy Ojcem a Synem przez Niego zrodzonym, Synem miłującym i umiłowanym. Kiedy Chrystus posługiwał się tym słowem mówiąc o Bogu, musiało to dziwić Jego słuchaczy, a nawet gorszyć. Izraelita nie użyłby tego słowa nawet w modlitwie”. Papież Franciszek doda do tego, że Abba w ustach Jezusa ma charakter kameralny – to Boże „imię” można tłumaczyć jako „tatusiu”, „tatko”.

W swoich rozważaniach o Abbie Franciszek i Jan Paweł II, podobnie jak od kilku dekad rzesze teologów, kaznodziejów czy katechetów różnych wyznań chrześcijańskich, nawiązują do stanowiska niemieckiego luterńskiego biblisty Joachima Jeremiasa, który niejako odkrył „imię” Abba dla chrześcijaństwa w XX w. W opublikowanym w 1966 r. artykule pt. „Abba”, jednym z najsłynniejszych tekstów teologiczno-biblijnych, tłumaczył on, dlaczego dla Żydów w czasach Jezusa odniesienie do Boga „imienia” Abba miało być nie do przyjęcia, z jakich racji miało budzić ich sprzeciw: „Przyczyny, dla których modlitwy żydowskie nie zwracają się do Boga jako do Abba, stają się jasne, gdy się rozważy tło lingwistyczne tego słowa. Początkowo wchodziło ono w skład słownictwa dziecięcego. (...) Jesteśmy więc w stanie stwierdzić, czemu w modlitwach żydowskich nie spotyka się słowa *abba* w wezwaniach do Boga. Nazywać Boga imieniem tak poufałym byłoby dla mentalności żydowskiej dowodem braku szacunku, a więc czymś nie do pomyślenia. Było to więc absolutne *novum*, niepowtarzalne i wyjątkowe, że Jezus odważył się na zwracanie się do Boga tak prosto, tak intymnie, bez strachu, jak dziecko do swego ojca”. Konkluzja Jeremiasa brzmi: „Dlatego też jest niewątpliwe, że słowo Abba, którym Jezus zwraca się do Boga, ukazuje najgłębszy sens Jego z Nim związku”.

Gorszyiciel z Nazaretu

Fakt, że Jeremiasowe wyjaśnienie tak szybko i tak powszechnie zostało w chrześcijaństwie zaakceptowane, może dziwić. I nie trzeba być teologiem, by temu zdumieniu dać wyraz. Wystarczy uważna lektura. Bo jakże można twierdzić, że Boże „imię” Abba było nie do przyjęcia dla mentalności żydowskiej, że było ono dowodem braku szacunku wobec Boga czy w końcu, że Izraelita nie użyłby tego „imienia” w modlitwie, skoro właśnie w modlitwie, jak czytamy w Ewangelii Marka, posłużył się nim nie kto inny jak autentyczny Izraelita, prawdziwy, obrzezany i praktykujący Żyd, Jezus – czyli Jehoszua z Nazaretu, syn Żydówki, Miriam, poślubionej Żydowi Józefowi? Także w wypadku Jezusowego Abba trzeba pamiętać o zasadzie sformułowanej przez Jana Pawła II: „Kto spotyka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm”. Jak ujął to ks. Waldemar Chrostowski w artykule „Żydowskość Jezusa” (1993 r.): „Gdyby pod-

czas Jego [Jezusa] publicznej działalności ktoś postawił Mu pytanie: »Czy jesteś Żydem?«, byłoby ono dla Niego zaskakująco niezrozumiałe. (...) Bez Jezusa-Żyda, który urzeczywistnił i wypełnił nadzieje mesjańskie wielu pokoleń swych rodaków, nie byłoby chrześcijaństwa. A skoro żydowski kontekst Jezusa jest tak ważny dla należytego odczytania Jego osoby i misji, trzeba posunąć się jeszcze dalej: bez religii biblijnego Izraela oraz bez judaizmu (...) również nie byłoby chrześcijaństwa. Odrzucenie Jezusa od żydowskich uwarunkowań i tła grozi zgubną mitologizacją i wypaczeniem Ewangelii. Pozbawienie religii chrześcijańskiej zakorzenienia w Jezusie-Żydzie uczyniłoby z niej »idealistyczną nadbudowę«, upodabniając ją do jakiejś ideologii”.

Fakt, że Jezus, Żyd, używał „imienia” Abba, a używał go – co do tego nie powinno być wątpliwości – może oznaczać, że dla mentalności żydowskiej wzywanie Boga z pomocą tego „imienia” po prostu było do przyjęcia. Za takim stawianiem spraw kilka rzeczy.

Do myślenia daje np. fakt, iż w czterech Ewangeliach, i w ogóle w całym Nowym Testamencie, nie znajdziemy najmniejszej wzmianki o tym, że Jezusowe Abba gorszyło kogokolwiek albo że spotykało się choćby ze zdziwieniem. Ewangelie co do tego są zgodne, że niektóre działania i wypowiedzi Jezusa rodziły kontrowersje, nawet – należy podkreślić – wśród Jego uczniów. Już na początku Ewangelii Marka dowiadujemy się np., że faryzeuszy gorszył stosunek Rabbiego z Nazaretu do przepisów szabatu. Uczniowie w święty dzień judaizmu zrywali kłosa zboża – „Na to faryzeusze rzekli do Niego: »Patrz, czemu oni robią w szabat to, czego nie wolno?« On im odpowiedział: (...) »To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Zatem Syn Człowieczy jest panem szabatu«”. Potem Rabbi z Nazaretu także w szabat w synagodze uzdrowił człowieka z uschlą ręką – „A faryzeusze wyszli i ze zwolennikami Heroda zaraz odbyli naradę przeciwko Niemu, w jaki sposób Go zgładzić” (Mk 2, 23 – 3, 6). Przypomnijmy jeszcze zdziwienie samych uczniów Rabbiego z Nazaretu, gdy – jak ukazuje to Ewangelia Jana – zobaczyli, że publicznie rozmawia z kobietą (przy studni). Takie to były czasy, że konwersacja pobożnego Żyda-męczczyzny z kobietą, do tego heretyczką, w miejscu publicznym przynosiła mężczyźnie ujmę.

Charyzmatyczny Żyd

Tymczasem ci sami autorzy – powtórzmy – nic podobnego nie mają do powiedzenia w wypadku Bożego „imienia” Abba. Geza Vermes, żydowski badacz historii Jehoszuy z Nazaretu, w książce „Jezus Żyd. Ewangelia w oczach historyka” przytacza przykład starożytnego tekstu judaistycznego, w którym Boga nazywa się Abba, przy czym tekst ten, którego bohaterem jest niejaki charyzmatyczny chasydyjczyk Chanan (Hanin ha-Nehba), znajduje się także w studium Jeremiasa, który, nie wiedząc jednak czemu, widzi w nim świadectwo na potwierdzenie własnej tezy: „Kiedy świat spragniony był deszczu, rabbiowie mieli zwyczaj wysyłać do niego [do Chanan] dzieci ze szkoły, które chwyciły połą jego płaszcz i mówiły: »Abba, Abba, daj nam deszcz!«. On powiedział do Boga: »Panie wszechświata, wyświadczyć łaskę niepotrafiącym odróżnić tego Abba, który daje deszcz, od tego Abba, który deszczu nie daje«”. Vermes ma rację, że tekst ten w rzeczywistości idzie pod prąd twierdzenia Jeremiasa – wyraźnie świadczy przecież o tym, że charyzmatyczny Żyd Chanan, podobnie jak inny charyzmatyczny Żyd, Jehoszua z Nazaretu, nazywał Boga Abba – i że w obu wypadkach ich teologiczne „rewelacje” były do przyjęcia także (przynajmniej) dla tych, którzy spisali ich słowa, i tych, którzy je czytali.

Jeremias – dodajmy – podkreślał, iż opowieść o Chananie to – jak pisał – „tylko jeden fragment” w późnej literaturze judaistycznej z Bożym „imieniem” Abba. Odnosi się wrażenie, jakby w oczach niemieckiego biblisty ta jednostkowość była ewidentną słabością tego świadectwa – co innego, gdyby w literaturze judaistycznej tamtych czasów istniało więcej takich tekstów. Tymczasem „imię” Abba w ustach Jezusa pojawia się również tylko jeden jedyny raz w całym Nowym Testamencie, wyłącznie w czternastym rozdziale Ewangelii Marka, i nigdzie więcej, ale fakt ten w rozważaniach Jeremiasa w żaden sposób nie wpływa na osłabienie świadczącej roli tego „tylkojedynego” ewangelicznego tekstu. Dlaczego? Skąd bierze się ta metodologiczna niekonsekwencja, że występowanie czegoś jeden raz w jednym wypadku znaczy „tylko”, a w innym – „aż”? Tymczasem jeśli poważnie traktuje się związek Jezusa z judaizmem Jego czasów, jeśli spotykając Rabbiego z Nazaretu, spotykamy judaizm, to znaczy to, że w rzeczywistości istnieje nie jedno starożytne judaistyczne →

→ świadectwo za Bożym „imieniem” Abba, ale przynajmniej dwa – bo, z jednej strony, opowieść o Chananie sprowadzającym deszcze oraz, z drugiej strony, opowieść o modlącym się Jehoszui z Nazaretu.

Dysponujemy zatem dwoma starożytnymi judaistycznymi świadectwami z boskim „imieniem” Abba, a właściwie można powiedzieć, że nawet czterema, jeśli uwzględnić dwa Listy apostoła Saula, czyli Pawła z Tarsu – do Rzymian i do Galatów, gdzie jednak „imię” to nie pojawia się w ustach Jezusa. W pierwszym z nich czytamy: „Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: »Abba, Ojcze!«” (8, 14-15). Z kolei w Liście do Galatów: „Na dowód tego, że jesteście synami, Bóg wysłał do serc naszych Ducha Syna swego, który woła: »Abba, Ojcze!«” (4, 6). Charakterystyczne, że Saul, Żyd, nie odnosi Bożego „imienia” Abba źródłowo do Jezusa, tylko powołuje się na natchnienie Ducha Świętego, jakby nie znał tradycji o tym, że Abba pochodzi ze słownika samego Rabbiego z Nazaretu, że to On nauczył uczniów (i uczennice) wzywać Boga z pomocą tego „imienia”. Można pytać, czy Saul/Paweł nie akcentowałby Jezusowego źródła Abby, gdyby dotarła do niego informacja czy tradycja o tym, że „imię” to w historii Jezusa budziło zgorszenie, sprzeciw i kontrowersje współczesników.

Dziecięce gaworzenie?

Zwolennicy egzegezy Jeremiasa akcentują to, że słowo Abba pochodzi ze słownictwa dziecięcego. Wielu tłumaczy je jako „tata”, „tatus” czy „tatko”, podkreślając intymny oraz pełen dziecięcej ufności i oddania wymiar relacji łączącej osobę modlącą się i Boga, bliskiego Tatusia, czulego, pomocnego, zdolnego wyzwoić z trudnej sytuacji. Tymczasem sam Jeremias zdawał sobie sprawę z tego, że w epoce przedchrześcijańskiej słowo to – cytuję – „nabrało innego sensu w języku aramejskim Palestyny. (...) Nie było (...) już tylko częścią słownictwa dziecięcego. Młodzi chłopcy i młode dziewczęta także nazywali swego ojca *abba*”. W efekcie słowo to nie musiało mieć w każdym wypadku owego dziecięcego zabarwienia. Mimo tych językowych transformacji niemiecki biblista jednak akcentował dziecięcą źródłowość, na niej opierając teologiczno-dogmatyczną tezę,

Słowo „*abba*” nie jest „*tatusiem*” używanym przez małe dzieci.

Tak zwracali się dorośli synowie do swoich ojców.

że Abba zawiera w sobie najgłębszy sens związku Jezusa z Bogiem, Syna z Ojcem.

Ścisłe mówiąc, Jeremias w różnych wypowiedziach twierdził, że słowo *abba* tak naprawdę należy do sfery dziecięcego gaworzenia. To właśnie w modlitewnym „gaworzeniu” Jezusa miałaby kryć się istota jego relacji z Bogiem – małego dziecka, synka – w pełni zdanego na Ojca i Ojca w pełni oddanego Synowi. Dzisiaj już jednak wiemy, że w starożytnym Izraelu w relacjach międzyludzkich słowa *abba* używały osoby w każdym wieku, nie tylko małe dzieci, ale również (bardzo) dorośli synowie w odniesieniu do swoich i nie swoich (nawet bardzo starych) ojców. Jak zauważa James Barr w artykule „Abba nie jest »Tatusiem«”: targumy, czyli starożytne tłumaczenia i parafrazy Biblii hebrajskiej, w wielu miejscach hebrajskie słowo „*abi*”, „mój ojciec”, w kontekście występowania dorosłych synów oddają przez „*abba*”. Tak dzieje się np. w 31. rozdziale Księgi Rodzaju, gdzie Izaak, ojciec dorosłego Jakuba, nazywany jest *abba* – i nie chodzi tu o „tatusia”, ale o starszego już, a poważnego „ojca”.

Ponadto znaczące jest, że w czasach Jezusa w języku greckim, w którym napisany został Nowy Testament, istniały językowe odpowiedniki „taty”, „tatusia” czy „tatki”, tak charakterystyczne dla słownictwa dziecięcego: *pappas* (od którego, warto wiedzieć, pochodzi słowo „papier”), *pappidion*, *patridion*, *atta*. Szczególnie to ostatnie słowo jak ułaś pasowałoby do biblijnej wykładni Jeremiasa, ponieważ w słowniku Homera zda się mieć znaczenia dziecięco-gaworzeniowe, niczym nasze „ta-ta”. Tymczasem w owych trzech miejscach Nowego Testamentu, gdzie Abba się pojawia, słowo to za każdym razem tłumaczone jest nie poprzez formę zdrobniałą czy dziecięcą, ale poważną: *Abba*, *ho Pater*, „*Abba*, Ojcze...”. Marek i Saul/Paweł – podkreślmy – w „imieniu” Abba nie słyszą dziecięcego gaworzenia. „Tak więc – pisze Barr – greckie słowa

wyrażające subtelność kryjącą się w słowie »Tatus« były dostępne [dla Marka i Pawła], ale oczywiście żadnego z nich nie znajdziemy w grece biblijnej i nie ma co się dziwić: słowa te były całkowicie nieodpowiednie dla stylu biblijnego. Skoro nowotestamentalni autorzy zdawali sobie sprawę z subtelności »Tatusia«, z łatwością mogli dać temu wyraz, lecz w rzeczywistości mieli świadomość, że tą subtelnością nie był »Tatus«, lecz »Ojciec«”.

Mój ojciec

W biblijnych rozważaniach Jeremiasa i jego spadkobierców ważne jest także to, że słowo *abba* pochodzi z języka aramejskiego, którym niewątpliwie na co dzień mówił Jehoszua z Nazaretu – i znaczy ono: „ten Ojciec”, a nade wszystko „mój Ojciec”. Niemiecki biblista podkreślał: „Jak dotąd nikt nie zdołał znaleźć w judaizmie palestyńskim ani jednego przykładu na to, aby Bóg był nazywany »mój Ojciec« przez jednostkę. Jest parę takich wypadków w judaizmie hellenistycznym, ale tu mamy do czynienia z wpływem greckim”. Powiedzmy najpierw, że nieuzasadnione jest Jeremiasowe eliminowanie świadectw z judaizmu hellenistycznego, posługującego się językiem greckim, skoro w epoce hellenistycznej właśnie w tym języku został napisany Nowy Testament. Z kolei dzisiaj dysponujemy już – wraz z odnalezieniem i odczytaniem starożytnych pism żydowskich w słynnych grotach w Qumran (lata 50. i 60. XX w.) – judaistycznymi tekstami tamtych czasów, w których Żyd w indywidualnej modlitwie zwraca się do Boga z pomocą formuły „mój Ojciec” (hebr. *Abi*). Tzw. Psalm Józefa (dokument oznaczony sygnaturą 4Q372) zaczyna się wezwaniem: „Mój Ojciec i mój Boże, nie pozostawiaj mnie w rękach pogan”. Z kolei w innej modlitwie znajdujemy słowa człowieka w trudnej sytuacji: „albowiem Ty nie opuściłeś swego sługi (...), mój Ojciec i mój Panie” (4Q460).

Stan dzisiejszych biblijnych ustaleń na temat Jezusowego Bożego „imienia” Abba pod znakiem zapytania stawia zatem tradycyjny już pogląd, że „imię” to wyznacza granicę oddzielającą od siebie wizję Boga Jezusa czy chrześcijan i wizję Boga Żydów. Trudno jest także utrzymywać, jakoby słowo to wskazywało na najgłębszy sens związku Jezusa z Bogiem, wręcz było „oknem”, przez które mamy najwłaściwszy teologiczny dostęp do wewnętrznego życia Trójcy Świętej. © JÓZEF MAJEWSKI

SZYMON

Hołownia: *Polityka w krótkich spodenkach*



WIEM, ŻE MAMY W TEJ CHWILI WAŻNIEJSZE problemy (patrz: dekonstrukcja Sądu Najwyższego), ale na mnie nieodmienne wrażenie robi jednak determinacja, z jaką wicepremier Jarosław Gowin lansuje ideę upoważnienia rodziców do głosowania w imieniu niepełnoletniego potomstwa. W wywiadzie udzielonym Justynie Dobrosz-Oracz z „Gazety Wyborczej” po raz kolejny przekonywał on, że pomysł wcale nie jest z sufitu wzięty, skoro rozważali go jacyś politycy w Niemczech (dodajmy, że w Japonii, a – co może najważniejsze – na Węgrzech również). Rozumiem, że wicepremier od nauki pragnie wyrwać się z kojca politycznej bieżączki, w której ciężki dobrozmiannowy los umieścił go z ministrami Suskimi i posłami Czarneckimi, zapozować na kogoś z innej intelektualnej ligi, na wizjonera. Zastanawiam się tylko, dlaczego w swoim projekcie jest tak niekonsekwentny.

Jeśli bowiem podejmiemy zaproponowany przez Gowina tok myślenia, którego osią jest stwierdzenie „dziecko to też obywatel”, niezrozumiałym staje się próba scedowania na rodziców jedynie czynnego prawa wyborczego młodzi. A co – uniesienie pytam wicepremiera – z owych obywateli RP wyborczym prawem biernym? Już wiem, że jako ojciec jedynaczki dysponowałbym w systemie proponowanym przez Gowina jednym i połową głosu (bo drugą połowę drugiego dysponowałaby żona; niejasne pozostaje, na jakie ułamkowe części dzieliłoby się wtedy głosy, czy porzestaniemy na połówkach, czy na przykład – bo dlaczego nie, skoro już głos rozbijamy – nie zejść w rejony dziesiętne, tak bym mógł obdzielić wsparciem w imieniu córki sześć albo i siedem osób, w efekcie czego nienawidziłaby mnie później po siedmiokroć). Nie rozumiem jednak, dlaczego nie mógłbym w jej imieniu zostać prezydentem. Osobiście uważam, że wprowadzenie (restytucja) instytucji infanta i regenta to coś, bez czego trudno sobie wyobrazić polską (i w ogóle) politykę w XXI wieku. Nie umiem sobie też wyobrazić lepszego wcielenia w życie hasła „Rodzina na swoim”. Przecież gdybym miał więcej dzieci i zrobiłbym im ładną kampanię, mógłbym skupić w swoim ręku – jako regent właśnie – nie tylko prezydenturę, ale też np. ze trzy mandaty poselskie (wystarczy, by założyć koło poselskie) albo siedem mandatów senatorskich, ergo – założyć klub senacki i zasiąść w Konwencie Seniorów (odpowiednio mnożąc nie tylko legislacyjne wpływy, ale i parlamentarne uposażenia).

Jeśli rzeczywiście poważnie chce się walczyć z dyskryminacją obywateli ze względu na wiek – pole do działań właśnie w obrębie biernego prawa wyborczego jest bardzo szerokie. Dlaczego uznaliśmy na przykład, że prezydentem RP może zostać 36-latek, a 34-latek już nie? Dlaczego, by być skutecznie wybranym na posła, trzeba mieć lat 21, a do bycia radnym wystarczy zwykła pełnoletniość? Dlaczego ktoś liczący sobie 28 wiosen może być burmistrzem lub prezydentem miasta (próg wynosi tu

25 lat), ale o Senacie może jeszcze przez dwa lata zapomnieć? Że do zarządzania lokalną społecznością nadadzą się względni smarkacze, ale już do Centralnej Izby Refleksji potrzeba kogoś o dłuższym życiowym stażu?

Czy rzeczywiście – patrząc na metryki wielu polskich (na przykład) posłów i senatorów – można z nich wyprowadzić dowód, że mądrość przychodzi z wiekiem albo chociaż że bardziej zaawansowany wiek obniża ryzyko, iż do władzy dorwają się ludzie o emocjonalności gimnazjalistów i umysłach przedszkolaków? Że gdyby znieść te cenzusy, do władzy dorwałyby się hałaśliwe młodzieżówki? Dorwałyby się lub nie, bo ktoś by je jeszcze musiał wybrać. Jeśli już koniecznie minister Gowin chce się zapisać jako człowiek, który włącza do systemu demokracji wykluczonych zeń obywateli, niech się więc może skupić na reformie tych regulacji zalatujących czasami plemiennymi.

Ja dla porządku dodam tylko, że trudno mi sobie wyobrazić uzasadnienie dziś w biernym prawie wyborczym jakichkolwiek statusów. Od statusu wykształcenia zaczynając, bo – o czym przekonuje nas codziennie z mozołem wielu parlamentarzystów, tych parę liter przed nazwiskiem nie jest już żadną gwarancją jakości. A czasem – przeciwnie – stanowi zachętę, by od licencjonowanych luminarzy trzymać się z daleka.

Wszystko to byłoby jednak wyłącznie sztuką dla sztuki. W pomysle Gowina, oprócz oczywistej chęci zabyśnięcia, jest też – podejrzewam – drugie dno, makiaweliczne przekonanie, że ojcowie i matki rodzin wielodzietnych (a więc często najmocniej „doinwestowanych” choćby przez program 500+) chętniej decydowaliby się na wyborcze odwzajemnienie się budżetowym dobroczyncom swoim pociech. Włączanie do społecznego krwioobiegu dzieci (szerzej: osób niepełnoletnich; w statystykach za dzieci uważa się osoby do 15. roku życia) stanowiących niespełna jedną piątą naszego społeczeństwa (ta liczba z roku na rok się zmniejsza i będzie się zmniejszać) nie może jednak polegać na nadawaniu im nowych praw i automatycznym delegowaniu ich na rodziców. Bo to będzie czcza, symboliczna fikcja. Największą przysługę politycy zrobiliby naszym dzieciom, pozwalając im przede wszystkim, by ich dzieciństwo jak najdłużej pozostało dzieciństwem. By mogły jak najdłużej trzymać się z dala od bajzlu, w który koledzy pana Gowina po mandatach i funkcjach zamienili w ostatnich kadencjach polską politykę. By nie przenosić politycznych spekań na najdelikatniejsze piętra naszych rodzin, nie generować sytuacji, w których do młodzieńczego buntu i burzy hormonów dołączać się będą wojny z ojcem lub matką o to, że głosowała na nie tego, kogo w internecie obczało dziecko (tu pojawia się też pytanie, czy nie dostalibyśmy w pakiecie zjawiska kierowania wyborczych reklam do dzieci).

Dziecku do niczego nie jest potrzebne fikcyjne prawo wybierania posła. Jemu potrzebny jest poseł, który – zamiast bić pianę i uprawiać formalne inżynierie – da mu wreszcie sensowny wzorzec służby i poświęcenia. Pokaże, jak można – również w czteroletnich interwałach między kampaniami – wypruć sobie dla ojczyzny flaki ciężką pracą, służyć obywatelom niezależnie od żywionych przekonań, budować prawdziwą wspólnotę.

Cyrk nie będzie ani trochę mniej cyrkiem przez to, że podajemy szerszej publiczności prawo do ustalania składu wykonawców przedstawień. ©

BIERZ CIAŁO, PÓKI DAJĄ

Podczas wojny rosyjsko-ukraińskiej, która trwa już piąty rok, zaginęło bez wieści co najmniej 403 ukraińskich żołnierzy.

Jak przeżywają to ich rodziny?

TEKST I ZDJĘCIA **MONIKA ANDRUSZEWSKA** Z KIJOWA, DNIPRA I MARJINKI



Matki zaginionych żołnierzy ukraińskich podczas spotkania z przedstawicielką OBWE. Z lewej Jadwiga Łozińska (matka Andrzeja; w turkusowej bluzce), z prawej Swieta (matka Maksyma, trzyma plakat). Marjinka, 2018 r.

BRZMI TO JAK TYTUŁ FILMU WOJENNEGO: „zaginiony w akcji”. Ale dla rodzin zaginionych to wyrok, w którym zawierają się iskra nadziei, bezmiar niepewności i największa tortura – bezsilność.

Ilu z nich żyje? Nie wiadomo. Strona rosyjska zaprzecza, aby przetrzymywała kogoś spoza oficjalnej listy jeńców, których zwolnienie jest omawiane podczas spotkań w Mińsku. OBWE i Czerwony Krzyż nie są wpuszczane do więzień na okupowanych terytoriach Donbasu.

Ilu z nich zginęło? Państwo ukraińskie nie reguluje statusu zaginionych, gdyż na Ukrainie oficjalnie wojny nie ma; także międzynarodowe organizacje nie zajmują się poszukiwaniami ciał.

Jedynie matki i ojcowie (choć najczęściej matki), niewygodni dla obu stron konfliktu, wciąż szukają swoich dzieci. Żywych albo umarłych.

Nawet nie zadzwonili

„Brat mojej matki walczył w polskiej armii podczas II wojny światowej. Posyłam ci list o moim zaginionym synu. Z poważaniem, matka żołnierza, Jadwiga Zygmuntowna Łozińska”.

60-letnia kobieta uważa się za Polkę. Pisz do mnie na Facebooku po polsku (z błędami). Potem okaże się, że wysyła takie listy do każdej osoby z polskim nazwiskiem, z którą zetknie się w przestrzeni internetowej. A nuż ktoś pomoże?

Dla niej bieg czasu wyznacza nie kalendarz, lecz oczekiwanie na powrót syna. Od czterech lat. W chwili, gdy korespondujemy, naliczyła już 1380 dni bez niego.

Mieszka w Dniprze (dawny Dniepropietrowsk), na wschodzie. Spotykamy się w Kijowie.

Wysoka, krótko ostrzyżona. Usta w gorzkim grymasie, nawet gdy uśmiecha się na powitanie. Idzie z trudem, co kilka metrów musi się zatrzymać. – Nie ma co się nad sobą użalać – mówi twardo. Ma kłopoty z chodzeniem. Ale szukając syna, przemierza tysiące kilometrów.

Głośno łąpie oddech i wyrzuca z siebie informacje. Mówi, że chce jechać do Polski, by prosić polskie władze o pomoc. Jest rosyjskojęzyczna, ale w myślach skleja sobie po polsku łamane zdania, które wypowie, jeśli uda jej się spotkać z polskim dyplomatą.

– Andrij miał 22 lata, gdy mobilizowali go do armii. A jak zniknął, to przestał ich obchodzić. Tylko nie pisz o nim tak, jakby nie żył! – zaznacza. – Jestem księgową, in-

teresują mnie fakty i liczby. Nie ma dowodu, że nie żyje. Za to były informacje, że jest w niewoli.

W zachodnich filmach, gdy z żołnierzem służącym ojczyźnie stanie się coś złego, do bliskich przybywa honorowa delegacja: poważni wojskowi, czapki w dłoniach, wyrazy szacunku...

Jadwiga macha ręką. – Do mnie nawet nie zadzwonili. Sama zaczęłam szukać, bo mój Andrij coś za długo nie odbierał telefonu. Nie miałam przeczuć. Każda matka zrozumie, o czym mówię. Czy można nie wyczuć śmierci jedynego dziecka? Przecież to tak, jakby część mnie umarła. Wcześniej matczyzna intuicja mnie ostrzegła nawet, gdy miał zachorować. A tu cały dzień byłam spokojna, siedziałam w biurze. O tym, że pod Iłowajskiem była wielka bitwa, dowiedziałam się z radia. Zadzwoniłam do dowództwa batalionu syna. Dowiedziałam się tylko, że z naszej brygady zginęło ponad stu żołnierzy.

Jadwiga: – Potem w prokuraturze wojskowej posadzili mnie przed ekranem komputera. Pokazywali zdjęcia 300 ciał. Siedziałam i oglądałam. Mojego dziecka tam nie było. Niektóre matki mdlały przy tym komputerze. Karetka jeździła tam i z powrotem.

– Zaczęłyśmy się zbierać, wymieniałyśmy numery telefonów. Okazało się, że nie ma nawet organu, który zajmowałby się naszym problemem. Z Ministerstwa Obrony wysyłali nas do Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, stąd do Ministerstwa Zdrowia, tamci znowu do MON...

O, idzie trup!

Jadwiga: – Na początku jeździliśmy razem po szpitalach i kostnicach. Niektóre matki rozpoznawały synów. Chodząc od ciała do ciała, nagle któraś zaczynała szlochać i już było wiadomo. Obejmowały spalone ciała, takie, że wydawałoby się, że nic nie można w nich rozpoznać. A jednak serce matki mówiło im, że to ich dzieci, krew z krwi. Andrija tam nie było.

– Potem zaczęły się pojawiać listy jeńców, na których on figurował – opowiada. – I znów nikt nam nie mógł nic powiedzieć. Zimą pojechałam do Iłowajsk. Wciąż widać było ślady po bitwie, ale ciał już nie. Posprząтали. Czego tu szukać? Kości wśród śniegu? Pojechałam do Doniecka, żeby dowiadywać się od separatystów i miejscowych o punktach, gdzie są trzymani jeńcy. Niektórych nie ma na żadnej oficjalnej liście. Czasem tych jeńców ktoś

zobaczy, gdy ich przewożą z więzienia do więzienia. Trzymają ich razem ze zwykłymi przestępcami. Nie wpuszczają tam OBWE ani Czerwonego Krzyża. I mnie też nie wpuszcili, choć tam może być mój syn.

– Jednego chłopaka znalazłam – dodaje. – Separatyści mi go pokazali, w piwnicy. W tym czasie jego rodzina zidentyfikowała obce ciało, szykowali pogrzeb! Po paru miesiącach został wymieniony. „O, idzie trup”, żartowali separatyści o nim, jak wyszedł. Tak znalazłam cudze dziecko, a mojego nie.

– Lera, dziewczyna Andrija, poroniła ze stresu. Byłby wnuczek... No nic, jeszcze będzie następny – uśmiecha się przez chwilę, ale kąciki ust szybko opadają.

W kijowskiej prokuraturze wojskowej są zeznania osób, które miały widzieć syna Jadwigi kilka miesięcy po bitwie. Są też inne zeznania, że został rozstrzelany kilka dni po tym, jak dostał się do niewoli.

Zabieraj, nie histeryzuj

Pół roku po bitwie Jadwiga odebrała telefon z kostnicy, aby zabrała syna. – Choć jednocześnie był na liście jeńców! – podkreśla. Pokazali jej zdjęcie jakiegoś ciała, opisanego numerem 3207. Zwłoki trudne do rozpoznania, spalone.

– Moje dziecko dziesięć dni przed tą bitwą wychodziło z domu ładnie ostrzyżone. Włosy miał na centymetr długości. A u trupa: siedem-osiem. Włosy tak szybko nie rosną! – wykrzykuje. – Poza tym w medycznej dokumentacji jest informacja, że ten chłopak zginął od odłamków. To rozstrzelali go czy nie?

– Odpowiedziałam, że nie wezmę, bo to nie mój syn – wspomina. – A oni: „Bierz ciało, póki dają. Jeszcze będziecie się bić o te trupy”. Że niby zechcemy uznać synów martwymi, a ciało nie starczy już dla wszystkich. To chyba najlepiej opisuje sytuację w naszym kraju. Zabieraj, babo, jakiegokolwiek ciało i nie histeryzuj! Czasem sobie myślę: biedny ten 3207. Komu go dali?

– U nas jest DNA po sowiecku. Jednej naszej mamie proponowali oddanie głowy z kostnicy w Dniprze i trzy nogi, które były w Zaporozu. Trzy nogi, wszystkie trzy potwierdzone przez państwowe DNA! – oburza się. – Bywa też, że do DNA rodziców pasuje kilka ciał albo odwrotnie: kilku rodziców do jednego ciała.

Na cmentarzach w Zaporozu i Dniprze od czterech lat spoczywają niezidentyfikowani polegli, opisani numerami. Tamtego krwawego lata 2014 r. oba miasta nagle ➔

→ stały się głównym zapleczem frontu. Potok rannych i zabitych przerósł możliwości struktur sanitarnych. Zwiezione z pół bitewnych ciała chowano w pośpiechu i chaosie.

Kilka tygodni temu na Ukrainie wybuchł skandal: gdzieś w polu znaleziono 36 porzuconych worków z ubraniami poległych.

Jadwiga: – Postawią im pomnik nieznanego żołnierza. Dopóki jakaś międzynarodowa organizacja nie wykopie jeszcze raz wszystkich chłopców do ekshumacji, to te „wyniki DNA” są warte mniej niż prognoza pogody. Władza zabrała naszych synów na wojnę, a teraz nie puszcza ich spokojnie do nieba. Czemu?

Reguły wojny

Alina Pawlujuk, prawniczka z Regionalnego Centrum Praw Człowieka: – Sytuacja osób zaginionych jest na Ukrainie tragiczna. Według konwencji genewskiej obie strony konfliktu powinny dołożyć wszelkich starań, by wesprzeć poszukiwania zaginionych, a także udostępniać informacje o pochowanych na ich terytorium ciałach i spisach jeńców. Ale Rosja łamie prawo nawet w przypadku żywych jeńców, czego więc spodziewać się w kwestii zmarłych?

– Z kolei na Ukrainie wciąż nie ma ustawy regulującej status prawny i system poszukiwań zaginionych – mówi Pawlujuk. – Nie ma też instytucji, która by się nimi zajmowała. Prawnie stosuje się tu takie normy jak w cywilnym życiu. To znaczy, że po trzech latach można uznać taką osobę za zmarłą, nawet jeśli są przesłanki, iż może przebywać w niewoli.

Ostatnio można zaobserwować zwiększenie liczby wniosków do sądu o uznanie zaginionych za zmarłych. Pawlujuk: – Wynika to właśnie z braku statusu: nie wiadomo, co robić z nieruchomościami należącymi do zmarłych, nie wiadomo, jak regulować prawa spadkowe. Władzy jest to na rękę. Nawet jeśli sytuacja prawna się unormuje, większość zaginionych zostanie już uznana za zmarłych, więc nie trzeba będzie zajmować się ich poszukiwaniami.

Kobieta z drugiej strony

– My chcemy po prostu naszych dzieci! – gdy Jadwiga zaczyna przemawiać, jej zmęczone oczy błyszczą jak w gorączce. – Nie interesuje mnie polityka, tylko pomoc matkom takim jak ja. Niezależnie od tego, po której stronie walczyły ich dzieci. Dlatego zainicjowałam akcję „Matki na ze-

rach”. To znaczy na linii zero, między walczącymi stronami.

Osiem kobiet przyjechało z różnych części Ukrainy do przyfrontowej Marjinki. Siedzą przy biurku w domu kultury. Czeka, aż przyjadą do nich matki separatystów. Pod stołem postawiły reklamówki. Przywiozły barszcz, termosy z herbatą, kielbasę na kanapki.

Po kilku godzinach czekania okazuje się, że z okupowanych przez Rosję terytoriów obwodu donieckiego i ługańskiego w drogę wyruszyły cztery matki. Ale trzy zostały zatrzymane jeszcze przez separatystów. Jedna – już na ukraińskim posterunku. Potem zamknięto lokalny punkt „graniczny” między Ukrainą i tzw. Doniecką Republiką.

Ukraiński sztab Operacji Zjednoczonych Sił (tak dziś nazywa się dawne ATO) wyjaśnił to koniecznością „zapobiegania prowokacjom”. Kobiety z Marjinki odebrały to tak, że rząd w Kijowie nie życzy sobie ich kontaktów z drugą stroną.

– Zatrzymali tamtą matkę z Doniecka, choć miała wszystkie pozwolenia! – oburzają się. – Sami nie szukają dzieci i nam szukać nie pozwalają! Całe przejście zamknęli, żeby zatrzymać jedną kobietę!

Matka zaginionego wroga stała się dla nich dziwnie bliska. Zachowują się tak, jakby to ich rodzoną siostrę zatrzymano właśnie pomiędzy liniami frontu.

Na spotkaniu pojawia się szefowa misji OBWE z Doniecka. Ta sama, w związku z którą wybuchł jakiś czas temu skandal, gdy internauci znaleźli jej zdjęcia z tzw. wstążką georgijewską, symbolem separatystów.

Ale matek nie obchodzą spory o obiektywność i bezstronność pracowników misji OBWE. Cieszą się, że ktoś chce ich wysłuchać.

Przedstawiciele OBWE pokazują plakat. Na nim: 12 zdjęć uśmiechniętych młodych mężczyzn. Nad głowami mają napis „Żywi, zapomniani, w niewoli”.

– To mój, a to mój – mówią jedna przez drugą. Może przedstawicielka OBWE zapamięta?

Siedzący na trawie, uśmiechnięty chłopak to Aleksander. Zaginął w bitwie o Debalewe w lutym 2015 r. Jego matka, Lila, trzyma kurczowo zdjęcie. – Zobaczyliśmy go w rosyjskiej telewizji. Powiedział przed kamerą, że chce wrócić do domu, bo żona jest w ciąży. Nie wrócił – płacze Lila. – Jak mam uznać go za martwego, skoro widziałam, że żył?

– Nikt z władz nie chce nas słuchać. Chcą nam dzieci żywcem pochować! – żalą się. – Mówią nam, że teraz zajmują się jeńcami z oficjalnej listy, a potem dopiero będzie czas dla nas. Sugerują, że jesteśmy w afekcie. Emocje? Każda z nas czuła je może przez pierwsze trzy miesiące. Potem emocje się skończyły. I ży też.

Krwawe szczęście

Kateryna Chomiak jest etniczną Rosjanką, pochodzi z Uralu. Mieszka pod Łuckiem na Wołyniu. Na wojnę z Rosją poszło na ochotnika jej dwóch synów.

Kateryna: – Pewnego dnia przeczytałam w internecie, że na wojnie zginęło dwóch braci. Od razu zrozumiałam, że to moi – mówi cicho starsza pulchna kobieta. – Szczęście, miejscowość, w której to się stało, znaczy „szczęście”. Tam moje szczęście się skończyło. Od czterech lat płaczę z bezsilności. Pokazuję wszystkim zdjęcia moich chłopców. Zobacz, wyglądają jak bliźniacy.

We wrześniu 2014 r. grupa żołnierzy z ochotniczego batalionu „Ajdar”, w której byli 23-letni Wołodia i 19-letni Dmytro, dostała się w zasadzkę pod Ługańskiem. Zginęło ponad 30 Ukraińców. Dwie godziny później weszło w życie oficjalne zawieszenie broni (pierwsze z wielu, jakie potem nastąpiły).

– Po boju separatyści wystawili do internetu wideo, na którym było widać zakrwawiony dowód osobisty mojego Dimy. Przeczytali nazwisko. Obok leżało ciało. Nie było widać twarzy, ale poznałam, że to on. Tylko co się z nim dalej stało? Nie pytam, kto go zabił. Pytam, gdzie są kości!

– Zaraz po walce mieliśmy informację, że w niewoli w Ługańsku jest 20 żołnierzy z regularnej armii i jeden z „Ajdaru” – opowiada. – To może choć Wołodia żyje? Potem zmienili wersję i zaczęli mówić, że nikt nie przeżył. Zadzwonili, że bym zabrała sobie moje trupy. Ale nie powiedzieli, gdzie są zakopane. To jak mam zabrać?

Kateryna stała się znana w kraju: jest jedyną matką na Ukrainie, której dwóch synów zaginęło bez wieści.

– Skoro służby państwowe nie pracują, musimy brać sprawy w swoje ręce – mówi. – W każdej chwili mogę pójść na drugą stronę. Zrobię wszystko, żeby przywieźć chłopców do domu. Nie boję się. Od czterech lat nie mam w domu dwójki dzieci. Nic gorszego już nie przeżyję. Przyjechałam ponad tysiąc kilometrów do

Marjinki, by spotkać się z mamami separatystów. Ich dzieci też nikt nie szuka. Przeżywamy to samo. Pomogę im, a one pomogą szukać moich synów.

Czy zastanawia się nad tym, że może mieć do czynienia z matką zabójcy jej dzieci? Odpowiada stanowczo: – Nie pytam ich, gdzie walczyli ich synowie. Matka matkę zrozumie.

Niedawno Katerynie przyśnił się Wołodia: – Powiedział do mnie tak spokojnie: „Wszystko dobrze, mam, niedługo wrócimy”.

– U nas cała wioska chodzi za moich chłopców do cerkwi – dodaje. – Ludzie pytają mnie: „Jak modlić się za twoje dzieci? Za wieczny odpoczynek czy za zdrowie?”.

Mama cię nie opuści

Pawłohrad to górnicze miasto, położone nieco na wschód od Dnipra. Mieszka tu Swieta.

– Kiedy mąż odszedł, zostałam sama z dwiema córeczkami i synem – mówi zabrana brunetka o smutnych oczach.

Ten syn, Maksym, zaginął.

Swieta: – Przyszły wyniki DNA. Ciało rozwalone, bez głowy. Mój syn miał tatuaż na ręce. A tu ciało bez tatuażu. I pierś wielka, owłosiona. U mojego chłopca na klatce nie było jednego włoska. On był chudziutki blondynek, a to ciało wielkie. Pokazałam zdjęcia lekarzowi, ocenił wiek na 35-40 lat. A mój miał 19 lat. Rozmiar butów, które oddali, to 45-46. Mój miał 41-42.

Maksym napisał z niewoli do matki, przez jeden z portali społecznościowych. Swieta pokazuje wiadomości. Porównuje z innymi, które syn pisał wcześniej, żeby pokazać styl rozmowy syna.

Maksym pytał o swoją dziewczynę, o młodsze rodzeństwo, wymieniał nazwiska kolegów, którzy są z nim w niewoli, a także zaginęli. Prosił mamę, żeby nie zgadzała się na dawanie pieniędzy nikomu, kto obiecywałby zwolnienie go za okup. I żeby nikomu nie mówiła, że ma dostęp do telefonu.

Dla Swiety te wiadomości były przede wszystkim dowodem, że syn żyje. Pokazała je ukraińskim służbom i przedstawiła cielom separatystycznych republik.

Maksym więcej nie napisał.

Swieta: – Najstraszniejsze jest to, że nasza rada miejska zaproponowała mi, że bym uznała go za zaginionego albo martwego, a wtedy córce zorganizują uniwersytet w Polsce. A ja żądam, by miał status jeńca, bo jest w niewoli. Ale separatyści nie



Kateryna Chomiak spod Łucka na Wołyniu, matka Wołodii i Dmytra, ze zdjęciami swoich zaginionych na wojnie synów. Marjinka, 2018 r.



Lila, mama Aleksandra, który zaginął w bitwie pod Debalcewe w lutym 2015 r. Marjinka, 2018 r.

przyznają się, że go mają. Jak mogę wyrzec się jednego dziecka, żeby budować przyszłość dla drugiego? Mój chłopiec żyje. Obiecałam mu, że go znajdę – wyjmuję puderniczkę, wyciera chusteczką rozmazany tusz do rzęs.

Pokazuje ostatni list, jaki napisała do syna: „Słoneczko, kochamy cię, bądź silny, mama cię nigdy nie opuści”.

– Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny śniło mi się, że przyjeżdżam do Dnipra i na centralnym placu miasta są wykopane otwarte groby, i że ja w tych grobach szukam synka – wspomina. – Czule biorę do rąk każdy piszczel, oglądam czaszki i liczę zęby, jakbym sprawdzała mleczaki u małych dzieci. I w ogóle się nie boję, jak-

bym ich wszystkich знаła. A teraz ten koszmar to moja jawa.

Znajome kroki

Siedzimy w jednopokojowym zagraco-nym mieszkanku na blokowisku Dnipra.

Jadwiga z trudem przeciska się między tapczanem i szafą: – Nam było dobrze razem, żyliśmy tu sobie spokojnie. Bez niego mieszkanie wydaje mi się takie wielkie.

– To moje centrum dowodzenia – mówię o stosach papierów, zsypujących się z sowieckiej jeszcze meblościanki. Są tu informacje o zaginionych żołnierzach, kopie rozkazów, opisy ciał z kostnic, zdjęcia syna.

Siada na ziemi, przegląda papiery. – O, tu są dokumenty moich rodziców – znajduje wreszcie. – Zobacz, mój ojciec Zygmunt, jest zaznaczone: narodowość polska!

– Moja młodość przypadła na czasy sowieckie. O tym, żeby wrócić do Polski, mogliśmy tylko śnić – wspomina. – Bardzo chciałam, żeby syn uczył się polskiego. Należeliśmy do Związku Polaków w Dniprze, wysyłałam go na kursy języka. Nie zgodziłam się, aby przyjął nazwisko męża. Chciałam, żeby miał moje polskie nazwisko, żeby nazywał się Andrzej Łoziński. Myślałam, że mu to w przyszłości pomoże... – opowiada. – Ale nadeszła wojna.

– Może to ja jestem winna? – zastanawia się. – Cała ulica dawała łapówki, żeby tylko uniknąć mobilizacji. Teraz ludzie pokazują mnie palcami i mówią: „Głupio zrobiłaś, pieniędzy ci było szkoda?”. A ja na wyprawkę dla niego do armii, na mundur i buty, wydałam więcej niż oni na to, żeby synów od poboru wykupić. Teraz ich synowie żyją, a mojego nie ma.

Od czterech lat Jadwiga zasypia tylko przy włączonym świetle i telewizorze. Akurat trwa emisja jakiegoś serialu. Grupa komandosów ryzykuje życie, by uratować porwanego turystę. – Żeby u nas tak było... – wzdycha.

Ogląda film z półprzymkniętymi powiekami, póki nie wpadnie w półsen. Gdy jest przerwa na reklamy, gwałtownie otwiera oczy. Rozgląda się. Jest Andrzej? Nie ma.

Na sugestie, aby jednak zrobić znów test DNA, odpowiada tylko: – Wiem, że żyje.

Gdy syn zaginął, Jadwiga nie zamykała drzwi na noc. Na wypadek, gdyby nagle wrócił. Teraz, po czterech latach, zaczęła je znów zamykać. Ale nocą jest czujna. Drzemie i nasłuchuje. Gotowa biec do drzwi, gdy tylko na korytarzu rozlegnie się znajomy odgłos szybkich kroków.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA



ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS

Football Park na placu Czerwonym pod murami Kremla. Moskwa, 28 czerwca 2018 r.

Rosja pod narkozą mundialu

ANNA ŁABUSZEWSKA

Jaka będzie Rosja po mistrzostwach? Czy spełnią one nadzieje prezydenta Putina na poprawę międzynarodowej atmosfery i wyjście Kremla z izolacji?

MUNDIAL PRZESŁONIŁ WSZYSTKO: DUSZENIE swobód obywatelskich, wprowadzoną bez zapowiedzi reformę emerytalną, zbrodnie wojenne, głódówkę Ołeha Sencowa, prześladowania aktywistów społecznych, śledztwo w sprawie zestrzelonego nad Donbasem samolotu Malaysia Airlines, otrucie Skripalów, korupcję, afery finansowe, ubożenie szero-

kich rzesz społeczeństwa i bogacenie się wąskiej grupki skupionej wokół Kremla.

Na ulicach rosyjskich miast przyjmujących gości mundialu trwa wielki bal. Rozbawieni kibice ze wszystkich zakątków świata bawią się bez ograniczeń (choć obowiązuje wprowadzony dekretem prezydenta zakaz zgromadzeń). Rosja chce pokazać światu uśmiechniętą twarz, skrzętnie zamyka pod dywan brzydkie sprawy. Mundial to szansa, aby spróbować przekonać świat, że to, co złego powiedziano ostatnio o Rosji – nawet jeśli było prawdą – już się nie liczy. Mundial to zaproszenie do odnowy przymierzy, zwłaszcza biznesowych, z rosyjską elitą, objętą dziś sankcjami. Mundial to w pojęciu Kremla szansa na przełamanie izolacji politycznej Rosji.

W jakim kraju obudzą się Rosjanie na jutro po finale, gdy narkoza przestanie działać?

Trybuna niehonorowa

XXI Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej są największą imprezą futbolową, jaką Rosja kiedykolwiek organizowała u siebie. Imprezą obliczoną na odwrócenie złej passy Moskwy na arenie międzynarodowej po aneksji Krymu i rozpętanu wojny na wschodzie Ukrainy w 2014 r., za co świat zachodni wprowadził sankcje gospodarcze.

Magia futbolu działa na wszystkich: nie tylko na zagorzałych kibiców, którzy zmieniają się w gejzery pomysłowości, tworząc barwne spektakle, ale też zwykłych ludzi, którzy na co dzień niespecjalnie interesują się piłką, a przy okazji mistrzostw odnajdują w sobie nagle żyłkę sportowego hazardu. Nie pozostawia obojętnych także polityków.

Kreml najwyraźniej liczy na to, że polityczny bojkot – ogłoszony po otruciu rodziny Skripalów w Wielkiej Brytanii i wojnie dyplomatycznej – ulegnie zatarciu. W komentarzach wygłaszanych w rosyjskiej telewizji pobrzmiwa nadzieja, że gdy rozgrywki wejdą w decydującą fazę, nawet najbardziej zatwardziali przeciwnicy bratania się z Putinem przybędą, by wesprzeć swoje drużyny narodowe. Z wielkim zadowoleniem odtrąbiono w rosyjskich mediach zapowiedź, że król Filip VI będzie kibicować drużynie Hiszpanii podczas meczu 1/8 finału z drużyną Rosji. Bodaj najgorętsze spory wśród komentatorów wywoływała spekulacja, że do Moskwy przybędzie kanclerz Angela Merkel. Ale po tym, jak Niemcy odpadli, odpadła również ta kontrowersja.

Niemieccy goście specjalni zaznaczyli swoją obecność już podczas otwarcia mistrzostw. Pojawili się zawsze wierny

Putinowi ekskanclerz Gerhard Schröder i przyjaciel prezydenta z czasów drezdeńskich Matthias Warnig – dziś szef Nord Stream AG.

Warto przyjrzeć się i innym gościom. Poza wasalami z obszaru byłego Związku Sowieckiego do Moskwy przybyli przedstawiciele władz Abchazji i Osetii Południowej – prowincji, które Rosja oderwała od Gruzji w wyniku wojny 2008 r. Pod protektorem Moskwy ogłosiły one niepodległość, której społeczność międzynarodowa nie uznała. Obecność polityków z tych regionów była manifestacją Kremla: oto zapraszamy na salony i nobilitujemy tych, których Zachód nie zauważa. Przyjechał też były prezydent Francji Nicolas Sarkozy, notabene główny patron miękkiego porozumienia z Rosją po gruzińskiej wojnie. W komentarzach telewizyjnych podkreślano też fakt, że przybyła również delegacja chińska, choć nie na najwyższym szczeblu.

Jak o nieboszczyku

Swoją przygodę na stadionie Łuźniki w Moskwie, na którym odbywał się mecz inauguracyjny, przeżył Diego Maradona. Chciał zaparkować – zgodnie z przydziałem – na parking dla VIP-ów. Ochroniający stadion posępni panowie z OMON-u poprosili gwiazdora, by odjechał: nie wolno i koniec. Maradona nie dawał za wygraną, wyciągnął jakieś bumagi. Ale i to nie zmiażdżyło serc OMON-owców. Wiadomość o niepowodzeniu Maradony zamieściła agencja RIA Novosti, ale po kilku godzinach ją usunęła. O mundialu jak o nieboszczyku: albo nic, albo dobrze. Cenzura ma się świetnie.

To właśnie klucz do sukcesu: odpowiedni przekaz. Rosyjskie media zostały zmobilizowane do tworzenia atmosfery i nadawania odpowiednich komunikatów. Komunikat numer jeden: wbrew temu, co naopowiadały media z Zachodu, na kibiców czeka prawdziwy raj, w którym mieszkają ludzie przyjaźni i uczynni. Komunikat numer dwa: zagraniczni kibice, którzy – nastraszeni przez swoich polityków – znaleźli w Rosji ów raj, zwątpili w rodzimy przekaz medialny i swoich przywódców, wrogo nastawionych do Rosji.

To ciekawy zabieg. Rosyjska telewizja codziennie pokazuje zagranicznych kibiców, którzy powtarzają mantrę o zaskoczeniu gościnnością Rosjan i utracie zaufania do swoich mediów. Żadnych niezadowolonych, zawiedzionych, pijanych, pobitych,

okradzionych. Sielskiego obrazka nic nie ma prawa zakłócić. Rosyjskie MSW nie publikuje na swojej stronie internetowej żadnych przykrych wiadomości. Co nie znaczy, że nic przykrego się nie dzieje. Różnymi niecenzurowanymi kanałami – mediów społecznościowych i opozycyjnych gazet – co rusz dochodzą wieści, że temu czy owemu kibicowi skroili portfel z pokąsną sumą. A jeszcze niedawno policja informowała, że prowadziła z kieszonkowcami rozmowy wychowawcze, pouczając, że na czas turnieju mają zerwać ze swoim procederem, aby nie psuć wizerunku Rosji.

Trzeba rodzić swoje dzieci

Obyczajowość okołomundialowa zyskała także inny nieoczekiwany wymiar.

Najpierw temat odpowiedniego prowadzenia się Rosjanek podczas mistrzostw podjęła Tamara Pletniowa, przewodnicząca komisji ds. rodziny, kobiet i dzieci Dumy Państwowej. Poradziła rodaczkom, aby unikały kontaktów seksualnych z cudzoziemcami. Ostrzegła z z troską: „Nawet jeśli się ożenią, to wywiozą gdzieś daleko, a potem jest problem, żeby dziewczyna mogła wrócić do Rosji. Takie przychodzą do mnie do Dumy i płaczą, że dzieci im zabrali, ci cudzoziemcy. Ja bym chciała, żeby w naszym kraju ludzie pobierali się z miłości, nieważne, jakiej narodowości, byle byli obywatelami Federacji Rosyjskiej”.

Pletniowa przypominała też, że „po igrzyskach olimpijskich w Moskwie 1980 r. było wiele matek samotnie wychowujących dzieci. Takie dzieci potem cierpią. Dobrze, jak są jednej rasy, ale zdarza się, że są innej. To wtedy bardzo cierpią. A my powinniśmy rodzić swoje dzieci”.

W czasach pierestrojki, podczas jednego z telemostów Moskwa-Waszyngton – programu telewizyjnego, który miał zbliżyć obie potęgi i doprowadzić do odprężenia – jedna z uczestniczek powiedziała słynne zdanie: „W Sojuszu nie ma seksu”. Teraz się okazuje, że owszem, jest, ale zalecany wyłącznie między obywatelami Rosji. Odstępstwa od tej zasady, a szczególnie z przedstawicielami innych ras, są niebezpieczne i niewskazane.

Ale odgórne zalecenia sobie, a życie sobie. Ono dopisało ciąg dalszy do wywodów Pletniowej. Swoimi obserwacjami podzielił się z czytelnikami dziennika „Moskowskij Komsomolec” Płaton Biesiedin. W artykule pt. „Czas dziwek: Rosjanki na mundialu okrywają hańbą siebie i kraj” opisał śmiało uciechy cielesne, jakim ro-

syjskie kobiety mają się masowo oddawać w objęciach zagranicznych kibiców. W mediach społecznościowych aktywne są grupy ułatwiające zawarcie znajomości, a także strony publikujące szokujące filmiki z udziałem gwałtownie „zakochanych”, uprawiających seks w miejscach publicznych (sporządzono nawet nieoficjalny ranking kibiców najbardziej skłonnych do nawiązywania flirtu z Rosjankami: pierwsze miejsce zajęli Polacy, wyprzedzając Brazylijczyków i Argentyńczyków). Biesiedin pisze dalej, że Rosjanki są gotowe na wszystko, aby oczarować przybyszów z dalekich stron.

Po publikacji artykułu wybuchł skandal. Biesiedin przeproszał i zapewniał, że został źle zrozumiany.

Za parawanem mundialu

Zanim turniej wystartował, nastroje rosyjskich kibiców nie były zbyt optymistyczne. W ostatnim rankingu FIFA rosyjska drużyna została sklasyfikowana na 70. miejscu. Tak źle jeszcze nie było. Gdy więc w meczu otwarcia Rosja wygrała z Arabią Saudyjską pięcioma bramkami, Rosjanie oszaleli. Euforia utrzymywała się też po kolejnych meczach, w których ich drużyna zapewniła sobie awans do 1/8 finału.

Upojeni zwycięstwami obywatele w pierwszej chwili nie zwrócili uwagi na to, co się dzieje poza boiskiem. Tymczasem premier Dmitrij Miedwiediew ogłosił – w dniu otwarcia mistrzostw – że wnosi do Dumy dwa projekty ustaw: o podwyższeniu VAT z 18 do 20 proc. oraz o podniesieniu wieku emerytalnego (dla kobiet z 55 do 63 lat, dla mężczyzn z 60 do 65 lat). Dodał, że Rosjanie żyją coraz dłużej, więc na emeryturze jeszcze sporo sobie pożyją (w istocie średnia długość życia mężczyzn wynosi 67 lat; 40 proc. Rosjan nie dożywa wieku emerytalnego).

Projekty zostały natychmiast skierowane na szybką ścieżkę legislacyjną. Bez wątplenia zostaną przyjęte, może jedynie w trochę łagodniejszej formie – jeśli dojdzie do masowych protestów. Na razie zorganizowanie demonstracji zapowiedział opozycjonista Aleksiej Nawalny, a konfederacja związków zawodowych zbiera podpisy pod petycją przeciw podwyższeniu wieku emerytalnego. Wypowiadający się dla gazet opozycyjnych eksperci twierdzą, że wielkich protestów nie będzie: władzom udało się skutecznie rozmontować opozycję i wszelkie instytucje, które mogłyby stać się fundamentem oporu ➔

→ obywatelskiego. A po drugie dlatego, że problem dotyczy nie wszystkich, lecz rozproszonych grup.

Oszczędności poczynione dzięki reformie pozwolą rządowi sfinansować te wydatki, na które aktualnie w budżecie brakuje pieniędzy. Rząd widzi jeszcze inne korzyści: na rynku pracy, odnotowującym deficyt pracowników, pozostanie 9 mln ludzi, których nie trzeba będzie opłacać z uszczuplonego funduszu emerytalnego. Społeczeństwo szybko się starzeje, nakłady na emerytury to dziś 9 proc. PKB Rosji, z tendencją rosnącą.

Co ciekawe, o drugim projekcie – podniesieniu VAT – nikt w Rosji nie dyskutuje, choć ta zmiana uderzy po kieszeni wszystkich. Ciekawe jest i to, jak w rozgrywce o reformę emerytalną zachowuje się Putin. Przez swego sekretarza prasowego mówi, że nie pracował nad projektami i zajmie się nimi z troską dopiero, gdy przyjmie je parlament. Kilka lat temu Putin zapewniał, że dopóki będzie prezydentem, nie podniesie wieku emerytalnego. Na to Kreml też ma gotową odpowiedź: zmieniły się okoliczności.

Dramat w cieniu piłki

Tymczasem trwa dramat Ołeha Sencowa.

Skazany w 2015 r. na 20 lat łagru, w sfingowanym procesie (za rzekome zorganizowanie grupy przestępczej, mającej dokonywać zamachów terrorystycznych), ten ukraiński reżyser z Krymu i aktywista Automajdanu ogłosił 16 maja bezterminową głodówkę. Więziony w Łabytnangi na Dalekiej Północy, Sencow żąda uwolnienia wszystkich ukraińskich więźniów politycznych przetrzymywanych w rosyjskich więzieniach.

Prezydent Putin był kilkakrotnie proszony o ulaskawienie reżysera. Ani drgnął.

Sporządzono nieoficjalny ranking kibiców najbardziej skłonnych do nawiązywania flirtu z Rosjankami: pierwsze miejsce zajęli Polacy.

Powtarza, że Sencow został prawomocnie skazany za terroryzm i nie widzi podstaw do uwolnienia tak niebezpiecznego więźnia. Nie skutkują apele europejskich polityków ani petycje rosyjskich środowisk twórczych. Sam Sencow odrzucił podsunięty mu przez adwokata pomysł złożenia prośby o ulaskawienie na ręce Putina.

„On umiera, może już nie żyje” – piszą publicyści w mediach społecznościowych. W oficjalnych mediach o głodującym reżyserze trudno znaleźć jakieś informacje. Gazety opublikowały tylko komunikat rosyjskiej rzeczniczki praw obywatelskich, która odwiedziła Sencowa w kolonii karnej i przekonała się, że stan zdrowia więźnia jest zadowalający. Jej słów nie mogła zweryfikować ukraińska rzeczniczka, której nie wpuszczono na teren kolonii.

Zapewne dopóki trwa mundial, sprawa Sencowa będzie „zamrożona”. Podobnie jak wszystkie inne sprawy, które nie pasują do idealnego obrazka. Choćby wznowione w ostatnich dniach czerwca naloty rosyjskie w Syrii, w których giną cywile. Warto też zauważyć, że jednocześnie Putin ogłosił po raz kolejny wycofanie rosyjskiego kontyngentu z Syrii.

W tle toczy się ostra rozgrywka o rozszerzenie uprawnień Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej. Rosja kategorycznie wystąpiła przeciw wprowadzonemu właśnie przepisowi, pozwalającemu tej orga-

nizacji wskazywać winnych ataków chemicznych (za wprowadzeniem głosowały 82 kraje, przeciw 24, w tym Rosja, Iran i Syria). W niedalekiej przeszłości organizacja kilkakrotnie potwierdzała fakty ataków chemicznych w Syrii, ale nie mogła wskazywać winnych, gdyż to nie wchodziło w jej kompetencję. Rosja zawsze stawiała murem za podejrzanym o te ataki Baszarem Asadem i prowadziła kampanie dyplomatyczne i dezinformacyjne, by Asada wybronić.

Jedynym tematem, który ostatnio może rywalizować z mundialem, jest zapowiedź spotkania Trump-Putin. Ustalono już, że odbędzie się w Helsinkach 16 lipca. To dobra wiadomość dla Kremla, świetnie współgra z założeniem przełomu przez ocieplenie wizerunku dzięki mundialowi. Putin od dawna czeka na sposobność porozmawiania z Trumpem sam na sam, błysnięcia mu w oczy „specjalną broszką”. Rosja chciałaby przekonać Stany, że można wrócić do stanu „sprzed Krymu” bez konieczności zmiany obecnego statusu półwyspu. Czy to się uda?

W jakim kierunku

Jaka więc będzie Rosja po mundialu? Czy spełni on nadzieje Putina na poprawę międzynarodowej atmosfery? Politolog Michaił Winogradow pisze na Facebooku: „Możliwe, że Rosja po mistrzostwach nie będzie taka, jak przedtem. Ale wcale nie wiadomo, jaka będzie. Która z analogii okaże się bliższa: czy podobieństwo do festiwalu młodzieży i studentów w 1957 r., który stanowił mocny impuls dla unowocześnienia i otwartości Związku Sowieckiego? Czy może będzie jak po olimpiadach w 1980 i 2014 roku, których przykre skutki odczuwamy do dziś?”.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 32/18 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Wilczyńcu, o powierzchni 1,07,08 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działki 31/5 i 31/8, arkusz mapy 1, dla której nie była prowadzona księga wieczysta ani zbiór dokumentów.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 6/18, toczy się postępowanie z wniosku Marcina Dolega o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości składającej się z działki nr 404 o powierzchni 0,2100 ha, położonej w miejscowości Rogowa, gm. Wolanów.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym w szczególności spadkobierców Jana Grzduka, s. Józefa, Józefa Reguły, s. Jana, oraz Jana Siary, s. Łukasza, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili przysługujące im prawo do ww. nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie na rzecz wnioskodawcy, o ile zostanie ono udowodnione.



Marsz kobiet – pracownic domowych z Afryki i Azji – w obronie swoich praw. Bejrut, 24 czerwca 2018 r.

Niewidzialne kobiety

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BEJRUTU

Ofiary twierdzą, że to współczesne niewolnictwo: w Libanie służba domowa – rekrutowana z Afryki i Azji – jest ściśle związana z pracodawcami. Na dobre i złe.

ULICE WSCHODNIEGO BEJRUTU WYPEŁNIŁY setki kobiet. W tłumie powiewają flagi Etiopii i Kenii oraz transparenty z powtarzającymi się słowami „prawa”, „godność”, „sprawiedliwość”. Część demonstrantek idzie w ciszy, nie zwracając na siebie uwagi. Inne, jak Etiopki, śpiewają i tańczą rytmicznie podskakując, a lejący się z nieba żar zdaje się dodawać im tylko energii.

Można by pomyśleć, że okazja do pochodu jest radosna. Ale to pozory. Już dziewiąty rok z rzędu w Światowy Dzień Pracowników Domowych one właśnie – pomoce domowe w Libanie – wychodzą na ulice, by przypomnieć światu o swym upodleniu i wstydliwych sekretach libańskich rodzin. Często upokarzane, bite, wykorzystywane seksualnie i pozbawione praw, niewidzialne mieszkanki arabskich domów – krzyczą o sprawiedliwość.

Krzyczy też Pola, 22-latką z Kenii z burzą cienkich warkoczyków. – Mamy nadzieję, że w końcu doczekamy się sprawiedliwości i otrzymamy należne nam prawa, że będziemy traktowane jak ludzie – mówi z determinacją. – Kolor skóry nie powinien mieć znaczenia. Chcę, żeby wiedzieli, że jesteśmy takie same jak oni.

Podobnie jak w innych krajach regionu, napływ taniej siły roboczej do Libanu reguluje system *kafala*. Pracownik jest związany umową z konkretnym pracodawcą-sponsorem, nie może zmienić pracy bez jego zgody i nie podlega ochronie prawa pracy. W praktyce oznacza to, że jest całkowicie uzależniony – co stwarza ogromne pole do nadużyć.

Mister sobie nie żyć

Od końca wojny domowej w 1990 r. do Libanu zaczęły masowo przyjeżdżać dziewczęta z ubogich krajów Azji i Afryki w poszukiwaniu lepszego życia. Agencje rekrutujące tanią siłę roboczą szybko okazały się dochodowym biznesem.

Kobiety z Etiopii, Kenii, Sri Lanki czy Filipin, po uiszczeniu opłaty dla agencji, ściągane są do Libanu na koszt sponsora na czasowy kontrakt. W tym okresie nie mogą urodzić dzieci (grozi za to deportacja) ani zrezygnować z zatrudnienia – chyba że zechce tego pracodawca.

Większość mieszka z rodzinami, które od chwili odebrania pracownicy z lotniska aż do zakończenia kontraktu niemal całkowicie kontrolują jej życie.

Często kobiecie zabierany jest paszport, a jej wolność ograniczana jest nie tylko przez pracę 12 godzin na dobę, sześć dni w tygodniu, ale również widzimisię państwa – określanych jako *mister* i *madame*, nigdy inaczej – którzy często nie życzą sobie, by ich gospościa opuszczała teren domu.

Zapłata jest równie ponizająca, co warunki pracy. – Kobiety z Etiopii i Bangladeszu mogą liczyć na 150 dolarów miesięcznie, podobnie jak te z Nepalu i Sri Lanki – mówi Wassim Eduardo Aboultaif, wykładowca na Uniwersytecie Libańsko-Amerykańskim w Bejrucie. – Z kolei Filipinki dostają minimum 400 dolarów. Niektóre pracownice z frankofońskiej Afryki mają szanse na więcej, jeśli są w stanie

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

→ dogadać się z pracodawcami po francusku, co jest widziane jako bardziej prestiżowe.

W warunkach libańskich są to stawki głodowe, a dla pracodawcy niewielki wydatek. Dlatego nie tylko najbogatsi Libańczycy mogą sobie pozwolić na posiadanie pomocy domowej. Już nawet niższa klasa średnia zatrudnia kobiety do pomocy – w obowiązkach domowych, do opieki nad dziećmi, a także dla prestiżu.

Pola skacze z okna

Wedle oficjalnych danych w sześciomilionowym Libanie (jeśli uwzględnić półtora miliona przebywających tu uchodźców, głównie z Syrii) rocznie wydaje się 150 tys. wiz dla pracowników domowych. Ale organizacje pozarządowe, pracujące z migrantami, mówią nawet o 350 tys. kobiet zatrudnionych jako pomoce domowe.

Pozostałe kobiety to niewidzialne ofiary systemu, które przemoc pracodawców zmusiła do ucieczki – tym samym straciły prawo pobytu. Dla większości z nich powrót do ojczyzny będzie możliwy dopiero po spłacie kwoty, którą pracodawca zainwestował w ich przyjazd, lub po odbyciu kary więzienia za nielegalny pobyt w Libanie. Wiele zatem nie ma wyjścia i wybiera życie poza systemem.

Tak jak Pola. W cieniu drzew, w małym parku wschodniego Bejrutu, w rytmie bębnow i śpiewów wieńczących protest niewidzialnych kobiet, dziewczyna wspomina najgorszy okres swojego życia. – Po trzech miesiącach od przyjazdu mój szef zaczął na mnie krzyczyć, często nie dawał jeść, kazał pracować długie godziny bez odpoczynku. Po siedmiu miesiącach uciekłam – mówi ze złością. Szybko jednak została aresztowana przez policję za brak dokumentów. W więzieniu spędziła trzy ciężkie miesiące.

– Nie miałam z kim porozmawiać, spałam na ziemi bez materaca. Policja powiedziała, że jedyne, co mogą zrobić, to zadzwonić do mojego pracodawcy. Podałam im jego nazwisko, zadzwonili i przyjechali po mnie – opowiada. Pola twierdzi, że liczyła, iż po powrocie będzie inaczej i szef zacznie traktować ją z szacunkiem. Tak się jednak nie stało.

– Zrobiłam coś nie tak i powiedziałam, że może obniżyć mi pensję, że przepraszam. Odpowiedział, że to nie załatwi problemu, i że jak wróci z banku, to mnie zabije. Był agresywny i wierzyłam, że to zrobi – opowiada. – Wyskoczyłam z drugiego piętra, zraniłam sobie nogę, ale bie-

20-letnia Lensa, Etiopka pracująca u projektantki Eleanore Ajami, twierdzi, że była codziennie bita lub ciągnięta po ziemi za włosy.

głam dalej i teraz jestem tu. Uciekłam bez paszportu, bez ubrań, bez pieniędzy.

Lensa wycofuje zeznania

Na szczęście Pola szybko otrzymała wsparcie od mieszkającej w Bejrucie społeczności kenijskiej. Miała wtedy 19 lat. Od tamtej pory jest w Libanie nielegalnie. Nadal pracuje jako pomoc domowa, ale nie mieszka już z pracodawcą. Choć przyznaje, że nie zawsze dostaje wypłatę, a warunki zatrudnienia są jeszcze bardziej niepewne, to uważa, że i tak jest lepiej niż wcześniej. Najchętniej wróciłaby do Kenii, ale nie stać jej na spłatę pracodawcy, zakup biletu na lot do domu i pokrycie kary za lata nielegalnego pobytu.

– Wyzywają nas od dziwek, psów, osłów. Takie traktowanie łamie nam serca – dodaje koleżanka Poli, Anita, a po policzkach ciekną jej łzy. – Jesteśmy ludźmi tak jak oni i tak powinni nas traktować.

Skalę przemocy i bezkarności pracodawców brutalnie unaocznili niedawny skandal z udziałem znanej projektantki mody Eleanore Ajami, w którym społeczeństwo Libanu mogło przejrzeć się jak w lustrze. 20-letnia Lensa Lelisa, Etiopka zatrudniona w domu projektantki, złamała nogę podczas ucieczki, skacząc z okna drugiego piętra. Lensa twierdziła, że była torturowana, codziennie bita kablami, ciągnięta po ziemi za włosy i rzucona o ścianę. Nie zezwalano jej również na opuszczanie domu.

W Libanie zawrzało, media społecznościowe ogarnęła furia, a na projektantkę spadła fala krytyki. Jednak wkrótce potem Lensa nieoczekiwanie wycofała zeznania, twierdząc, że jej obrażenia to wynik upadku podczas sprzątanego, a historię zmyśliła, by wyjechać z Libanu. Jako że jej kontrakt wiązał ją z rodziną Ajami, wróciła do swoich pracodawców.

Farah Salka – założycielka Ruchu Antyrasistowskiego, na co dzień pracująca z migrantami – nie ma wątpliwości, że Etiopka wycofała zeznania pod presją rodziny projektantki. – Ta historia, o której usłyszało tyle osób, pokazuje, że migranci mają ograniczone możliwości. Niektórzy pra-

codawcy dbają o swoją reputację, ale nie poza tym – tłumaczy. – System legitymizuje niewolnicze warunki pracy.

– Nie jesteśmy nawet w stanie zająć się wszystkimi sprawami, które do nas trafiają – mówi Farah Salka. – Gnębienie, rasizm, dyskryminacja, brutalność policji, konfiskata dokumentów, wykorzystywanie, niepłacenie pensji – ta lista nie ma końca.

Farah wierzy w zmianę

Farah Salka uważa, że wyjściem z sytuacji byłoby otoczenie imigrantów zarobkowych prawami pracowniczymi i opracowanie nowego systemu wizowego. Bahrajn, Jordania i Katar zreformowały w ostatnich latach system *kafala*. Ale Liban nie myśli o zmianach.

Georges Ayda, dyrektor generalny w Ministerstwie Pracy, tak mówił w rozmowie z Thomson Reuters Foundation: „Sytuacja nie jest idealna. Staramy się wprowadzić ulepszenia, ale nie pójdziemy w stronę likwidacji systemu kafala. Jeśli go zlikwidujemy, nie będzie gwarancji, że pracownik będzie respektował warunki kontraktu”.

Nie tylko niechęć władz stoi na przeszkodzie zmianie niesprawiedliwego systemu. Farah Salka twierdzi, że odpowiedzialność spoczywa na całym społeczeństwie. – Popatrz dookoła. To się dzieje we wszystkich domach: w mojej rodzinie, u moich przyjaciół, moich sąsiadów. Cały kraj czerpie z tego korzyści – przekonuje. – System sponsoringu sprawia, że ludzie mogą zapewnić opiekę np. swoim starym rodzicom za cenę 150 dolarów miesięcznie, a rząd nie musi się o to martwić.

Farah Salka twierdzi, że zmiana musi iść od dołu. Dlatego ostatnia mobilizacja pracowników domowych i protest, który okazał się największym w ostatnich latach, to znak, że niewidzialne kobiety mają dość i są gotowe walczyć o swoje prawa. – To był ważny i symboliczny dzień – mówi Farah. – Jedyne dzień, w którym ludzie wyszli na ulice, by krzyżeć i tańczyć bez strachu, jaki towarzyszy im każdego dnia. To także znak, że tworzy się silny ruch i porozumienie między społecznością lokalną i migrantami.

Choć w ostatnich latach wielu aktywistów deportowano, a sytuacja prawna migrantów od lat nie uległa zmianie, ruch pracowników domowych nabiera kształtu. Po ostatnich skandalach kobiety, z których wiele nie ma nic do stracenia, wyciągają ręce po swoje prawa i godność.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

WOJCIECH

Bonowicz: Zapamiętani



SIEDZI OBOK MNIE, A OBOK NAS JUŻ NIKT. Choć tramwaj zapełnia się na kolejnych przystankach, nikt się nie przysiadł. Bije od niego ostry zapach pitego nocą alkoholu, ale chyba nie to odstrasza najbardziej. Mówi, bez przerwy mówi. Gestykuluje przy tym szeroko rękami. Słuchaczy już ma, rozłożyli się na dwóch pustych siedzeniach naprzeciwko. Rzeczywistych nie potrzebuje, mnie znosi cierpliwie tylko dlatego, że się nie odzywam.

Wiem, że odezwać się nie wolno. Nawet zwykłe przytaknięcie sprawiłoby, że by się zdenerwował, podniósł głos, zaczął mówić jeszcze bardziej niezbornie i niewyraźnie. Od czasu do czasu jego spojrzenie prześlizguje się po mnie, sprawdza, czy aby nie słucham. W lewej ręce ma puszkę z energetykiem, co pewnie łagodzi kaca, ale też dodatkowo go nakręca. Pije drobnymi łykami, nawet z pewnym namaszczeniem. Między nogami stoją dwie wypchane foliowe torby, starannie obwiązane sznurkami. Ubranie ma czyste, widać, że ktoś o niego dba, a może sam umie o siebie zadbać. Kiedy przechylił głowę, pijąc, kaszkiet przesuwając się na czoło i wtedy na ciemnobrązowym karku, porośniętym siwymi włoskami, dostrzegam grube, żółte krople potu.

„Wychowałem trzech synów – mówi. – Trzech synów. Wszystko mają, jeden drugiemu nie zazdrości. A co? Namówiła mnie: jedź, jedź. Pojechałem. Machałem na busa, dopiero drugi się zatrzymał. W busie stałem, mówię mu, żeby się posunął, to nie. Ja mu mówię: »posuń się«, a on: »nie, nie«. Machałem, drugi mnie wziął, mówię, żeby mi zrobili miejsce. Nie ma. Jadę,

ale widzę, że on nie tam jedzie, gdzie jadę. Wołam do niego: »gdzie jedziesz?«. A ludzie: »cicho, cicho«, »pijak«. Wysiadłem, przechodzę na drugą stronę, i znowu do busa. Bus był pusty, daję mu pieniądze, a on mi na to, że jedzie naokoło. Zapłaciłem, zasnąłem. Obudził mnie, torby miałem obok siebie. Po co ja tam pojechałem, nie wiem. Musiałem wracać. Mówi mi: »jedź, jedź«. Nie spytałem się jej, po co”.

Skupiam się i usiłuję zapamiętać każde słowo, a przede wszystkim to, jak mówi. Ale udaje mi się to z trudem, bo przyspiesza, mówi coraz chropawiej, niezborniej, a ja zapamiętując, wygładzam, naginam do poprawności. W ten sposób jego głos nakłada się na mój i nie jest już ani jego, ani moim, lecz wspólnym, dwupodmiotowym, a może jeszcze czymś innym, choć historia, która tam jest, pozostaje jego. Starsza kobieta patrzy na puste siedzenia przed nami, ale nie siada. Chłopak w koszuli w kratę przelicza na dłoni drobne. Dziewczyna obok niego długimi różowymi paznokciami szuka czegoś w komórcie. Ma ładny, mały nos, i usta tak drobne, że wyglądają jak blado-różowa blizna.

„Ulica zamknięta – wziął ostatni łyk i mówi dalej. – Rozkopują, otwierają, potem zamykają. Teraz znowu rozkopane. Pojedziesz do dworca, później w prawo, przez Wisłę. Na pętli się przesiadziesz, a potem do busa. Mówię: »posuń się, też chcę siedzieć«. On – nie, bo on siedzi. Dobrze, że nie usiadłem, bobym przejechał. Idę z tymi torbami do tramwaju, a tu upał, mogło by już raz lunąć. Synów mam trzech. Dobrych. Już są dzieci, wnuki, domy, nie domy. W dupach im się nie poprzewracało. Mówi: »jedź, nie będziesz mi się tłukł po domu«. Nie wiem, po co, wszystko mają. Ale może nie mają, jak im ojciec nie przywiezie”.

Zakolysało tramwajem. Dziewczyna z różowymi paznokciami przysiadła na jednym z pustych siedzeń. Nie wie, że zajęła nie swoje miejsce. Mój sąsiad zrywa się nagle, łapie torby i zaczyna przepychać się w stronę wejścia. Jego gniewny głos już mi umyka, nie rozróżniam poszczególnych słów. Na podłodze zostaje puszkę po energetyku, która turla się po wykładzinie. Dziewczyna odruchowo zatrzymuje ją stopą. Podnosi wzrok znad ekranu i przez chwilę patrzy mi w oczy, nie widząc. ©

REKLAMA

Kraków

Jacek Majchrowski, Prezydent Miasta Krakowa i Stowarzyszenie Muzyki Polskiej zapraszają na
Jacek Majchrowski, Mayor of the City of Kraków and The Polish Music Association invite you to the

14. festiwal
muzyki polskiej
14TH FESTIVAL OF POLISH MUSIC

KRAKÓW
3-22.07.2018
www.fmp.org.pl

Inauguracja:

Krzysztof Penderecki
Polskie Requiem

Chór i Orkiestra Filharmonii
im. Karola Szymanowskiego w Krakowie,
Sinfonietta Cracovia,
Chór i Orkiestra Opery Wrocławskiej,
Marcin Natęcz-Niesiotowski,
Miranda Liu, Małgorzata Wasiucionek,
Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus,
Matteo Pagliari, Elżbieta Szmytka,
Su-Han Yang, Philipp Kopachevsky,
Capella Cracoviensis, Jan Tomasz Adamus
i inni

DROGA DO RAJU ZACZYNA SIĘ W GÓRACH

221 lat temu na świat przyszedł Szamil, wódz kaukaskich górali. Pod jego rządami powstało państwo, które długo stawiało opór Rosji. Pamięć o nim wciąż jest żywa na Kaukazie.

KAROL FRYTA Z DAGESTANU I CZECHENII

JEST GORĄCE POPOŁUDNIE 25 SIERPNIA 1859 r. W gunibskiej twierdzy, położonej w górzystym Dagestanie na Kaukazie Północnym, zaciekle broni się imam Szamil.

Z kilkudziesięciotysięcznej armii, która przez niemal ćwierć wieku stawiała opór carskiej Rosji, w tej ostatniej bitwie bierze udział ledwie trzystu najwierniejszych miurydów Szamila i dwustu mieszkańców Gunibu. Teraz, gdy słońce powoli zachodzi, w najbliższym otoczeniu imama jest

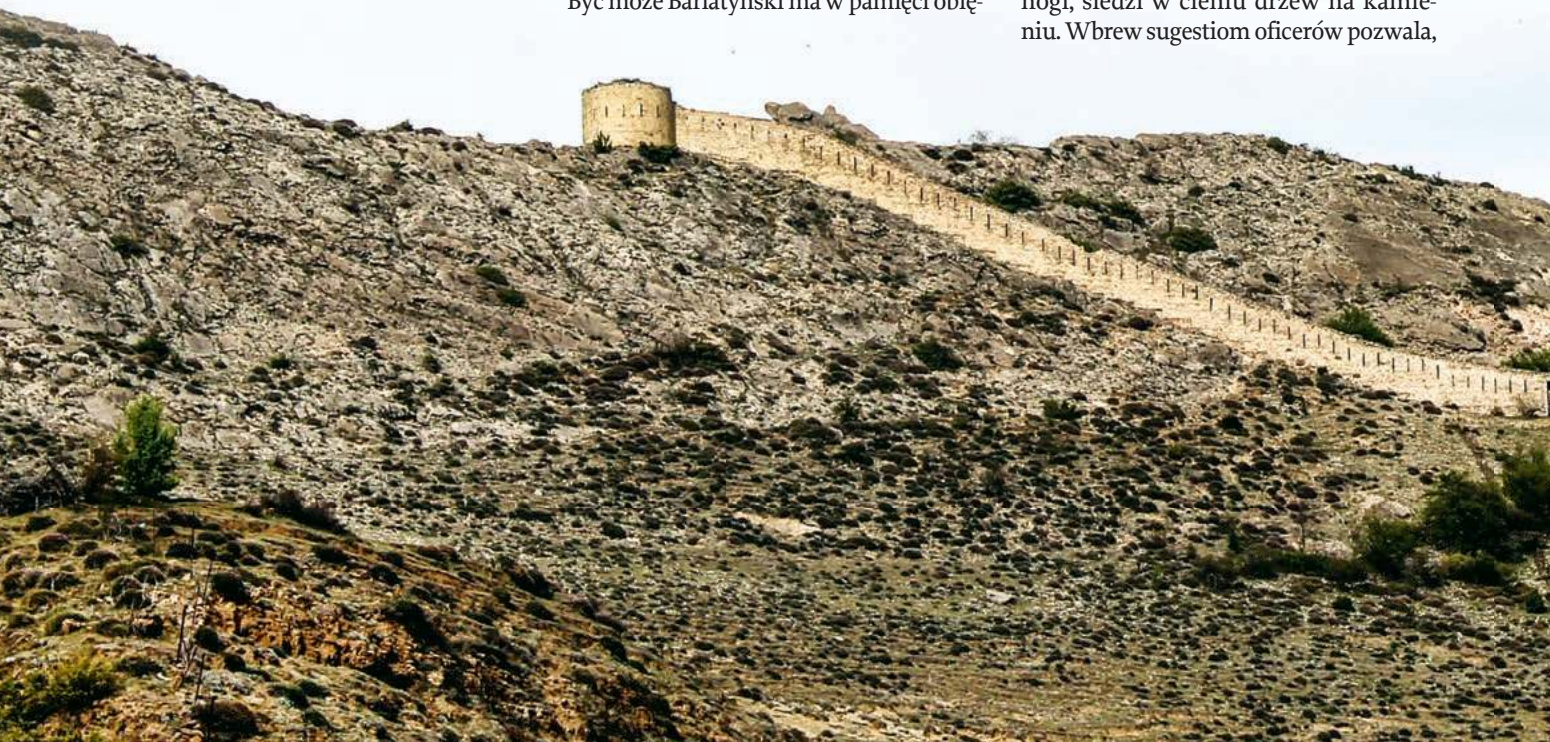
kilkunastu górali i pokaleczone, jęczące z bólu kobiety trzymające na rękach dzieci.

Rosjanie podchodzą coraz bliżej. Imam posyła do negocjacji Jonaziego, jednego ze swoich najwierniejszych naibów. Wyśłannik, unurzany we krwi, stawia warunek kapitulacji: wojska rosyjskie mają się cofnąć. Jednak dowodzący carską armią książę Aleksander Bariatyński nie chce przystać na tę prośbę. Odpowiada, że jeśli przywódca górali nie wyjdzie z twierdzy, każe „wykluć wszystkich bagnetami”. Być może Bariatyński ma w pamięci oblę-

żenie twierdzy w Achulgo, podczas którego Rosjanie już niemal dopadli Szamila, ale ten ratował się ucieczką, spuszczając się z urwiska na linach zrobionych z konskiego włosia.

Szamil nie ma wyjścia, jeśli chce ocalić swoją głowę i pozostających przy życiu poddanych. Z twierdzy wychodzi dwóch górali, trzymając za cugle konia, na którym siedzi postrach Rosji. Za Szamilem podąża dziesięciu miurydów.

Książę Bariatyński, cierpiący na ból nogi, siedzi w cieniu drzew na kamieniu. Wbrew sugestiom oficerów pozwala,



by Szamil podszedł do niego uzbrojony w kindżał. Wie, że rozbrojenie wojownika byłoby odebrane jako pozbawienie go czci. Później Szamil powie, że był gotów popełnić samobójstwo, gdyby próbowano odebrać mu broń.

Kamień w Gunibie

Podczas krótkiej rozmowy z rosyjskim księciem militarny i duchowy przywódca czeczeńskich oraz dagestańskich górali dowiaduje się, że zostanie przetransportowany do Petersburga. Prosi, aby nie wywożono go z „kochanych gór”, ale książę jest nieugięty. O losie Szamila ma zdecydować car. Bariatyński obiecuje jednak, że do pojmanego dołączy rodzina i że Szamil zachowa swój majątek.

Kolumna eskortująca imama rusza, ale po jakimś czasie zatrzymuje się na jego prośbę. Szamil schodzi z konia, klęka i po raz ostatni modli się w swojej ojczyźnie. Nawet Rosjanie zdają sobie sprawę z podniosłości chwili i stoją w ciszy.

W ten sposób zostaje złamany opór, o którym anonimowy felietonista „Gazety Poznańskiej” w 1859 r. pisał, że wojna na Kaukazie była „tak rycerska i pełna indywidualnych czynów, iż przy nich monotonne kampanie regularnych armii na równinach Europy wyglądają jak rysunek topograficzny przy pejzażu”.

Choć minęło ponad półtora stulecia, legenda trwa. Dziś w Czeczenii czy Dagestanie trudno znaleźć kogoś, kto nie wiedziałby, kim był imama Szamil.

Jednak fizycznych pamiątek w przetrześci pozostało po nim niewiele. W czeczeńskim Wiedeno muszę się sporo naszukać, żeby zobaczyć resztki fortyfikacji, pozostałych po jednej z jego twierdz. Mieszkańcy nie bez żalu tłumaczą, że w trakcie poszerzenia głównej ulicy aułu nie zwracano uwagi na pozostałości twierdzy, tylko beceremonialnie je burzono.

Z kolei w dagestańskim Gunibie, gdzie imam złożył broń, wijąca się od centrum droga wspina się na szczyt górujący nad aułem. Maszerując nią, zauważam podobiznę imama wymalowaną na skale. Na samym wierzchołku są jeszcze fragmenty muru twierdzy, w której bronił się tak ciekawie.

Na końcu drogi, w gęstniejącym lesie, gdzie zabudowa Gunibu rzadnie, docieram do miejsca, w którym książę Bariatyński przyjął kapitulację imama. Zachował się nawet ów słynny kamień, na którym siedział rosyjski dowódca. Teraz jest osłonięty pamiątkową budowlą.

Z aułu w świat

Szamil, z pochodzenia Awar (Awarowie, lud koczowniczy, półtora tysiąca lat temu byli postrachem Bizancjum), urodził się 26 czerwca 1797 r. w aule Gimry, dziś położonym na terenie Dagestanu (był więc o półtora roku starszy od innego przywódcy narodowego tamtej epoki, tyle że duchowego i z innego zakątka świata – Adama Mickiewicza).

Rodzice nadali mu imię po dziadku: Ali. Ale chłopiec dużo chorował, więc zgodnie z powszechnym przekonaniem górali, iż zmiana imienia go uzdrowi, zalecono, aby podrostek przybrał imię Szamil.

Już w dzieciństwie zdradzał cechy, które miały go później wyróżniać. Gdy wyszedł z chorób, zmężniał. Niezwykle silny i ruchliwy, lubił gimnastykę, biegi, interesował się fechtunkiem. Nie rozstawał się ze swoim kindżałem i szaszką. Bez względu na porę roku chodził boso i z odkrytą pierśią.

O jego rozwój intelektualny i duchowy dbał szejch Dżamaluddin Kazikumuchski, ucząc go logiki, retoryki, filozofii, prawa, a także gramatyki języka awarskiego i arabskiego. Mistrz i uczeń spędzali dużo czasu na studiowaniu Koranu, którego treść pochłoneła młodego górala.

Szamil z przykrością patrzył na zamiłowania ojca do alkoholu i często czytał mu słowa Proroka, które zakazywały spoży-

wania wysokoprocentowych trunków. Pewnego razu pijany rodzic szedł przez auł przy głośnym rechocie natrząsających się z niego sąsiadów. Dzień później upokorzony syn stanął przed ojcem, stawiając mu ultimatum: jeśli nie przestanie pić, młodzieniec odbierze sobie życie. Groźba poskutkowała.

Po ukończeniu nauk Szamil wyruszył w podróż po Dagestanie. Odwiedzał innych ulemów, wsłuchiwał się w ich interpretację Koranu. Podróż okazała się podwójnie korzystna: nie tylko poszerzył wiedzę, lecz dał się poznać ludności, której w przyszłości miał przewodzić.

Rosja sięga po Kaukaz

W 1832 r., gdy Szamil ma 35 lat, carska Rosja już od pewnego czasu próbuje złamać opór narodów Kaukazu. Jej kolonialne zainteresowanie tym terenem sięga XVII w., ale przybiera na sile na początku XVIII w. Od 1711 r. wzdłuż Tereku zaczynają wyraść pierwsze stacje kozackie, tworzące początek tzw. linii kaukaskiej, która ma chronić południowe rubieże Rosji.

W 1722 r. car Piotr I wyrusza z ekspedycją brzegiem Morza Kaspijskiego, demonstrując zainteresowanie regionem. Jednak za panowania tego władcy linia zdobyczy carskich nie przesuwają się, a caryca Katarzyna II zadowala się zajęciem Kabardii i Osetii, nie decydując się na podbój Czeczenii.

Między kilkusetmilionowym narodem a Rosją zaczyna się szarpana wojna. Wojska carskie nie atakują Czeczenii, a górale ograniczają się do niewielkich najazdów. Widmo otwartej wojny wisi w powietrzu – wcześniej czy później Rosja będzie chciała zająć Kaukaz i Kaukaz Południowy (w Petersburgu zwany Zakaukaziem), otwierając sobie drogę na Bliski Wschód.

Sytuacja w regionie nabiera dynamiki, gdy na czele Czeczenów staje Mansur: sufi, który namawia ludzi do wyznawania mistycznego islamu w najczystszej postaci. Po raz pierwszy w Czeczenii pojawia się ktoś, kogo autorytet wykracza poza rodzimy tejj, czyli klan. Mansur nie nawołuje wprost do walki z Rosją, ale ta postanawia go zgładzić. Wódz dostaje się →

Fragmenty murów obronnych twierdzy w Gunibie, wiosna 2018 r.



→ do rosyjskiej niewoli i umiera w 1794 r. w twierdzy szlisselburskiej. Przeciera jednak szlak dla trzech kolejnych duchowych przywódców regionu, którzy będą nosić tytuł imama.

I tak, w latach 1828-32 na czele kaukaskiego ruchu oporu staje pierwszy z nich: Gazi Muhammad, który ginie w walce z Rosjanami w Gimry. Do samego końca jest przy jego boku młody Szamil. Zostaje ciężko ranny i tylko pomoc jednego z mieszkańców, który odnajduje podziurawionego kulami górala, ratuje życie przyszłego bohatera Kaukazu. Nim jednak zostanie duchowym i wojskowym przywódcą, przez dwa lata funkcję imama będzie piastował Gamzat-bek (1832-34).

Szamil terminował przy boku obu imamów i cieszył się ich zaufaniem. Dlatego po śmierci Gamzat-beka wydawał się naturalnym kandydatem do objęcia władzy nad góralami. Wspaniały wojownik, wykształcony asceta, bogobojny...

Jednak na zjeździe wyborczym Szamil nie chce przyjąć władzy. Twierdzi, że proces scalania ziem, którym ma przewodzić, jeszcze się nie skończył („Każde plemię, a często i gmina osobnym polem chodzi”). Dopiero pod naciskiem górali, którzy składają mu przysięgę wierności, decyduje się stanąć na ich czele.

Wkrótce, od 1837 r., do Imamatu Kaukaskiego w całości dołącza Czeczenia.

Armia, podatki, poczta

Państwo rządzone przez krewkiego Awara stanowiło byt niemal doskonały.

Po objęciu władzy Szamil skupił się na organizacji armii, która pełną gotowość osiąga ok. 1840 r. W szczyście swej potęgi wojsko Szamila liczy 40 tys. piechoty, 6 tys. jazdy i 500 artylerzystów – choć artyleria powstaje dopiero po 1842 r., gdy imam przejmuje ok. 40 rosyjskich dział. Fabrykowane przez górali własnoręcznie armaty – z napisami „Bóg wzmoże i wznie sie swą chwałę” z jednej strony, a z drugiej „Szamil” – nie wytrzymały prób.

Szarze w góralskim wojsku przyznawano wedle kryterium odwagi. Bohaterskich wojowników nagradzano orderami, a tchórzę piętnowano, mocując im na plecach miedzianą tabliczkę hańby lub obszywano prawy rękaw wojłokiem. „Ozdobę” usuwano, jeśli tchórz się zrehabilitował.

Początkowo armia opierała się na pospolitym ruszeniu. Na 10 rodzin delegowano jednego górala, a obowiązek uprawy jego

Aura, która otaczała imama,
i sposób jego życia bardziej
działały na społeczeństwo
niż wszelkie
motywujące wystąpienia.
Zresztą Szamil umiejętnie
kreował swój wizerunek.

ziemi spadał na pozostałych dziewięć rodzin. Aby utrzymać administrację i wojsko, wprowadzono podatek gruntowy. Zobowiązano też górali do dziesięciny.

Ziemie imamatu podzielono na cztery obwody pod dowództwem głównych naibów. Obwody dzieliły się na mniejsze regiony, na czele których stali naibowie niżsi rangą. Najmniejszą jednostką terytorialną były gminy, zarządzane przez mułłów.

Aby ułatwić zarządzanie rozległymi górskimi terenami, Szamil powołał pocztę. Na posłańca w każdej wsi czekał gotowy koń i przewodnik; podczas służby listonosz otrzymywał nocleg i wyżywienie.

Asceta z autorytetem

W nowym państwie rozwinął się miurydyzm, który kładł nacisk na powstanie głębokiej zależności między mentorem a uczniem. Idea ta nie stała w sprzeczności z mistycznym, sufickim rozumieniem islamu. Przeciwnie, była myślą silnie cementującą nową strukturę społeczną.

Na terenie imamatu wprowadzono prawo szariat, które wyparło lokalne adaty – zwłaszcza prawo do zemsty, wyjątkowo hołubione na Kaukazie (wendetty potrafiły ciągnąć się latami, wykrwawiając całe rody). Władzę sądowniczą stanowili kadiowie, ale wydane przez nich wyroki śmierci zatwierdzali główni naibowie. Funkcjonowały dwie formy takiej kary: kara poczesna (gdy skazańcowi siedzącemu w pozycji modlącej, z odwinieciem kołnierza na szyi, ścinano głowę mieczem) i kara hańbiąca (głowę skazanego odrabiano toporem).

Szamil zamierzał uruchomić własną mennicę. Odrzucił jednak ten pomysł, bo uznał, że młode państwo może zostać zalane fałszywymi monetami. Dlatego skonfiskował sprzęt do ich wyrobu i pozamykał warsztaty. Od tej chwili fałszerstwo miało być karane śmiercią.

Ze skarbu imama pieniądze przeznaczano na nagrody wojskowe czy wsparcie rodzin, które utraciły jedynek żywciele. Wspomagano tych, którym Rosjanie zniszczyli majątki. W skarbcu znalazły się też fundusze na kształcenie młodzieży wyjeżdżającej na naukę do Stambułu.

Przez cały okres istnienia Imamatu Kaukaskiego Szamil umiejętnie podsyczał w ludziach chęć walki, zapewniając ich, że wolność odbierana im przez Rosjan jest najważniejszą godnością w ich życiu. Obrzydzał góralom bogactwo, sam ubierał się niewyszukanie, w lokalną odzież. Skromnie się odżywał: rano jadł chleb, popijając go herbatą lub mlekiem; w ciągu dnia spożywał z chlebem ryż lub miód i owoce. Posiłał się zawsze sam, a jedzenie podawały mu żony.

Aura, która otaczała imama, i sposób jego życia bardziej działały na społeczeństwo niż wszelkie motywujące wystąpienia. Zresztą Szamil umiejętnie kreował swój wizerunek. Zapisywał rozkazy na pergaminie (jak prorok Mahomet), choć w Dagestanie nie brakowało papieru. Przed podjęciem ważnych decyzji uciekał w mistykę, szukając kontaktu z Najwyższym lub Prorokiem. Pościł i spędzał czas w odosobnieniu.

Wcześniej, zanim został imamem, głosił swoje rozumienie islamu w rodzinnych Gimrach. Wtedy mieszkańcy niechętnie przyjmowali jego nauki, więc zarzucił im brak wiary w jego posłannictwo. Gdy go wygnali, porównał swoje wychodźstwo do ucieczki Proroka z Mekki do Medyny.

Brutalnie i metodycznie

W 1836 r. Rosjanie, zaniepokojeni rosnącą siłą Szamila, intensyfikują działania wojenne. W 1839 r. zdobywają twierdzę Achulgo za cenę wielkich strat. To właśnie tutaj, na niemal 16 lat, Szamil traci swego syna Dżelaledina. Oddaje go Rosjanom jako zakładnika i gwaranta rozmów, ale ci oszukują górala i porywają chłopca. Imam odzyskuje syna dopiero w 1855 r. – wymienia go na porwane w brawurowym najeździe gruzińskie księżne Czawczawadze i Orbeliani.

W 1843 r. Szamil odbija część Dagestanu i zmienia taktykę. Przestaje bronić się w umocnionych aulach i działa jak partyzant, atakując Rosjan, gdy się tego nie spodziewają. W 1845 r. teokratyczno-militarne państwo osiąga apogeum swoich możliwości, podporządkowując swoje ist-

nienie dwóm celom: walce z Rosją i krzewieniu islamu.

W tym samym roku carskim namiestnikiem Kaukazu zostaje książę Michał Woroncowa. Modyfikuje taktykę: rezygnuje z kosztownych i wykrwawiających armię ekspedycji w głąb terytoriów górali, stawiając na powolne wyniszczanie ludności i terenów imamatu. Wojska carskie palą aulę, równają wszystko z ziemią, kradną bydło i plony, a nawet wycinają lasy. Armia Woroncowa posuwa się powoli, lecz metodycznie. Jest niezwykle brutalna, nie oszczędza nikogo. Głównodowodzący wie, że aby zwyciężyć, najpierw trzeba złamać opór w Czeczenii, która uchodzi za spichlerz państwa. Lata 1846-53 to zatem powolne zajmowanie Czeczenii i umiejętne nastawianie przeciw Szamilowi jej ludności, która czuła się w imamacie zmarginalizowana.

Tymczasem, po kilkunastu latach ciągłych walk, Szamil zaczyna zachowywać się jak dyktator. Nie uznaje racji innych, nie pozwala, by w jego otoczeniu wyrósł jego zastępca, którego świeże spojrzenie mogłoby zmobilizować umęczone społeczeństwo. Klęski potęgują frustrację ludności. Współpracownicy dopuszczają się zdrad, przepuszczając przez Czeczenię wojska Woroncowa. Tereny imamatu topnieją, przy boku Szamila tworzy się cicha opozycja.

W kwietniu 1859 r. pada czeczeńskie Wiedeno, przedostatni bastion. Szamil – bohater świata islamskiego, za którego zdrowie modlił się emir Buchary, a władca Egiptu przysłał na Kaukaz poselstwo z darami – zostaje niemal sam. Wycofuje się do Gunibu, gdzie na szczycie góry okopie się w twierdzy – tej, pod którą podda się księciu Bariatyńskiemu.



Imam Szamil, rysunek z ok. 1860 r.

Pięć lat po kapitulacji Szamila zgaśnie ostatnie ognisko oporu na północno-wschodnim Kaukazie. Długoletnia wojna zostanie zakończona zwycięstwem Rosji.

Zesłany

Wróćmy do Gunibu, do sierpnia 1859 r.

Przed kolumną eskortującą więźnia ponad 2 tys. kilometrów drogi do Petersburga. Smutny korowód tworzą dwa szwadrony dragonów, batalion piechoty i dwie sotnie milicji dagestańskich.

Przy leśnych traktach zbierają się mieszkańcy aulów. Kobiety zawodzą, mężczyźni rzucają się w kierunku Szamila, całując skraj jego odzieży. Ta jest tak zniszczona, że kolumna zatrzymuje się 7 września w Temir-Chan-Szurze, a miejscowi krawcy szykują nowe odzienie dla imama. Do gapiów dołączają rosyjscy żoł-

nierze. Każdy chce zobaczyć wojownika, który przez ćwierć wieku dumnie stawiał czoło Rosji.

W Temir-Chan-Szurze do Szamila dołącza rodzina i 25 jucznych koni z bagażami. Książę Bariatyński dostarcza powozy, by jeniec mógł podróżować z dziećmi i żonami w komfortowych warunkach. Dowódca rosyjski jest słowny. W bagażach znajduje się też ponad 7 tys. rubli.

W Charkowie, podczas dłuższego postoju, Szamil zostaje poprowadzony na bal ku czci cara. Jest zszokowany przepychem i tłumem lekko ubranych kobiet. „Nie będziecie w raju” – wzdycha do siebie. Ktoś z towarzyszących słyszy te słowa i pyta: „Dlaczego?”. „Bo robicie sobie raj na ziemi” – odpowiada góról.

Wreszcie dumny Awar dociera przed oblicze cara Aleksandra II. Ten decyduje, aby zesłać go wraz z rodziną do Kaługi i przeznaczyć na jego utrzymanie 12 tys. rubli rocznie.

Imam przybywa na miejsce zesłania 23 października 1859 r. Osiada w trzypiętrowym budynku z wozownią, stajniami i ogrodem, który odtąd będzie jego domem. Z trudem asymiluje się w nowym otoczeniu, ale niewola nie jest ciężka. Siedem lat później bawi nawet z dwiema żonami na ślubie córki cara, który zezwala mu na pielgrzymkę do Mekki.

Na Kaukaz już nie wróci: podczas tej podróży umiera, 4 lutego 1871 r. Zostaje pogrzebany w Medynie – na ziemi świętej dla muzułmanina, ale dla kaukaskiego górala jednak obcej. © KAROL FRYTA

Autor (ur. 1978) jest dziennikarzem i podróżnikiem, specjalizuje się w tematyce obszaru posowieckiego, a zwłaszcza Kaukazu i Azji Środkowej.

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

poświęcony Festiwalowi Stolica Języka Polskiego Szczeczeszyn 2018

a w nim między innymi rozmowę z Piotrem Matywieckim o skamandrytach – patronach tegorocznej edycji, przedpremierowy fragment nowej powieści Wiesława Myślińskiego, a także prezentację wybranych gości.

Serdecznie zapraszamy do lektury oraz do Szczeczeszyna od 5 do 11 sierpnia!



Festiwal
Stolica Języka
Polskiego

znak



Słoniątko z matką w Parku Narodowym Krugera w RPA.

Grupa wpływu

SZYMON OSMOLA

Presja opinii społecznej może skłonić nas do działania wbrew zdrowemu rozsądkowi. A nawet do płacenia podatków na czas.

WYOBRAŹ SOBIE, ŻE DOSTAJESZ DWIE kartki papieru. Na jednej narysowana jest prosta czarna linia, na drugiej zaś trzy linie, z których jedna jest wyraźnie dłuższa, a jedna wyraźnie krótsza od linii z pierwszej kartki. Twoje zadanie polega na wskazaniu, która linia z drugiej kartki odpowiada długością linii z pierwszej kartki. Nic prostszego, prawda?

Jesteś jednak dziesiątą z kolei osobą, która ma rozwiązać to zadanie, a wszyscy przed tobą wskazali na linię, która jest ewidentnie dłuższa od linii z pierwszej kartki. Co zrobisz w takiej sytuacji? Zaufasz swojemu osądowi czy podążysz za opinią większości, wbrew świadectwu własnych zmysłów?

Powyższa historyjka to skróty opis eksperymentu, jaki w latach 50. ubiegłego

wieku przeprowadził, wraz ze współpracownikami, Solomon Asch – amerykański psycholog polskiego pochodzenia, jeden z pionierów psychologii społecznej. W serii jego eksperymentów osoby badane miały podjąć pewną decyzję (np. wskazać linie równej długości) albo samodzielnie, albo po tym, jak poznały (błędne!) decyzje pozostałych uczestników eksperymentu, będących w rzeczywistości współpracownikami Ascha. O ile w pierwszej sytuacji badani udzielali prawidłowych odpowiedzi w 99 proc. przypadków, o tyle w drugiej już tylko niewiele ponad 60 proc.

Nadimitacja

Jak pokazują wyniki eksperymentów Ascha, potwierdzone później przez wielu innych psychologów, przy podejmowa-

niu rozmaitych decyzji bardzo często kierujemy się opinią grupy, a nie własnym osądem. Zjawisko to nosi w psychologii miano konformizmu informacyjnego. Jako ludzie już od najmłodszych lat przejawiamy silną skłonność do podążania za dominującymi opiniami. Kilka lat temu Daniel Haun i Michael Tomasello wykazali, że zachowania konformistyczne występują już u czteroletnich dzieci, które postawili przed zadaniem analogicznym do tego z oryginalnego eksperymentu Ascha – miały odpowiedzieć na pytanie, który z dwóch pokazanych im słoni jest większy. I zupełnie tak jak w przypadku dorosłych opinie dzieci były silnie uwarunkowane opiniami wyrażanymi przez pozostałych członków grupy, choćby te drugie były w oczywisty sposób błędne. Haun i Tomasello zjawisko to nazywają – obok konformizmu – nadimitacją (ang. *overimitation*).

Podążanie za opinią grupy, choćby bezrefleksyjne, często ma oczywiście swoje uzasadnienie. Jeżeli nie mamy w danej sprawie informacji wystarczających do podjęcia w pełni świadomej decyzji (a przeważnie tak jest), o wiele wygodniej jest dostosować się do stanowiska zajmowanego przez większość. W przeważającej liczbie przypadków tego typu zachowanie

proceedzi do zadowalających rezultatów, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nie da się szczegółowo rozważyć każdego stojącego przed nami problemu.

Wielu uczestników eksperymentów Ascha było przekonanych, że pozostali członkowie grupy nie mają racji co do długości linii na kartkach papieru, a mimo to wybierało błędną odpowiedź. Jest to wyraz tzw. konformizmu normatywnego (reputacyjnego) – zjawiska odrębnego, choć związanego z konformizmem informacyjnym. Konformizm normatywny jest wyrazem troski, jaką każdy z nas darzy własną reputację. Żywimy silne pragnienie przynależności do grupy, co sprawia, że często boimy się wyrażać niepopularne w tej grupie opinie z obawy przed odrzuceniem. Zachowania uczestników Ascha w dużym stopniu motywowane były właśnie konformizmem normatywnym – nie chcieli oni wyróżniać się na tle grupy, tylko woleli do niej dostosować. Wielu z nas często zachowuje się podobnie, obawiając się przedstawiać opinie niezgodne z powszechnie panującym przekonaniem, by nie zostać wykluczonym spośród członków naszej grupy.

Reputacja nade wszystko

Zjawisko konformizmu normatywnego nie zostało oczywiście zauważone dopiero przez Ascha. Jak pisał w „Traktacie o naturze ludzkiej” filozof David Hume: „nie ma rzeczy, która by dotyczyła nas i obchodziła bardziej niż nasza dobra sława”. Tę obserwację potwierdza niezliczona liczba przykładów z życia codziennego.

Skutki występowania konformizmu informacyjnego i normatywnego w przypadku eksperymentu Ascha nie są oczywiście zbyt poważne. Nietrudno jednak wyobrazić sobie sytuację, w których zjawiska te mogą mieć znacznie donioślejsze konsekwencje, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich powszechne występowanie. Czy chodzi o wybór najlepszego z kandydatów mającego reprezentować nasze interesy w parlamencie, zainwestowanie pieniędzy na giełdzie, czy wybór najlepszej szkoły dla naszych dzieci – w każdej z tych sytuacji presja określonej grupy społecznej, i żywnionych w jej obrębie przekonania, może sprawić, że podejmiemy decyzję odmienną od tej, jaką podjęlibyśmy samodzielnie. Nawet jeśli wiemy, że preferowana przez grupę decyzja jest pod każdym względem gorsza.

Zjawisko konformizmu informacyjnego i reputacyjnego wydaje się częściowo tłumaczyć również istnienie rozmaitych stereotypów i uprzedzeń. Przykładowo, wśród części społeczeństwa może panować przekonanie, że ludzie o rudym kolorze włosów są fałszywi. Nie musi to być nawet rzeczywiste przekonanie – wystarczy, że sprawia wrażenie powszechnego. W takim przypadku, jeżeli chcemy być częścią grupy żywiącej (lub zdającej się żywić) takie przekonanie, bardzo łatwo możemy ulec temu stereotypowi, nawet kiedy znamy mnóstwo szczerych i lojalnych ludzi o rudym kolorze włosów.

Kto płaci podatki

Badaniem społecznych skutków konformizmu zajmuje się m.in. amerykański prawnik Cass Sunstein. W przetłumaczonej również na język polski książce „Sprzeciw w życiu społeczeństw” podaje wstrząsający przykład skutków, jakie rodzić może konformizm normatywny. W 1961 r. wielu doradców prezydenta Johna F. Kennedy’ego doskonale zdawało sobie sprawę, że inwazja na kontrolowaną przez armię kubańską Zatokę Świń ma nisko szanse powodzenia. Jednak panujący wówczas klimat polityczny oraz determinacja prezydenta i części jego doradców skłoniły malkontentów do przemilczenia swojej opinii, z obawy przed utratą wpływów czy nawet dymisją. Inwazja w Zatoce Świń okazała się wielką porażką, przyniosła śmierć setek ludzi oraz poważne reperkusje na amerykańskiej scenie politycznej, zaś prezydent Kennedy miał później wyrazić ogromny żal wobec doradców, którzy nie odwiedli go na czas od podjęcia fatalnej decyzji.

Sunstein posługuje się w swoich analizach pojęciem kaskady informacyjnej, które charakteryzuje jako stan rzeczy, w którym „ludzie przestają polegać na posiadanych informacjach lub na własnych opiniach. Podejmują natomiast decyzje na podstawie sygnałów wysyłanych przez innych ludzi”. Głównym powodem występowania kaskad informacyjnych jest oczywiście konformizm informacyjny. Poza kaskadami informacyjnymi możemy mieć również do czynienia z kaskadami reputacyjnymi, motywowanymi konformizmem normatywnym. Obie kategorie kaskad nie wykluczają się wzajemnie i bardzo często występują jednocześnie. W książce „#Republic: Divided Democracy in the Age of Social Media” Sun-

stein przestrzega, że rola kaskad, zwłaszcza w epoce globalnej komunikacji, jest w wielu dziedzinach nie do przecenienia.

Kaskady, szczególnie reputacyjne, mogą jednak nieść również pozytywne skutki. Kiedy widzimy, że większość naszych sąsiadów uczciwie płaci podatki, jesteśmy skłonni do regulowania swoich należności względem państwa na czas. Dla przykładu, w amerykańskim stanie Minnesota władze postanowiły przeprowadzić następujący eksperyment. Różnym grupom obywateli dostarczono różnych informacji związanych z płatnościami podatkami. Pierwszej, że przyczyniają się one do realizacji wartościowych dla społeczeństwa celów; druga grupa została poinformowana o karach grożących za niezapłacenie podatków w terminie; trzecia o możliwości uzyskania pomocy w przypadku jakichkolwiek problemów związanych z rozliczeniami podatkowymi; czwarta natomiast o tym, że 90 proc. obywateli stanu Minnesota płaci regularnie podatki. Znaczący wpływ na zachowanie obywateli w zakresie płacenia podatków okazała się mieć jedynie ostatnia z powyższych informacji. Chęć przynależności do grupy płacących podatki na czas okazała się wywierać wpływ większy nawet niż obawa przed karą za niezapłacenie podatków!

Przykład ten pochodzi z innej pozycji autorstwa Sunsteina: „Impuls. Jak podejmować właściwe decyzje dotyczące zdrowia, dobrobytu i szczęścia”. W tej bardzo wpływowej książce Sunstein, razem ze współautorem Richardem Thalerem – ubiegłorocznym noblistą w dziedzinie ekonomii – prezentują czytelnikom doktrynę tzw. libertariańskiego paternalizmu. Za tym pozornie paradoksalnym określeniem kryje się proste przesłanie. Chodzi o to, by zapewnić rządzącym możliwość wpływania na decyzje obywateli – dla ich własnego dobra (paternalizm) – ale bez naruszania ich wolności wyboru (libertarianizm).

Na okładce amerykańskiego wydania „Impulsu” widnieje następujący obrazek: duży słoń delikatnie szturcha małego słonika w celu skłonienia go do wybrania odpowiedniej drogi. W naszych społeczeństwach rolę takiego „szturchania” spełniać mogą kaskady informacyjne i reputacyjne. ©

SZYMON OSMOLA jest filozofem prawa, doktorantem w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji.

KĘDZIORY PANA BOGA

JOANNA GOMUŁKA, MATEMATYCZKA:

Przestałam reagować na te wszystkie rzeczy, które różni ludzie teraz wygadują. Ale cały zgromadzony gniew we mnie jest i mogę go wykorzystać, jakby co.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Co widać z tego miejsca, w którym Pani teraz jest?

JOANNA GOMUŁKA: Widzę za sobą duży zakręt. Pewnie ostatni w moim życiu. Kilka lat temu przeprowadziłam się z Londynu do Konstancina. Myśmy stąd wyjechali w 1969 r. Wróciliśmy po ponad 30 latach.

Marzec 1968 r. zrobił z Pani Żydówkę?

Ostatecznie tak. Przedtem oczywiście zrobiła ją ze mnie okupacja, ale muszę pani powiedzieć, że Marzec był dla mnie, subiektywnie, dużo gorszy. Miałam stosunkowo łatwą okupację, byłam w zakładzie dla sierot prowadzonym przez zakonnice pod Warszawą. Moja matka miała aryjskie papiery, mieszkała w Warszawie i odwiedzała mnie co tydzień. Od czasu do czasu zdarzały się jakieś antysemickie teksty ze strony koleżanek, ale ogólnie rzecz biorąc to było ciepłe, pozytywne doświadczenie. Nasza matka przełożona była absolutnie wspaniała. Po dziś dzień pamiętam jej rozmaite powiedzenia, w uroczystych albo trudnych chwilach przychodziła i mówiła: „Nie martwcie się, Pan Bóg ma więcej, jak rozda”. Piękne, prawda?

Dlaczego Marzec był gorszy od okupacji?

Bo pochodził od swoich. Pamiętam, że krótko przed Marcem rozmawiałam z Antkiem Zambrowskim. On jakiś czas wcześniej ochrzcił się, bo uważał, że nie można być Polakiem, jeżeli się nie jest katolikiem. Składaliśmy razem kwiaty pod pomnikiem Mickiewicza w związku z „Dziadami” i mówię mu: „Ale ja jestem tutaj tak samo rdzenna jak każdy inny. W końcu Żydzi są w Polsce od 800 lat”. Myślałam, że to wystarczy.

Nie wystarczyło. Kiedy Pani wyjechała?

W maju 1969 r. Dopiero wtedy dostaliśmy pozwolenie na wyjazd. Mojego męża po wiecu na uniwersytecie na pięć miesięcy posadzili do więzienia. Musieliśmy poczekać z wyjazdem, aż go wypuszczą. Staszek wtedy był po doktoracie, który robił u profesora Kaleckiego, jedynego dobrego polskiego ekonomisty w tamtym czasie. Miał otwarty przewód habilitacyjny, ale wyrzuciono go z uniwersytetu i nigdzie nie mógł znaleźć pracy.

Tułał się. W końcu poszedł do kogoś z Komitetu Centralnego, a tam powiedziano mu w prostych żołnierskich słowach, jasno i wyraźnie, że pracy jako ekonomista w Polsce nie dostanie.

To była jedna przesłanka do wyjazdu. Staszek miał wtedy 29 lat i talent go rozpierał. Bardzo chciał wyjechać, nie na stałe, ale żeby pobyc w ośrodku, gdzie jest prawdziwa ekonomia. Druga przesłanka była ważniejsza. Moja młodsza córka, Marysia, miała wtedy 14 lat. Była zszokowana tym, co się działo, zalewem kłamstwa i podłości. W efekcie przestała mówić w szkole. Była na granicy psychozy. Musieliśmy ją stąd zabrać. To ostatecznie zdecydowało.

Pamięta Pani dzień wyjazdu?

Oczywiście. Ostatnie dni spędzaliśmy u przyjaciół. Mieszkanie już było zdane, rzeczy spakowane. Zna pani procedurę wyjazdów marcowych, wie pani, jak to było. Przed wyjazdem trzeba było załatwić masę biurokratycznych spraw, zdobyć zaświadczenia od rozmaitych podmiotów, m.in. od miejsca, gdzie się pracowało, że zwróciło się książki i nie ma żadnych zaległości, że się nie jest nikomu nic winnym. Trzeba było zdać opróżnione mieszkanie.

Komu się zdawało to mieszkanie?

Urzędnikowi. Czasu było mało, bo dokument podróży był ważny pięć tygodni od momentu, kiedy się rozpoczynało procedurę. Trzeba było coś zrobić z naszym dobytkiem. Na początku próbowaliśmy sprzedawać, ale przychodzili jacyś obcy ludzie, oglądali, marudzili i moje dzieci się rozpłakały. Pomyśleliśmy, że co komu będzie potrzebne – oddamy, a reszta niech zostanie. Po dziś dzień mamy w domu książki z tamtych czasów, a w nich rękoma córek zapisane numery – trzeba było zrobić spis wszystkiego, co się wywozi, zamówić skrzynię.

Co się w tej skrzyni znalazło?

Pościel, bielizna. Trzy obrazy z okresu międzywojennego, malowane przez przyjaciół rodziców. Zdjęcia.

Jest jedna rzecz, której nie wywiozłam, bo się bałam. Od początku, jak się zaczęła ta antysemicka heca, wycinałam z prasy



rozmaite interesujące teksty. Publikowano je również np. w „Przewodniku wędkarza” albo innych hobbystycznych pismach. Ja to starannie zbierałam, ale bałam się wywozić, bo słyszałam, że potrafili zdjąć ludzi z pociągu. Zostawiłam u kogoś znajomego i przepadło.

Pamięta Pani ostatni dzień, dworzec?

Ostatniego dnia każde z nas nocowało gdzie indziej, bo mieszkanie było już zdane. Ja z dziećmi byłam u jednych przyjaciół, matka była u kogoś innego, mąż jeszcze gdzie indziej.

Ktoś Was odprowadzał?

Prawie się spóźniliśmy. Rysiek, u którego wtedy nocowaliśmy, poszedł po taksówkę dla nas i długo nie wracał. Nagle jego żona mówi: „Mój Boże, przecież on nic nigdy nie potrafi załatwić!”. A to był ten jedyny przypadek w życiu, kiedy naprawdę nie należało się spóźnić na pociąg. Wpadliśmy na peron w ostatniej chwili. Na dworcu był tłum. Wielu przyjaciół. I wie pani, że te przyjaźnie przetrwały? Teraz, kiedy wróciliśmy, bardzo to doceniam.

Proszę opowiedzieć o tym ostatnim zakręcie.

Muszę zacząć opowiadać trochę wcześniej. Był rok 2002. Mąż się zbliżał do emerytury, ja właściwie już byłam na emeryturze; jestem dziewięć lat od niego starsza. Od 1989 r. był

JOANNA GOMUŁKA (ur. 1931) studiowała matematykę na UW, w roku 1969 na skutek antysemickiej nagonki wyjechała z rodziną do Danii, a następnie do Wielkiej Brytanii, gdzie pracowała jako matematyk i informatyk. Przez pierwsze trzy lata była to praca nad optymalizacją numeryczną na Politechnice w Hatfield. Następnie współpracowała z grupą ekonomistów z London School of Economics przy tworzeniu i estymacji matematycznych modeli ekonomicznych. Jest żoną ekonomisty, profesora Stanisława Gomułki.

doradcą kolejnych ministrów finansów w polskim rządzie. Odkąd okazało się, że można, bardzo chciał tu wrócić. Ja powiedziałam, że zostaję w Londynie. „Będę cię odwiedzać – mówię – ale nie wracam tam”. Mąż był w Polsce co drugi tydzień, a co drugi uczył w London School of Economics. A potem zdarzył się w Polsce kryzys w latach 2001-02 i mąż mówi do mnie: „Może byśmy coś kupili, może się rozejrzymy?”. I zobaczył ogłoszenie, że ktoś sprzedaje dom z ogrodem, był podany telefon. W weekend tam pojechaliśmy.

Jaki to był miesiąc?

Koniec lipca 2002 r. Spojrzeliśmy na mapę, pomyśleliśmy, że pojedziemy najpierw metrem, a potem pójdziemy pieszo. Ta droga okazała się dużo dłuższa, niż myśleliśmy, ale to było coś cudownego. Do dziś ją pamiętam. Szło się trochę lasem, potem wzdłuż łąk, kwitła nawłóć. Pogoda była fenomenalna. Jak dotarliśmy na miejsce, to okazało się, że ja się w tym ogrodzie absolutnie zakochałam. Jak nastolatka. Drżały mi kolana, nie mogłam spać, byłam niespokojna, czy umowa dojdzie do skutku. Myślałam sobie jednocześnie: „Idiotko, przewracasz tą decyzją całe swoje londyńskie życie, bardzo satysfakcjonujące przecież. Masz jeszcze pracę, rozmaite projekty na uniwersytecie i co, chcesz to wszystko zostawić?”. A z drugiej strony: „Mój ty Boże, tam można obudzić się i patrzeć na drzewa, na te polskie sosny, ➔

→ takie pomarańczowe. One takie są tylko tutaj...”. Więc kupiliśmy. Ja wtedy nie wróciłam do Polski. Wróciłam do ogrodu. A do Polski wracałam stopniowo.

Już Pani wróciła?

Tak i pamiętam moment, kiedy. To była jedna z pierwszych demonstracji KOD-u. Tam był tłum, z którym mogłam się całkowicie zidentyfikować. Ale przede wszystkim w Polsce poczułam, jak ważny dla mnie jest język. Miałam świetną pracę w Londynie, z ciekawymi ludźmi, w kosmopolitycznym, akademickim środowisku. Po 30 latach mówiłam po angielsku zupełnie swobodnie. I nagle, jak zaczęłam tu przyjeżdżać, zobaczyłam, że tam mam piękne życie, ale na pół gwizdka. Tutaj mogę rozmawiać z ludźmi bez długich wstępów historyczno-filozoficznych. Tu wszyscy mamy jakieś wspólne doświadczenie, zakodowane w języku. I dlatego tutaj mam zupełnie inny kontakt ze światem. Już nie mówię o tych cholernych sosnach i innych jaskółkach.

Wielka zmiana.

Tak. A jej konsekwencje zaczęły ujawniać się stopniowo. Na początku jeszcze trochę pracowałam, ale dość szybko okazało się, że to właściwie jest niemożliwe. Niby można pracować na odległość, ale tak naprawdę to nie można. Trzeba spotykać się z zespołem, przynajmniej od czasu do czasu pogadać. Ale to jest mniej ważne. Ważniejsze było, że ten dom, ten ogród, moi przyjaciele, wypełniali tyle miejsca, że na porządną pracę – bo porządna matematyka zabiera dużo czasu – już nie było miejsca. Więc przesłam na emeryturę. A do tego momentu praca wypełniała mnie i dawała poczucie, że mam prawo być na świecie.

Jak to?

Człowiek powinien być pożyteczny dla innych, dla świata. W każdym razie mnie to zawsze karmiło i trzymało w pionie. Jednocześnie matematyka była największą radością i tym, co najważniejsze. Czasami – wstyd powiedzieć, ale tak bywało – ważniejszą niż moje dzieci. W ogóle łaska boska, że ja mam w tej chwili ze swoimi dorosłymi dziećmi bardzo dobre relacje, okazuje się, że coś im jednak dałam.

I jak Pani zostawiła pracę, to co się pojawiło?

Smutno mi było. Może nawet miałam depresję – nie wiem. To było duże wewnętrzne zamieszanie, niepewność. Zabrakło czegoś, co było zasadnicze dla mojej tożsamości. To wszystko działo się stosunkowo niedawno, dziesięć lat temu. Miałam wtedy 76 lat. Wie pani, kto mi wtedy pomógł? Franciszkanin Richard Rohr. Ale grunt do tego przygotował Jung. Znacznie wcześniej.

Jak Jung to zrobił?

Powiedział mi, jeszcze w Londynie, że równie ważne jak życie intelektualne jest nasze życie duchowe. Trafiłam wtedy nie tylko na Junga, ale przede wszystkim na fantastyczne „Maski Boga” Josepha Campbella i pisma o religii żydowskiej.

Miała Pani przedtem kontakt z judaizmem?

Nie. Mój dom był świecki i zasymilowany. Nie znam jidysz, ale za to świetnie znam Żeromskiego, którego moi rodzice wiel-



RYSZARD WÓJCİK / ARCHIWUM JOANNY GOMUŁKI

Joanna i Stanisław Gomułkowie kilka dni przed wyjazdem z Polski.
Warszawa, Stare Miasto, maj 1969 r.

bili. W jakimś momencie, jeszcze przed wojną, zapragnęłam być katoliczką. W drugiej klasie szkoły powszechnej w Łodzi religii uczyła mnie siostra Urszula Ledóchowska. Była wspaniałą nauczycielką i kimś, kto mnie bardzo przyciągał do religii, w taki ujmujący sposób. Można było przyjść na jej lekcje albo nie. Ale jak się przychodziło, to wciągała do udziału. Kiedy poszłam w czasie wojny do siostr, to nie miałam żadnych problemów religijnych. Znałam wszystkie modlitwy, a przede wszystkim byłam ochrzczona.

Dosyć szybko po wojnie przestałam chcieć być katoliczką, bo wstąpiłam do Związku Walki Młodych. Od tego czasu przez jakiś czas rodzajem religii był dla mnie marksizm. On ma wiele cech religijnych, ale ta religia skończyła się dla mnie wraz z referatem Chruszczowa, a z partii mnie wyrzucono w 1964 r. za Kuronia i Modzelewskiego. To u nas w domu powstawał ich „List do partii”, razem knuliśmy.

I jak dalej się rozwijało Pani życie duchowe?

Wspominałam, że w trakcie tej mojej lekkiej depresji pomógł mi Rohr. Przeczytałam wtedy jego książkę „Spadać w górę”. To jest o tym, jakie ma się rzeczy do zrobienia w starości, poza codziennym krzątaniem się i czekaniem, aż to wszystko się skończy.

Jakie ma się rzeczy do zrobienia?

Starość to jest czas poszukiwania sensu. Wśród moich przyjaciół jest wielu katolików i dzięki nim byłam np. na rekolekcjach w Laskach, gdzie ksiądz Gałka mówił o jawnogrzesznicy, którą ludzie chcieli ukamienować. Opowiadał o tej historii zupełnie jak jakiś jungowski psychoanalityk. Wcielał się po kolei we wszystkie postacie dramatu – i jawnogrzesznicę, i tych, którzy chcieli ją ukamienować. I mówił: „we mnie jest cząstka każdego z nich”. Piękne były te rekolekcje. Byłam też w Tyńcu. Wszędzie tam jeździłam z pełną świadomością, że nie jestem katoliczką. A potem przypadkiem nawiązałam kontakt z księdzem Lemańskim i w grupie jego przyjaciół spotkałam kwakierkę.

Ona Panią zainspirowała?

Zaprowadziła na spotkanie grupy kwaków i tam jeden z jej członków opowiadał, czym jest kwakierstwo. A potem było dziesięć minut milczenia, takie kwakierskie nabożeństwo. I ja wtedy poczułam, że to jest ten dół, do którego pasuję. On ma dokładnie mój kształt! To było prawie rok temu, od tego czasu to poczucie tylko się wzmacnia.

Po czym Pani poznała, że to jest właściwy dół?

Kwakrzy nie mają żadnego wyznania wiary, żadnej teologii, żadnych przekonań ustalonych. Ich podstawowym, założycielskim mitem jest wiara w to, że każdy człowiek ma w sobie światło, które pozwala mu rozróżnić dobro od zła. Każdy! Złodziej, morderca. Poza tym wszyscy ludzie są równi, nie ma mowy o żadnej hierarchii.

A siła wyższa?

Nikogo nie pytamy, w co wierzy, jak sobie wyobraża stworzenie świata i czy uważa, że jest Bóg.

Albo co jest po śmierci.

To, co nas wiąże, to są wartości. To, co cenimy i co uważamy za „dobre życie”. A co dla mnie jest najbardziej fascynujące, to że przy tak indywidualistycznym podejściu kwakrzy są bardzo wspólnotowi.

Co buduje tę wspólnotę?

Nie wiem. Może budujące jest to, że wspólnie dochodzimy do odpowiedzi na pytanie, jak dobrze żyć? Wie pani, mam hipotezę roboczą, że zjawiska duchowe są równie obiektywne jak materialne, przecież wspólna część wszystkich wielkich religii jest ogromna.

Jak konkretnie wyglądają wasze spotkania?

Czasami ktoś czyta na początku poruszający go tekst, krótki. Jeżeli chodzi o zjawiska duchowe, to jesteśmy wszystkożerni.

Czasem ktoś mówi, że trzeba pomyśleć o kimś, kto jest chory albo kto ma kłopoty. Więc myślimy o nim. Potem wspólnie przez godzinę milczymy, siedząc w kręgu. Jedynym rytuałem jest zapalona na środku świeca. To taki nasz zwyczaj, nie musi go być. Po tej godzinie chwilę stoimy w kole, trzymając się za ręce. A potem idziemy do kuchni. Parzymy kawę, herbatę, coś pogryzamy i rozmawiamy. Na najróżniejsze tematy. Ktoś ma jakieś trudności, ktoś coś ciekawego przeczytał, ktoś coś zobaczył w kinie, ktoś widział ciekawy sklep, wszystko. Efekt jest taki, że coraz bardziej lubimy te spotkania, coraz bardziej do nich tęsknimy.

Czym się różni taka grupowa medytacja od indywidualnej?

Tego nie można dobrze przekazać słowami. Siedzimy, milczymy, a celem tego milczenia jest oczyszczenie i uspokojenie myśli. Koncentracja. Ciekawie podejmujemy decyzje – ktoś, kto czuje, że chce coś powiedzieć, wypowiada swoje przekonanie na ten temat, a potem znowu milczymy. Potem mówi ktoś inny, ale nie odnosi się do tego, co było powiedziane. Mówi, co

Najbardziej ekologiczną
formą pozbywania się ciała
po śmierci jest zostawienie
go w lesie, żeby zwierzęta
miały z niego korzyść.
Mnie by się to podobało.

uważa, nie dyskutuje, nie polemizuje. I decyzja zostaje podjęta w momencie, kiedy wszyscy uważają, że mogą z nią żyć. Nie muszą wszyscy uważać, że to jest najlepsze, ale mogą się na to zgodzić. To może zabrać dwa tygodnie, a może pięć lat. Może być też, że jak nie dojdziemy do zgody, to nie podejmujemy decyzji. Nie ma głosowania, musimy być jednomyślni. W kwakierstwie bardzo silna jest tradycja aktywności społecznej. Na przykład amerykańscy kwakrzy byli zaangażowani w zniesie-

nie niewolnictwa, bo uważali, że ludzie są równi.

Co kwakierstwo wniosło w Pani życie?

Przeżywanie życia jako ciągu zmiennych momentów. W każdej chwili staram się być tam, gdzie jestem w tym momencie. I z tego miejsca próbuję się zorientować, jaki ma być następny krok. Oczywiście pewne rzeczy trzeba planować, na przykład, że jutro trzeba iść po zakupy. Ale nie zanurzać się w tym, nie analizować: a może tak lepiej, a może tak. Poczekaj. Przyjdzie ten moment wyboru, to zdecydujesz. Zawsze uważałam, że jestem introwertyczna, a tu, w grupie, nie mam żadnych oporów, żeby rozmawiać o wszystkim. Czuję się bezpiecznie, czuję się akceptowana. Wiem, że nie będę oceniana. Jak ktoś powie do mnie: „Idiotko, jak ty mogłaś coś takiego zrobić?”, to ja to przyjmuję pozytywnie, rzeczywiście zrobiłam idiotyzm.

Ilu jest kwaków w Polsce?

Nie wiem. Zwłaszcza że samo pojęcie, kto jest, a kto nie jest kwakrem, bywa płynne. Na ogólnopolskim zjeździe było nas trzydziścioro. Wtedy zrozumiałam, jaka jest różnica między zgromadzeniem a spotkaniem. Myśmy nie mogli się sobą cieszyć.

→

*Joanna i Stanisław Gomułkowie z synem Michałem, za nimi
przyjaciele: Barbara i Andrzej Kielbasińscy.
Wiosna 1980 r. – pierwszy raz w Polsce po wyjeździe.*



ARCHIWUM RODZINNE

→ A o starość mogę zapytać?

No cóż. Starość to starość.

Jak to jest mieć 86 lat?

Wiążą się z tym stanem rozmaite uczucia. Mam coraz mniej energii, coraz mniej rzeczy mieści się w dniu, wszystko zwalnia. Są zmiany skokowe, pewne rzeczy są człowiekowi odbierane na dobre. Ja się uczę żyć z tym, co jest możliwe w mojej sytuacji. Nie biegam z byle czym do lekarza, przyglądam się sobie, analizuję. Jeżeli zdecyduje się iść do lekarza, będę miała ciekawy materiał do rozmowy.

Pani ma jednak umysł ścisły.

Ale ja się wcale nie wyrzekam ścisłości. Przeciwnie, uważam, że w medytacje, w życie duchowe trzeba wejść z całym swoim bagażem, ze wszystkim tym, kim się jest. Jesteśmy całością razem z naszym umysłem. Ponieważ w tej chwili na topie są te sprawy, przeczytałam jeszcze raz „Tematy żydowskie” Stanisława Vincenza. Tam jest bajka chasydzka „Powrót Samaela”, czyli diabła. Streszczę ją pani.

Pewnego dnia Samaelowi znudziło się kuszenie ludzi, sprzeciwianie się Bogu, chciał być trochę sam i poszedł sobie gdzieś. Od tej chwili chasydzi spędzali całe dnie na modlitwie i rozmyśleniach. Panu Bogu zrobiło się strasznie nudno, kędziory na jego głowie zszarzały, bo chasydzi nawet nie myśleli o tym, żeby mieć dzieci, widać było, że jego dzieło, czyli człowiek, podupada. Ale pewnego dnia Samael zatęsknił i wrócił. Chasydzi siedzą, modlą się, a on im wyczarował dziewczynkę – śliczną, całkiem nagą, tylko z płaszczem złotych włosów. Chasydzi ją pytają, czy jesteś aniołem? Nie, nie jestem aniołem, jestem takim sobie przypadkowym zawirowaniem. Niemniej coraz więcej oczu odwraca się w jej kierunku, coraz bliżej do niej, ona zaczyna biec. I biegnie ta dziewczynka, płaszcz złotych włosów czasem się rozchyła, czasem się zamyka, a ona biegnie leciutko, nie uginając traw niemal, a za nią cały tłum pobożnych. I kędziory Pana Bogu znowu stały się złociste i roześmiały się z całego serca. Mamy być ludźmi, całym ludźmi. Ze wszystkim tym, czym jesteśmy.

Jak sobie radzić z tym, co tracimy na starość?

Zawsze tak samo. Robię, co mogę, najlepiej, jak mogę. Staram się dbać o siebie, ćwiczyć, zachowywać w miarę rozsądnie. Nie zawsze się da. Trzeba na to zwracać uwagę i tyle. Jak zaczęliśmy mieć teraz powtórkę roku 1968, to we mnie się odezwały rozmaite przeżycia. Mówiłam już pani, że cała ta historia, to odmaśnianie mi mojej tożsamości, to był najgorszy moment mojego życia. Jedyny okres, którego wolałabym, żeby nigdy nie było.

Wróciły dawne uczucia.

Nie do końca miałam świadomość, jak bardzo mnie to dotknęło. Ostatnio miałam sen, rzadko pamiętam sny. Był banalny: zgubiłam torbę podróżną z rzeczami, chciałam ją znaleźć. Chodziłam na dworce i szukałam w stosach toreb. I miałam świadomość, że jej nigdy nie znajdę. Najpierw były ładne torby, potem takie sobie, potem śmieciowe... W końcu się obudziłam. Nie potrzebowałam żadnej wykładni, żadnych skojarzeń, po prostu ogarnęła mnie taka wściekłość, taki elementarny gniew na to, co się dzieje, że mogłam nogami tupać.

A potem przyszło dziwne uczucie – przestałam reagować emocjonalnie na te wszystkie rzeczy, które różni ludzi teraz

wygadują. Cały ten zgromadzony gniew jest i mogę go wykorzystać, jakby co. Jest dosyć ciężki, więc mnie stabilizuje, dzięki niemu mocniej stoję na nogach.

Można go użyć, jakby co?

O tak, można! Na razie nie mam specjalnych okazji, ale jakby co, to jest pod ręką.

A co jest w życiu warte starania?

Żeby w miarę możliwości dać dzieciom bezpieczne dzieciństwo. Nakarmić je i dać im schronienie. Nie zawsze tak uważałam, ale dzisiaj wiem na pewno.

A miłość?

To jest coś, czego prawie mogę dotknąć, ale właściwie czym to jest, to nie wiem.

Trudno zamienić na słowa?

Nie można. Wielu istotnych rzeczy nie można zamienić na słowa. Ostatnio myślałam sobie o mojej długiej drodze i pomyślałam, że w gruncie rzeczy to jest prawie prosta linia. Mój profesor fizyki, który nas uczył na pierwszym roku, mówił tak: „Jeśli doświadczenie mówi inaczej, no cóż, doświadczenie ma zawsze rację”.

A nie poglądy.

Nie. Zresztą do tego, że poglądy to jest rzecz mało ważna, doszłam już bardzo dawno. Takie było moje okupacyjne doświadczenie. To, czy człowiek pomógł Żydowi, czy nie pomógł, nie zależało od jego poglądów. Nie zależało również od jego narodowości. Moja matka mówiła: „Wszyscy jesteśmy tacy sami: Niemcy, Polacy i Żydzi”. Takie było jej doświadczenie. Jesteśmy wszyscy tacy sami. W czasie okupacji prawie w tym samym momencie ten sam człowiek jednego ratuje, a drugiego wysyła na śmierć.

Myśli Pani o śmierci?

Oczywiście, że tak. Od dawna. Na ogół nie czuję lęku, ale nie zakładałam, że pewnego dnia on nie przyjdzie. Wiem, jak trudno jest żyć dobrze, jeśli człowiek zachoruje, jeśli cierpi. Boję się bólu. Nie tak, żeby mi to życie zatrzymało, ale jednak.

Jak myślę o tym końcu, który, zakładałam, jest końcem ostatecznym, bo nie robię sobie nadziei na życie po życiu, to myślę, że trzeba się starać przed tym końcem jak najwięcej ze swojego życia rozdać innym. Rozdać swoje doświadczenia, to, co się myśli. Nawet jak już mnie nie będzie, to właśnie po mnie zostanie. Przecież we mnie żyją moi przyjaciele, których już nie ma. W dalszym ciągu są dla mnie ważni. Chciałabym siebie rozdać nawet fizycznie.

Wie pani, najbardziej ekologiczną formą pozbywania się ciała po śmierci jest zostawienie go w lesie, żeby zwierzęta miały z niego korzyść. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Sanepid nie pozwoli.

Nie pozwoli. Ale może pozwoli, żeby rozsypać prochy w ogrodzie pod tymi sosnami? Im większe mam poczucie łączności ze światem jako całością, tym bardziej umiaram jawnie mi się jako część życia. W końcu to nie jest nic innego jak oddawanie siebie światu z powrotem.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

DAJCIE NAM SIĘ POZNAĆ!



Koncert Micromusic, SLOT 2017

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA DO „SFERY DIALOGU” PROWADZONEJ PRZEZ „TYGODNIK” PODCZAS SLOT ART FESTIVAL (LUBIĄŻ, 11-14 LIPCA). JESTEŚMY WAS CIEKAWI – I JESTEŚMY TAM DLA WAS!

■ GODZ. 9.00

w wszystkie dni Festiwalu
Przebudzenie ducha. Zaprasza
Piotr Sikora, teolog i filozof, oraz
dziennikarze „Tygodnika”. Miejsce
na wyciszone i uważne rozpoczęcie
dnia. Zapraszamy na wspólne
śniadanie i rozmowy o duchowości
w wielokulturowym świecie.

■ GODZ. 11.00

ŚRODA
Gdy wszystko jest prawdą. Pomimo
popularności tego gatunku, wokół
reportażu narastają kontrowersje.
Na rozmowę o granicach, których
reporterom nie wolno przekraczać,
zaprasza Wojciech Jagielski.

CZWARTEK

Mówię: „Sprawdzam”. Pierwszą
funkcją prasy było patrzenie
władzy na ręce. O tym, jak
demaskuje się fałsz w świecie

postprawdy, opowie Kalina
Błażejowska.

PIĄTEK

Wszystkie śluby mojej Mamy.
Podróż w czasie bohaterów
archiwalnych zdjęć ślubnych
sprzed lat. Zaprasza Grażyna
Makara, fotoreporterka
„Tygodnika”.

SOBOTA

Busz po polsku 2018. Z Michałem
Olszewskim porozmawiamy m.in.
o polskich tematach, które wciąż
czekają na opisanie, i o tym, czy
reportaż społeczny może zmieniać
rzeczywistość na lepsze.

■ GODZ. 13.00

ŚRODA
Polityka – pusty teatr czy starcie
wartości? Zapraszamy na rozmowę
o tym, że wspólnota skierowana
ku dobru może jeszcze wygrać ze
wspólną nienawiści. Prowadzi
Paweł Bravo.

CZWARTEK

Stulecie migrantów. 68,5 mln
uchodźców i ćwierć miliarda
migrantów – rodzi się właśnie
nowa era w dziejach świata.
O uchodźcach, których
spotkał na Bałkanach, Bliskim
Wschodzie i Afryce, opowie Marcin
Żyła.

PIĄTEK

To nie Facebook, to my. Wbrew
marzeniom o „globalnej
wiosce” w internecie jesteśmy
podzieleni, odizolowani od siebie
i dezinformowani przez populistów.
Dlaczego? Opowie Michał
Kuźmiński.

SOBOTA

Kościół kobiet. Jaki wpływ
kobiety mają na Kościół?
Co robią w Watykanie? Ile ich
jest? I dlaczego wciąż tak mało?
Zaprasza Zuzanna Radzik.

■ GODZ. 20.00

ŚRODA
Imperium Boga Hanumana. Indie
są inne, niż sobie wyobrażamy.
To jeden z najbardziej
materialistycznych regionów na
świecie, gdzie pęd do władzy jest
dużo większy niż na Zachodzie.
Opowie o tym Piotr Kłodkowski.

CZWARTEK

Himalaizm – granice pasji.
Wyprawy na Broad Peak i K2 to
pretekst do dyskusji o ryzyku
podejmowanym przez wspinaczy.
Spotkanie z Bartkiem Dobrochem
i Przemysławem Wilczyńskim.

PIĄTEK

My, naród. Rohingya w Birmie
i Bangladeszu. Mówi się, że

to najbardziej prześladowana
grupa etniczna na świecie.
Rohingowie, birmańscy
muzułmanie, doświadczali w Birmie
prześladowań, które ocierają się
o ludobójstwo. Na spotkanie o nich
zaprasza Marek Rąbaj.

SOBOTA

Świat przyszości: Afryka.
Ponad 60 lat po odzyskaniu
niepodległości przez większość
państw Afryki kontynent ten czeka
druga wielka zmiana. Rewolucja
demograficzna uczyni z niego
najważniejsze miejsce na ziemi.
Opowiedzą o tym Grażyna Makara
i Marcin Żyła.

SZUKAJCIE NAS TEŻ W STREFIE WOLNEGO CZYTANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” – na leżaki

zapraszają Maja Kuczyńska
i Marta Filipiuk-Michniewicz,
odpowiedzialne za projekty
specjalne „TP”.

SLOT ART FESTIVAL,

Lubiąż k. Wrocławia
Pełny program oraz bilety:
slot.art.pl



KTO NIE DOTKNAŁ PIŁKI NI RAZU

Mundial i futbol to nie są tylko fenomeny sportowe, polityczne, ekonomiczne i społeczne.
To są, proszę państwa, fenomeny kulturalne.

MICHAŁ OKOŃSKI

NIE BĘDĘ UKRYWAŁ: MNIE TO WKURZA. Wkurza mnie ta mina polskiego inteligenta, intelektualisty, artysty albo i aktora, że futbol jest niedobry i be, piłkarze to gromada przepłacanych fircyków (kie-

dyś: gromada przepłacanych osiłków, coś się jednak zmieniło...), polscy kibice zaś, jak zechciała się wyrazić Krystyna Janda, „przy byle sukcesie dostają po prostu jakiegoś zupełnie irracjonalnego obłądu i manii

wielkości”. Nie żebym sam się za intelektualistę uważał, ale z drugiej strony: od ponad ćwierć wieku pracuję w piśmie, któremu faktycznie zdarza się inteligentów i intelektualistów drukować, artyści i ak-



PRZEMEK NICEJEWSKI

Mecz LKS Łyskornia – LZS Hetman Żdźdź (3:0), Łyskornia, sierpień 2016 r.

torzy czasem się tu też pojawiają. Co pewnie ważniejsze: zdarza mi się czytać teksty i książki o piłce, niepisane bynajmniej przez opitych piwem troglodytów; teksty i książki, w których o futbolu mówi się tym samym językiem, jakim analizuje się obrazy, filmy czy sztuki teatralne.

Nie mówiąc już o książkach i tekstach, które należą wprost do literatury pięknej.

Jak futbol objaśnia świat

Czytałem także „Futbol w cieniu Holokaustu” Simona Kupera, gdzie autor, biorąc pod lupę piłkę nożną czasu okupacji i używając etnologicznych w gruncie rzeczy narzędzi, kreśli skomplikowany portret ówczesnych społeczeństw europejskich, swoim holenderskim rodakom stawiając pytania równie nieprzyjemne, co te, które nam postawił kiedyś Jan Tomasz

Gross. Czytałem „Odwróconą piramidę”, historię taktyki piłkarskiej napisaną przez Jonathana Wilsona, i wiem, że sto lat temu w kawiarniach Wiednia o futbolu rozmawiano równie chętnie jak o sztuce, literaturze i teatrze. „Istotę taktyki pojąć mogli tylko ludzie, w których naturze leżało teoretyzowanie i dekonstrukcja, którzy równie komfortowo czuli się w roli abstrakcyjnych teoretyków i praktyków na murawie”...

To jeden z licznych paradoksów tej historii: akurat w naszej części Europy piłka nożna, choć zaszczerpiona przez anglofilów z wyższych sfer, została szybko przejęta przez klasę robotniczą, ale – choć gracje w ogromnej mierze pochodzili właśnie z proletariatu – teorią futbolu, jego opisywaniem, nie mówiąc o kibicowaniu, zajmowali się intelektualni. Obraz metropolii, w której każdy klub miał własną

kafeczkę – miejsce spotkań piłkarzy, kibiców, trenerów, ale także pisarzy, a oprócz tego wszyscy gromadzili się jeszcze na dyskusje w Ring Cafe, „czymś w rodzaju rewolucyjnego parlamentu przyjaciół i fanatyków piłki nożnej”, gdzie „postrzeganie piłki z perspektywy jednego klubu nie miało racji bytu”, nie mieści się zapewne w wyobraźni wielu z tych, którzy dziś uważają futbol za zjawisko po pierwsze niepokojąco plemienne, a po drugie niegodne poważnej refleksji.

A przecież istnieje taka rozmowa o piłce nożnej, która dostrzega zależności między tym, w jaki sposób poszczególne drużyny biegają po boisku, a tym, jak wyglądają współczesne prądy intelektualne. Wilson w „Odwróconej piramidzie” wykazuje związek między futbolem totalnym jednej z najlepszych drużyn klubowych w dziejach, Ajaksu Amsterdam trenera Rinusa Michelsa (to w składzie tego zespołu występował Johann Cruyff), a teoriami literackimi i semiotycznymi Rolanda Barthes’a, antropologicznymi tezami Claude’a Levi-Straussa i psychoanalizą Jacques’a Lacana.

David Winner, autor znakomitej książki poświęconej „neurotycznemu geniuszowi holenderskiego futbolu”, wiąże talent Cruyffa do odnajdywania wolnej przestrzeni na boisku właśnie z miejscem urodzenia: twierdzi – przywołując w tym kontekście Vermeera i Mondriana – że Holendrzy mają szczególnie dar gospodarowania przestrzenią (zawężania pola gry, gdy się bronią, i poszerzania, gdy atakują), ponieważ nauczyli się tego w innych dziedzinach życia – płaskie, często zalewane terytorium kraju zmuszało ich do jak najbardziej kreatywnego wykorzystywania dostępnego terenu.

Kiedy tłumaczyłem inną książkę przywołanego tu Jonathana Wilsona, piłkarską historię Argentyny zatytułowaną „Aniołowie o brudnych twarzach”, uderzyło mnie, do jakiego stopnia futbol naprawdę może objaśniać świat, a nawet – chętnie podjąłbym się kiedyś takiej próby – pozwala zrozumieć pontyfikat papieża Franciszka. Przez kilkanaście miesięcy poznawałem dzieje rozwiązanych argentyńskich marzeń – historię kraju, który przed wiekiem należał do najdynamiczniej rozwijających się państw świata, dziś będącego smutnym symbolem upadku. Co przy tym uderzało: kiedy argentyńskie społeczeństwo pełne było optymizmu, gospodarka się rozwijała, ➔

→ a w kraju panowała demokracja, to argentyńscy piłkarze grali najpiękniejszy futbol świata. Kiedy przyszły lata zamachów stanu, terroru, chaosu i utraty nadziei, w tamtejszej piłce nastał czas antyfutbolu.

Argentyńscy bohaterowie – pisałem o tym niedawno w „Tygodniku” w tekście o Leo Messim – oprócz talentu i odwagi zawsze musieli wykazywać się mocno kreatywnym podejściem do sztywnych zasad Starego Świata; najlepszym przykładem jest tu oczywiście Diego Maradona.

Jak futbol objaśnia naturę ludzką

Gdy po porażkach reprezentacji Polski na rosyjskim mundialu pozwoliłem sobie napisać, że żał mi piłkarzy, którzy pełni nadziei jechali na najważniejszą imprezę sportową w życiu, i że wszystko się we mnie sprzeciwia czynieniu z nich teraz łatwego przedmiotu szydery i hejtu, na marginesie tego tekstu wywiązała się interesująca facebookowa dyskusja (na nie byle jakiej ścianie, dodajmy, bo należącej do redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”). Pewien wybitny krytyk literacki zapytał, dlaczego miałby się zdobyć na współczucie dla kogoś, kto grał tak fatalnie. „Nie współczuję w ogóle – pisał. – Sami takie zajęcia (bo to przecież nie zawód!) sobie wybrali i w dodatku niektórzy dostają za to niewspółmierną do niczego kasę. Niech cierpią. Szybko się pocieszą”.

Tak się składa, że to dzięki rekomendacji owego krytyka przeczytałem prawie 30 lat temu „Śmierć pięknych saren” Oty Pavla – książkę, która od tamtej pory stała się jedną z moich ukochanych. Śmiejąc się i płacząc nad losami ojca narratora nie wiedziałem jeszcze, że autor zmagał się przez lata z chorobą psychiczną, a pisanie było dlań formą terapii. Nie wiedziałem też, że zanim zachorował, zajmował się dziennikarstwem sportowym i że pisał o sporcie świetne reportaże i opowiadania – część z nich ukazała się zresztą niedawno po polsku w tomach „Bajka o Raszce” i „Puchar od Pana Boga”.

Tytułowe opowiadanie z tego drugiego zbioru to historia kończącego karierę piłkarza, który nagle traci miejsce w drużynie i w trakcie rozmowy z żoną konfrontuje się z pytaniami o sens tego, co robi. „Dla wielu osób nie znaczysz nic. Nie potrafisz zrozumieć, że ganiacie po murawie z jednego końca na drugi tylko po to, żeby któraś z drużyn wygrała. A co się stanie, kiedy któraś drużyna wygra? Nic” – mówi

kobieta. I dalej: „Ludzi, dla których nic nie znaczysz, są tysiące. Jesteś dla nich zerem”. Albo: „Miałeś wokół siebie koleżków, którzy poklepywali cię po plecach, i to ci wystarczało. Tyle że oni są jak muchy siadające na słodkie ciasto, a kiedy przestaje być słodkie, odlatują”. Dramatyzm sceny zwiększa niespodziewanie wracające do domu dziecko. Płacze, bo w barze podszedł do niego jakiś mężczyzna i powiedział, że tata jest skończony i że dawno powinni byli go wyrzucić. W telewizji przez cały czas idzie transmisja meczu, w którym ten, co zastąpił bohatera opowiadania w jego drużynie, daje popis młodzieńczej energii i strzela gola za golem.

Nie myślę tu streszczać całego „Pucharu od Pana Boga”. Nie powiem, kto za chwilę odwiedzi mieszkanie Piotra i Aleny Hendrychów. Nie zdradzę, że Pavel i tym razem pokaże sport jako coś sensownego i pięknego, nawet jeśli odpowiedź, jakiej w pewnym momencie rozmowy z żoną udzieli piłkarz u schyłku kariery, będzie gorzka: „Kiedy ludzie mnie oglądali, mieli rozrywkę i na dwie godziny zapominali o problemach w pracy albo o tym, że dzieci kiepsko się uczą. Przez dwie godziny brali opium, po którym nie bolała ich głowa. Dawałem im podobną zabawę jak cyrkowcy. Już chyba nie jestem piłkarzem, jestem klaunem. Moją areną jest zielona murawa. Praca jak każda inna. A przecież lubię ludzi, tylko czasem ich nienawidzę i nie umiem sobie tego wyjaśnić”.

Powiem tylko, że przeleciało mi przez głowę, co by było, gdyby oprócz bajki o Jirzim Raszce, wielkim czeskim skoczku narciarskim, Ota Pavel mógł napisać bajkę o Jakubie Błaszczykowskim. Jak opowiadałby o chłopcu, który w wieku dziesięciu lat widział, jak ojciec zabija matkę: który poradził sobie z traumą przez duże „t”, by stawiać czoło trudom piłkarskiego losu? O chłopcu, który mierzył się z poczuciem, że zawiódł, niewykorzystując kluczowego karnego na ostatnich mistrzostwach Europy. Który stoczył kilkumiesięczny bój z własnym zdrowiem o to, by móc wystąpić na mundialu w Rosji. Którego setny mecz w drużynie narodowej, podczas nieszczęsnego meczu z Senegalem, zakończył się po pół godzinie, a sto pierwszego nie było, bo Japończycy tak długo wymieniali się podaniami w spotkaniu kończącym polską przygodę z mistrzostwami, że zniesmaczony sędzia postanowił skrócić cierpienia oglądających to widzów, unie-

możliwiając rezerwowemu Polakowi wejście na boisko.

Za chwilę Błaszczykowski także przestanie grać w piłkę. Czy będziemy pamiętać, ile radości dał ludziom przez ostatnich kilkanaście lat? Ile – użyjmy tego słowa, zwłaszcza, że użył go też Pavel („Młodzi grali dobrze. Ale nie są tacy jak pan. Pan gra całym sercem, można by wręcz powiedzieć, że pan gra, jakby bronił pan prawdy...”) – włożył w to serca?

Jak futbol objaśnia Trzecią Rzeczpospolitą

Jest taki, ironiczny rzecz jasna, tekst Marcina Świetlickiego: „Żyliśmy w czasach, / w których Adam Michnik / wybornie znał się na poezji”. Otóż zastanawiam się, co by było, gdyby Adam Michnik wybornie znał się na piłce nożnej. I nie, nie zapisuję się niniejszym do obozu, który redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” czyni odpowiedzialnym za wszystko, co się w III Rzeczypospolitej nie udało. Chcę jedynie powiedzieć, że w polskich mediach (może z chwalebnym wyjątkiem „Tygodnika”, gdzie publikujemy choćby piłkarskie eseje Marka Bieńczyka, czy wydawanego nieregularnie Magazynu „Kopalnia”) piłka nożna nie była w ciągu ostatnich 30 lat opisywana językiem, na jaki zasługuje.

To w „Guardianie” np. czytałem po śmierci Johanna Cruyffa tekst wspomnianego już Davida Winaera o wpływie tego zawodnika na kulturę holenderską. To w tym samym brytyjskim dzienniku fenomen zdobycia przez małe Leicesters mistrzostwa Premier League dwa sezony temu analizował kibic tego klubu, świetny prozaik i laureat Bookera Julian Barnes. To w „New Yorkerze” ukazał się (akurat szczęśliwie przez „Tygodnik” przedrukowany) esej Salmana Rushdiego o nieszczęśliwej na ogół miłości pisarza do londyńskiego Tottenhamu („Znosić dziesięciolecia rozczarowań, lecz nie mieć wyboru w kwestii, komu dochowujemy wierności” – opisuje to autor „Szatańskich wersetów”, zabierający na jedną ze swoich wizyt na nieistniejącym już stadionie White Hart Lane Maria Vargasa-Llose; „trzeba mieć kamienne serce, żeby nie włączyć się w nurt zbiorowego podniecenia”, dodaje w innym miejscu). To w „New York Timesie” o mundialu w Rosji pisze autor znakomitego „Głodu” Martin Caparrós. We Włoszech, gdzie miałem szczęście trochę mieszkać, obecność na trybunach stadionów profesury, podobnie jak

obecność w rozmowach na uniwersyteckich korytarzach tematyki futbolowej, jest czymś całkowicie normalnym. Zapewniam, że rozmowy te nie mają wiele wspólnego z „irracjonalnym obłędem i manią wielkości”.

Zgoda: u nas także zdarzało się Gustawowi Holoubkowi, Stanisławowi Dygatiowi i Tadeuszowi Konwickiemu dywagować o piłce nożnej na łamach prasy kulturalnej, a na stadionie Cracovii regularnie widywano Kazimierza Wykę. Wiktor Osiatyński napisał o sporcie dwa świetne reportaże, wznowione niedawno nakładem wydawnictwa Dowody na Istnienie. Ale to stare dzieje. Teraz jest wspomniany już Bieńczyk, jest Jerzy Pilch. Są ślady piłkarskich fascynacji u innych twórców. Za każdym razem, kiedy ktoś taki pojawia się w mediach, mam jednak wrażenie, że przywdziewa autoironiczną maskę, jakby próbował usprawiedliwić się ze wstydlivego hobby. Podobne odczucia towarzyszyły mi podczas lektury materiałów ze zorganizowanej w 2012 r. konferencji „Futbol w świecie sztuki” pod redakcją Jana Ciechowicza i Waldemara Moski): że podjęcie takich tematów jak futbol jako sztuka, kreatywność w piłce i sztuce (doskonałość wykonania a efekt estetyczny), mecz jako dramat bez scenariusza, semantyka widowiska piłkarskiego, elementy happeningu i performansu w meczu, mecz jako konfiguracja nieprzewidywalności itd. – za każdym razem wymagała puszczenia oka do czytelnika/słuchacza, że wiecie, ja tak nie do końca serio. Prawie nikt, jak Ota Pavel, nie sięga po tematy sportowe, by mówić o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości i przyjaźni, lojalności i pasji, smaku sukcesu i goryczy godzenia się z porażką. O wierze i niewierze.

Jak futbol objaśnia kwestię klasową

Skąd ten dystans? Odpowiedzi jest masa, a wiele z nich wiąże się z faktycznymi schorzeniami współczesnego futbolu. Trudno zachwycić się mundialem w Ro-

**W sporcie znajdziecie
kwestie najważniejsze:**
życie i śmierć, miłość
i przyjaźń, lojalność i pasję.
Wiarę i niewiarę.

sji bez wspomnienia o głodówce Oleha Sencowa, trudno też zadeklarować fascynację piłką bez równoczesnego zmierzania się z towarzyszącymi jej, niewymyślnymi przecież, problemami: komercjalizacji, brudnych pieniędzy i korupcji, szemranych właścicieli wielu czołowych klubów świata, a z innego porządku: przemocy, seksizmu, homofobii czy rasizmu. W mojej bibliotece, wśród licznych książek o pięknie futbolu (także matematycznym, które opisuje David Sumpter w wydanej właśnie przez Copernicus Center Press „Piłkomatyce”), są także te, które podejmują problem utraconej duszy tego sportu.

Ale są inne możliwe odpowiedzi. Jeden z powodów ostantacyjnego lekceważenia, wręcz pogardy dla kolejnych wielkich imprez piłkarskich, okazywanych w mediach czy na portalach społecznościowych przez wybitnych luminarzy naszego życia intelektualno-artystyczno-duchowego, może mieć podtekst klasowy (pisał o tym m.in. bloger posługujący się piłkarskim, bo odwołującym się do Ferencza Puskása, pseudonimem Galopujący Major w tekście „Dlaczego wielkomiejska lewica nie lubi futbolu”). Ciekawy to zaiste paradoks: wykluczania całych rzesz społeczeństwa przez ludzi tak, wydawałoby się, uwrażliwionych na zjawisko wykluczenia i ludzi, którzy sami nieraz deklarują, że czują się wykluczani.

Przypomina mi się w tym miejscu wielki brytyjski reżyser Ken Loach. Kiedy w jego filmach pojawia się futbol, bohaterami nie są piłkarskie gwiazdy (choć w jednym z nich rolę tytułową otrzymał

napastnik Manchesteru United Éric Cantona). Dzięki piłce szare życie bliskich sercu artysty robotników, listonoszy, ludzi bez pracy, nabiera ważnego sensu; dzięki piłce zapominają o biedzie, picu, ćpaniu, stając się częścią wspólnoty – czasem (jak w nowelce „Happy Ending”) międzypokoleniowej, czasem (jak w „Jestem Joe”) lokalnej, skupionej wokół małego stadionu i drużyny, której częściej się nie wie, niż zdoła cokolwiek wygrać.

No tak, Anglicy to potrafią, czemu nie my? Czy chodzi o niepokój, jaki w elitach budzi wspólnota? Nie zawsze przybiera ona przecież postać idących równym krokiem nazioli i nie zawsze to nazioli dominują na polskich trybunach (na deskach teatru pokazał to choćby ubiegłoroczny spektakl Teatru Żydowskiego „Kibice”, podobnym językiem przemawiał już kilka lat temu duet Strzępka-Demirski). Czy można na chwilę przestać widzieć w piłce nożnej wyłącznie rozrywkę masową i przestać sztydzić z niej jak, nie przy mierzając, z disco polo?

Niestety, odpowiedź, jaką niosą ostatnie dni, brzmi: nie można. O ileż prościej przecież okazywać pogardę zafascynowanym futbolem „Januszom” – tym łatwiej zresztą, im szybciej odwracają się oni od polskiej reprezentacji po niepowodzeniach, choć wcześniej zdawali się wynosić ją pod niebiosa. O ileż prościej mówić: „Ja tego nie mogę słuchać”, obawiając się nawet... wygranej.

„W skrócie nazywam to: zwycięstwo jest dla mądrych. Gdybyśmy zwyciężyli, to nie dałoby się wytrzymać dalej tej euforii zwycięstwa” – tłumaczyła Krystyna Janda w programie „Drugie Śniadanie Mistrzów” na antenie TVN24.

Jak futbol objaśnia moje życie

Czy naprawdę nie dałoby się wytrzymać? Ja bym powiedział raczej, że radość w ogóle jest dobra, a nadreprezentacja ponurych czerepów bywa przyczyną wielu groźnych chorób polskiego życia →

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MICHAŁ OKOŃSKI **Futbol jest okrutny**



Komentarze mundialowe czytaj na stronie „TP” i na blogu „Futbol jest okrutny”: okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

→ publicznego. I dodałbym jeszcze, że dobrą cechą radości polskich kibiców było to, że nie wydawała się wymierzona w kogokolwiek. Kto zresztą widział bawiących się przed meczem Polska-Senegal fanów na placu Czerwonym, ten wie, że nie mieliśmy do czynienia z ludźmi, którzy przybyli tu wziąć odwet za kapitulację broniącego się na Kremlu oddziału pułkownika Strusia. Przeciwnie nawet: ta rozbawiona grupa kibiców wydawała się rozbrajać antyrosyjskie fobie, aż nadto obecne w naszej debacie ostatnich lat. Pojechali do Rosji i przekonali się, że Rosja to nie Putin, a po ulicach nie chodzi białe niedźwiedzie z bałajkami.

Jeszcze kilkanaście dni temu były do tej radości powody. Niekoniecznie związane z triumfem jakiejś narodowej Sprawy – z mojej perspektywy wyglądało to raczej tak, jakby źródłem powszechnej frajdy była grupa kilkuset fajnych chłopaków, których zdążyliśmy polubić w ciągu kilku ostatnich lat za to, że wydawali się tak wolni od wszystkich dręczących nas kompleksów, że zdawali się cieszyć tym, co robią, i dobrze wykonywać swoją pracę.

Chłopaki przegrali – i nic się nie stało. Przegrali, bo także na tym polega istota tego sportu. Bo cykl, w jakim funkcjonowała ich drużyna, już się wypełnił. Z perspektywy kibica porażka to najnormalniejsza rzecz na świecie: każdy, kto związał swoje serce z jakąś drużyną, wie, że nawet jeśli przez jakiś czas idzie jej naprawdę dobrze, to prędzej czy później przyjdzie kryzys. Zapytajcie aktualnych wciąż mistrzów świata Niemców, którzy też pożegnali się z mundialem w Rosji. Powiedzą wam może i to, że porażka i kryzys (zwłaszcza wolne od atmosfery polowania na czarownice) są szansą na rozpoczęcie nowego etapu.

To jednak zupełnie inny temat. Ota Pavel tłumaczył kiedyś znajomego pisarce: „Sport nie sport, czy to nie wszystko jedno? Najważniejsze: wysłować coś nowego, pisać jakoś inaczej o tym dziwnym świecie”. Dlatego teksty o piłce nożnej mogą się pojawiać na łamach działu Kultury. „Kto nie dotknął ziemi ni razu, / Ten nigdy nie może być w niebie” – powiedziałbym tym wszystkim, którzy obawiają się ubrudzenia światem futbolu.

© MICHAŁ OKOŃSKI

Żli i przymilni

ROBERT KASPRZYCKI

Stonesi łączą słodycz z ironią, cyniczny bunt z melodyjnością, outsiderstwo z kokietowaniem klas wyższych. Wywrotowiec Jagger przyjmuje więc tytuł szlachecki z rąk księcia Karola i nikt się nie dziwi.

PRAWDOPODOBNIEM NA TEMAT ŻADNEJ GRUPY rockandrollowej nie wylano tyle atramentu, nie wypstrykano tylu zdjęć i nie zużyto tylu kilometrów taśmy filmowej, co na nich – nie tylko dlatego, że zawsze byli mistrzami autopromocji, również ze względu na szokująco długi staż. Trudno uwierzyć, ale kiedy 7 lipca pojawia się w Warszawie na stadionie PGE Narodowym, na liczniku stuknie im 56 lat. I nie chodzi bynajmniej o średni wiek artystów – tyle lat istnieje zespół, a pierwszy koncert zagrali w londyńskim Marquee Club 12 lipca 1962 r.

Wygumkowani, zneutralizowani i liderzy

The Rolling Stones powstał na fali fascynacji muzyką czarnych bluesmanów amerykańskich, i jak bywa w takich przypadkach, entuzjazm ów przełożył się nie tylko na kształt, ale i temperaturę późniejszych działań. Gdyby dwaj młodzi wielbiciela bluesa mieszkający w podlondyńskim Dartford nie spotkali się w wagonie podmiejskiego pociągu, w scenerii wyjętej jak z „House of The Rising Sun” („with one foot on the platform / and other on the train”) i – dzięki wspólnej fascynacji płytami „Rockin’ at the Hops” Chucka Berry’ego i „The Best of Muddy Waters” – nie nawiązali rozmowy, kto wie, jak potoczyłyby się losy rocka.

Tyle legenda. Sprowadzanie genezy zespołu wyłącznie do spotkania Micka Jaggera z Keithem Richardsem wydaje się jednak sporym nadużyciem, bo po pierwsze panowie znali się już wcześniej, ale urwał się im kontakt, po drugie zaś oficjalna historia zespołu zaczyna się od ogłoszenia, które wysłał do „Jazz News” młody brytyjski multiinstrumentalista Brian Jones. Pierwszy kanoniczny skład poszerzony został rychło o basistę Billa Wymana oraz perkusistę Charliego Wattsa. Klawiszow-

cem był Ian Stewart, który ze względu na dobrotliwy wygląd został ze stałego bandu „wygumkowany”.

Karuzela miała dopiero ruszyć. Nazwa zespołu, pożyczona z piosenki „Rollin’ Stones” Muddy’ego Watersa, straciła apostrof, i kiedy jako Rolling Stones zaczęli nagrywać kolejne albumy, początkową dominację Briana Jonesa zneutralizuje twórczość spółki Jagger-Richards, którzy zamiast odgrywać cudze kawałki, rozpoczną pracę nad piosenkami autorskimi. Za muzykę w głównym stopniu odpowiadał będzie Richards, za słowa Jagger. Stopniowo, nie bez zachęty managera Andrew Looga Oldhama, zaczęli przejmować władzę, marginalizując Jonesa, zwłaszcza że ten w miarę zdobywania przez zespół popularności zagłębiał się będzie w walce z własnymi nałogami i demonami.

Odrażający, brudni, naćpani

Był to czas pierwszej z dwóch brytyjskich inwazji muzycznych, przyjdzie im zatem konkurować z The Beatles. Dla prasy muzycznej była to gratka: skoro John, Paul, George i Ringo zajęli etat „grzecznych” – Stonesi musieli sobie zapracować na opinię mrocznych cieni Liverpoolskiej Czwórki.

Jagger, nieodrodne dziecko klasy średniej, we wczesnych wywiadach naśladował londyński *cockney*, żeby chociaż przez dialekt stać się „jeszcze gorszym” chłopcem z klasy niższej. Do ulubionych haśleł Oldhama należały: „Rolling Stones to grupa, którą rodzice uwielbiają nienawidzić”, „Czy puściłbyś swoją siostrę na randkę ze Stonesem?”. Mieli być zatem odrażający, brudni, źli. Oczywiście cała sytuacja była w dużej mierze ustawką, oba zespoły prywatnie się lubiły, ba, Lennon i McCartney pożyczili im na singiel swoje „I Wanna Be Your Man”, zakulisowo określali nawet, kto w danym momencie zdo-



SHIRLAINE FORREST / GETTY IMAGES

Rolling Stones – Ronnie Wood, Mick Jagger, Charlie Watts i Keith Richards na stadionie Old Trafford w Manchesterze, 5 czerwca 2018 r.

minuje listy przebojów. „OK, my dopiero miksujemy materiał, teraz czas na wasz singiel”... Nic dziwnego zatem, że „Paint it Black”, „Satisfaction” czy „Get Off of My Cloud” trafiły w burzliwy charakter epoki i emocje całego pokolenia.

Niekiedy jednak spowijający ich mrok stawał się czymś więcej niż zasłoną dymną. Przełomem była śmierć Jonesa, który utonął (ponoć z czyjąś pomocą) w przydomowym basenie, i tragedia w Altamont, gdzie Stonesi chcąc powetować sobie nieobecność na Woodstock, wzięli udział w kompletnie nieprzygotowanym koncercie, na którym gang motocyklowy Hell's Angels, pełniący rolę ochroniarzy, zamordował jednego z widzów. Śmierć czarnoskórego Mereditha Huntera, powszechny chaos, wreszcie rejterada zespołu helikopterem, stały się symbolicznym końcem epoki dzieci kwiatów.

Stonesi znów byli źli – bo byli odrażająco bogaci, znów byli brudni – bo trudno im było przypisać czysty gatunek; przez dekady swobodnie wybierali gatunki jak ze szwedzkiego stołu: chcecie *song* pełen azjatyckich melizmatów – weź „Paint it Black”, folkową balladę – proszę, oto „Wild Horses”, macie ochotę zatań-

czyć w dyskotecę – piszemy „I Miss You”. Działo tu jakieś przedziwne prawo zachowania energii. I choć niemal żaden z nich nie był wymieniany w rankingach wirtuozów, ba, grono krytyków zwracało uwagę na rozmaite mankamenty (w tym Michael Jackson nie mogący uwierzyć, że będąc gwiazdą światowego formatu Jagger może tak koszmarne fałszować), Rolling Stones stanowił uosobienie rockowego sukcesu. Z drugiej strony, niewiele jest zespołów, które obrosły tak obfitą lże-hagiografią, jeśli tak można nazwać liczne formy opisujące nie tylko historię samego zespołu, ale i jego członków.

Mają własną złotą antylegendę, pełną przeinaczeń, plotek i przekłamań. Każdemu z nich (a przez zespół przewinął się również gitarzysta Mick Taylor, zastąpiony później przez Ronniego Wooda), niczym w żywotach świętych, przypisane zostały życiorysy, cechy i atrybuty. Oto cyniczny, sarkastyczny, biseksualny Jagger, potrafiący ze swym merkantylnym niuchem i wykształceniem ekonomisty zapanować nad wydatkami zespołu uciekając z kraju. Oto charyzmatyczny Brian, wnoszący element wyrafinowanego dandyzmu. Oto nonkonformistyczny Keith,

męczennik rocka, „drutowany” przez policjantów i celników za „posiadanie w celu rozprowadzania”. I tak dalej, i tak dalej.

Nad tym wszystkim krążyła wizja wiecznej orgii narkotykowej, nie bez kozery zresztą, gdyż kręcony metodą *camera vérité* „Cocksucker Blues”, jeden z najbardziej szokujących filmów poświęconych życiu w trasie, jest czystą egemplifikacją rockowego hasła „Sex, drugs & rock'n'roll”.

Obok filmów dokumentujących koncerty „w stereo i w kolorze” Stonesi mają w zanadrzu również wiele filmów o charakterze biograficznym – zainteresowani tematem mogą znaleźć w internecie wcale okazały wybór. W pewnym sensie wzmocnieniem filmów dotyczących samych Stonesów są setki, jeśli nie tysiące filmów fabularnych, w których wykorzystano ich piosenki jako „dżingle epoki”, niekiedy mocno nadużywane jak „Brown Sugar”, „Jumpin' Jack Flash”, „Satisfaction” (obok muzyki Richarda Wagnera muzyczny emblemat „Czasu apokalipsy” Francisca F. Coppoli) czy „Start Me Up”, będące już nie tyle przebojami, co emblematami pokolenia. Ponadto twórczość Stonesów pozwala na swobodne operowanie ➔

→ muzycznym kontekstem na poziomach od sarkastycznie euforycznego „Sympathy for the Devil” (czerpiącego inspirację z „Mistrza i Małgorzaty”) po „Time Is on My Side”, które w filmie „Fallen” z Denzelem Washingtonem staje się piosenką śpiewaną dosłownie przez szatana.

Rzecz jest o tyle ciekawa, że granie Stonesów faktycznie ma w sobie jakiś diaboliczny posmak. Po części wynik on z legendarnych korzeni bluesa sięgających singer-songwritera Roberta Johnsona, który na rozstajach dróg koło Plantacji Dockery sprzedał duszę za diabła talent. Po części z założeń, które przystępnie objaśnia w autobiografii Richards.

Ich podstawą jest brudzenie, tłumienie, odejmowanie części dźwięków, stosowanie otwartych strojów, zdejmowanie najgrubszej ze strun, stosowanie kapodastra, oparcie na brzmieniu gitary Fender Telecaster, dającej metaliczny klang i kogucią zadziorność, świetnie pasującą do czupurności Richardsa. Do tego smaczne dźwięki grane na drugiej gitarze przez Ronniego Wooda, motorycznie rozkołysana praca sekcji, złożonej przez lata z Charliego Watta i Billa Wymana (którego w 1993 r. zmienił Darryl Jones, grający poprzednio m.in. u Milesa Davisa), wszystko zaś sklejone pozornie niedbałym, gardłowym, „czarnym” śpiewem Jaggera, podkreślającym jego kogucie taniec godowy.

W transie i w trasie

Już od pierwszego albumu, „The Rolling Stones” (1964), po najnowszy „Blue & Lonesome” (2016) potrafili łączyć sprzeczne żywioły – słodycz z ironią, cyniczny bunt z melodyjnością, outsiderstwo z kokietowaniem klas wyższych. Fakt otrzymania przez Jaggera tytułu szlacheckiego (z rąk księcia Karola, nie królowej Elżbiety) ukazuje, jak dziwne jest tu materii pomieszanie. Zresztą – wieloletnie animozje, kłótnie w rodzinie, rozpady, zawieszenia, powroty, były dowodem na to, że w liderach zespołu wciąż tętni życie.

Czym jest Rolling Stones dziś? Spółką akcyjną po przejściach, z jednoosobową radą

Stonesi wypychali jęzor,
gdzie nie trzeba, chlapali nim,
co nie trzeba,
sugerowali rzeczy,
na które świat nie był gotowy.

nadzorcą w postaci Jaggera, czy niezmiennie żywą drużyną grzeszników? Stonesi to przecież nie tylko sama muzyka, to chyba najmniej sama muzyka – to apoteoza wolności, choć nie o świętych chodzi, lecz o grzesznych fanów bluesa, którzy przyjechali do Stanów, żeby zobaczyć, poznać i „doznać” swoich mistrzów, Chucka Berry’ego, Muddy’ego Watersa, B.B. Kinga, Howlin’ Wolfa, i doznali objawienia, a co ciekawsze: zostali przez czarnych Mistrzów zaakceptowani. Jednak nie byłiby sobą, gdyby nie grali tego, co im ślina na język przyniesie: bluesa, psychodelii, R&B, country, folka, reggae. I, jak się zdaje, słowo „jęzor” czy właściwie „jęzor” jest tu kluczowe. Znakomicie oddaje tę dwoistą energię logo „Big Lips”, stworzone w 1969 r. za wcale nie zawrotną cenę 50 funtów (czyli 77 dolarów) przez Johna Pasche’go, wówczas studenta Royal College of Art.

Pasche, zaglądając w paszczę lwa, a dokładniej w paszczę Jaggera, zdołał przeliknąć jego morderczy apetyt na życie. Stonesi wypychali zatem jęzor, gdzie nie trzeba, chlapali nim, co nie trzeba, sugerowali rzeczy, na które świat nie był gotowy, a że niezmiennie był to jęzor cyniczny cwany, ironicznie samozadowolony, dziecinnie prześmiewczy, mogli liczyć na taryfę ulgową, z jednoczesnym zachowaniem jak najbardziej poważnych zasad. Zwłaszcza finansowych.

Dwoistość statusu pozwoliła im na przesuwanie wszelkich barier: rasowych, muzycznych, etnicznych, społecznych. Dodajmy – ów ostantacyjnie wywalony jęzor sugerował także mniej lub bardziej otwartą propozycję seksualną. Raczej bardziej niż mniej.

Tak, nie sposób nie zauważyć, jak bardzo zmienił się świat od czasów Swinging Sixties – czasów seksualnego wyzwolenia, pojawienia się pigułki antykoncepcyjnej, depenalizacji homoseksualizmu w Zjednoczonym Królestwie, czasów, w których rola idola niemal bezpośrednio odnosiła się do greckiego znaczenia *eidolon*. Jagger, Richards, Jones, Wyman i Watts

byli odbiciem domniemanej boskości, co sprawiało, że kontakt z nimi był jak *hieros gamos*, uświęcony akt, w którym ciała fanek pełniły funkcję ofiarną, a *gruppies* jeżdżące w trasy z zespołami były niemal własnością bandów. Dla odmiany istniała też grupa fanek „wolnych”, kolekcjonujących artystów jak trofea (należała do nich m.in. Carla Bruni). Seks był formą jakiejś przedziwnej umowy. Kompletnie inne relacje łączyły członków zespołu z ich żonami bądź wieloletnimi partnerkami, jak Marianne Faithfull, Anita Pallenberg, Bianca Jagger czy Jerry Hall. Jakby życie rodzinne i życie w trasie, koncerty, relacje z fankami, istniały w światach równoległych – niczym w znanym branżowym powiedzonku: „Co się dzieje na trasie – zostaje na trasie”.

Stadiony świata

Stonesi zagrali w Polsce dotychczas cztery koncerty na trzech trasach. Dwa z nich 13 kwietnia 1967 r. – który to dzień powraca we wspomnieniach dzisiejszych tuzów rocka i dziennikarzy muzycznych jako kamień milowy. Na kolejną wizytę zespołu trzeba było czekać ponad 30 lat: w 1998 r. zagrali na stadionie w Chorzowie, zaś ostatni raz wpadli do Polski 25 lipca 2007 r.

Kiedy odwiedzili Chorzów, lepsze miejsce ode mnie mieli chyba tylko prezydentostwo Kwaśniewscy i siedzący z nimi w łóżu Wojciech Gąssowski. Niestety do bocznego sektora, w którym miałem zaszczyt siedzieć obok Staszka Sojki, docierał wyłącznie potężny bas Darryla Jonesa – przez chwilę tanecznego honoru naszego sektora próbował bronić Zbigniew Hołdys, jednak po pewnym czasie i on został zdmuchnięty potężnym basowym samumem. Miejmy zatem nadzieję, że tym razem dźwięk będzie lepszy. W kontekście tej stadionowej gigantomanii jakże by się chciało obejrzeć Stonesów tam, gdzie zrodziła się ich legenda, w jakimś małym klubie bluesowym: z Richardsem łożącym proste riffy na swoim micawberze, z Woodem tnącym solówki, z miarowo pompującą sekcją Watts-Jones, no i Jaggerem widzianym nie przez wojskową lornetkę. Ot, w takim prostym zestawie, bez piór w sempiternie i fajerwerków nad głową.

Bo dopiero wtedy jest *rock and roll* – i ja to lubię.

© ROBERT KASPRZYCKI

Korzystałem z książek: Keith Richards „Życie”, Christopher Andersen „Mick. Szalone życie i geniusz”, Piotr Szarota „Londyn 1967”.



ROBERT KASPRZYCKI

będzie gościem Grzegorza

Chlasy w środę 4 lipca

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



NASZ MAGAZYN LITERACKI

„Książki w Tygodniku” wydajemy od dwóch dekad. Stał się miejscem poważnej rozmowy o literaturze i kulturze o największym zasięgu czytelniczym w Polsce. Trudno wymienić wszystkich znakomitych autorów i bohaterów kolejnych edycji, wystarczy przypomnieć niektóre ich okładki. W tym roku Ministerstwo Kultury odmówiło nam dotacji. Czytelników prosimy o cierpliwość. Magazyn powróci.

„Książki w Tygodniku” pozbawione dotacji MKiDN

Okrutny mistyk ma głos

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Juliusz Słowacki to obok Williama Shakespeare’a największy poeta dramatyczny Europy. A myśmy zrobili z niego Kapitana Amerykę, chuderławego chłopca, który na skutek eksperymentu stał się superbohaterem. Takiego sobie wieszczu napompowaliśmy.

W 2018 r., JEDNO PO DRUGIM, MIAŁY miejsce trzy wydarzenia związane z Juliuszem Słowackim. Wszystkie łączy to, że stanowiły poważne próby reinterpretacji jego dzieła. I to, że właściwie nie zostały zauważone.

Najpierw ukazała się wydana przez Instytut Badań Literackich nowa, rewelacyjna edycja tzw. „Samuela Zborowskiego”, przygotowywana od wielu lat przez wybitnego znawcę Słowackiego i znakomitego edytora Marka Troszyńskiego. Potem, w Teatrze Polskim w Warszawie, w ramach Festiwalu Nowe Epifanie, Łukasz Kos pokazał siedmiodzinne przedstawienie „Króla-Ducha”, przy którym współpracował z Troszyńskim, wreszcie w Teatrze Studio odbyła się premiera „Snu srebrnego Salomei”, przygotowanego, wyreżyserowanego i... wykonanego przez Michała Zadare. Każda z tych inicjatyw wyrasta z potrzeby zmierzenia się ze Słowackim w sposób odmienny od dotychczasowych. Co z kolei wynika z rozpoznania niezwykłości jego dzieła i niedostateczności sposobów, na jakie zdołaliśmy je sobie oswoić w ciągu 169 lat, bo tyle minęło w kwietniu od śmierci wieszczka.

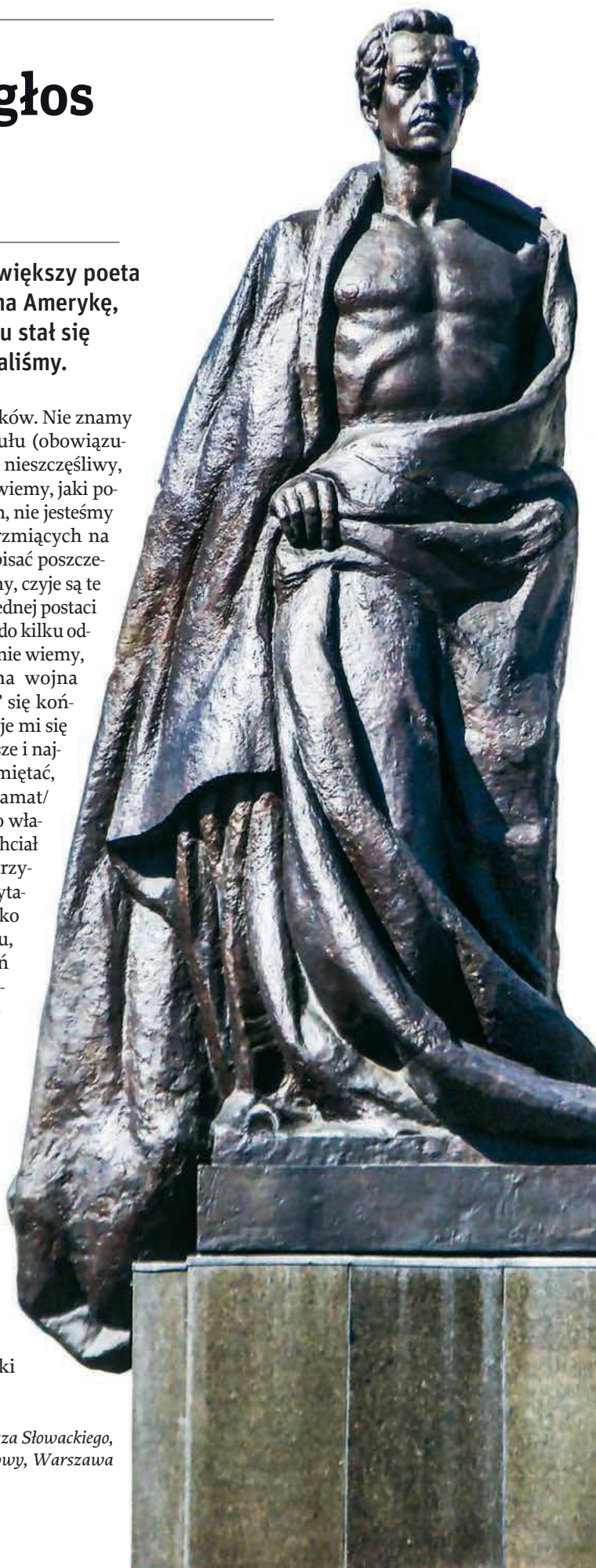
Inna scena tekstu

Zdecydowanie przeciwko tradycji (choć z całym szacunkiem dla poprzedników) występuje edycja Troszyńskiego. Zapowiadana od lat, przyjęła ostatecznie imponujący kształt ogromnego, ale zarazem wręcz zachwycająco jasnego i lekkiego tomu. Autor godzi ogień z wodą: pozwala poznać się z tekstem względnie uporządkowanym przez edytora, a zarazem udostępnia rękopis w całej jego złożoności i skomplikowaniu.

W polskiej literaturze mało jest tekstów tak problematycznych i zagadkowych jak „Samuel Zborowski”. Nie mamy pewności co do jego najbardziej podstawowych ele-

mentów i wyznaczników. Nie znamy jego autorskiego tytułu (obowiązujący i przyjęty, raczej nieszczęśliwy, nadali edytorzy), nie wiemy, jaki powinien być układ scen, nie jesteśmy pewni, któremu z brzmiających na kartach głosów przypisać poszczególne słowa, nie wiemy, czyje są te głosy – czy należą do jednej postaci o wielu imionach, czy do kilku odrębnych, a wreszcie – nie wiemy, jak ta „napowietrzna wojna o narodowość naszą” się kończy. To ostatnie wydaje mi się od dawna najważniejsze i najwspanialsze: jeśli pamiętać, że Słowacki pisał dramat/poemat o zakroju jego własnych „Dziadów”, że chciał w nim niejako rozstrzygnąć własne i nasze pytania o sens polskości jako doświadczenia i losu, to wielość zakończeń (ukrywana przez wcześniejsze edycje kanoniczne, a wystawiona przez Troszyńskiego) oznacza, że to rozstrzygnięcie należy do nas, że wciąż jest naszym zadaniem.

Wędrujemy tym labiryntem zamieszkałym przez rozmnażające się w zastraszającym tempie sfinksy. Troszyński pozwala im wyśpiewać swoje zagadki. Osiąga to dzięki



*Pomnik Juliusza Słowackiego,
plac Bankowy, Warszawa*

połączeniu trzech sposobów publikacji tekstu: skanów rękopisu przechowywanego w Ossolineum, towarzyszącej jej „transliteracji topograficznej” zachowującej wszystkie skreślenia, warianty, odmiany tekstu w takim układzie i (nie)porządku jak w rękopisie, autorskiej i szczególnie skomentowanej edycji, przeznaczonej, jak pisze Troszyński, „do linearnej lektury zmodernizowanego tekstu dramatu, zgodnej z prawdopodobną kolejnością zapisu”. Jest to bodaj najdalej posunięty akt rezygnacji edytora z narzucania swojej władzy, przy jednoczesnej próbie odpowiedzi na czytelnicze oczekiwania związane z umożliwieniem dostępu do dzieła.

Edycja Troszyńskiego jest prawdziwie i przedziwnie teatralna, i to w sposób znamionujący znajomość praktyk współczesnej sceny. Możemy więc sami zobaczyć, jak ten tekst sprzed 180 lat daleko przekracza nasze wyobrażenie o dramacie i jak bardzo naiwna w jego świetle jest modna wciąż (choć wciąż niedoczytana) teoria „teatru postdramatycznego” Hansa-Thiesa Lehmana, który dopiero w drugiej połowie XX wieku odnalazł na scenach to, co Słowacki sto kilkadziesiąt lat wcześniej rozegrał na kartach swojego rękopisu.

Wieszcz pomnik

Tak zwany „Samuel Zborowski” to teatr o takiej jakości poetyckiej i zarazem niesamowitości, że gdyby istniał w jakimś innym, bardziej zrozumiałym i częściej używanym języku świata, byłby znany i komentowany równie często jak – nie przymierzając – „Ullises” Joyce’a. Nie tylko on zresztą. Powtarzam ciągle, więc powtórzę raz jeszcze: Juliusz Słowacki to obok Williama Shakespeare’a największy poeta dramatyczny Europy. Zdanie powtarzam, bo zawsze to robię, jak jest okazja, ale teraz nie chodzi mi o „promowanie” Słowackiego na świecie, tylko o rzecz bliższą i wartą przemyślenia tu i teraz: o to, co sami z nim zrobiliśmy i robimy. O to, jak skutecznie zapomnieliśmy o nim i o zabijającym go trudzie.

W każdym polskim mieście jest ulica lub plac Słowackiego, w wielu stoją jego pomniki. Naj-

bardziej porażający jest ten warszawski, ustawiony na placu Bankowym, w miejscu rozebranego w 1989 r. pomnika Dzierżyńskiego. Juliusz jest na nim przedstawiony jako ciało przemienione: postawny, z muskularną klatą odsłoniętą przez romantycznie udrapowaną pelerynę. Gdy zestawiam ten monument z historycznymi wizerunkami poety, to przypomina mi się Kapitan Ameryka: chuderlawy chłopiec, który na skutek eksperymentu stał się superbaterem. Takiego sobie wieszczą napompowaliśmy.

Cokół pod ten monument wznoszony był od drugiej połowy XIX w., kiedy Słowackiego wybrała trochę przeciwko Mickiewiczowi bardziej – jak to się dawniej mówiło – postępową część polskiej inteligencji. To z niej wywodził się największy jego adorator i inscenizator jego wieszczowości na skalę ogólnopolską – Józef Piłsudski. Znający Słowackiego na pamięć i chyba uważający się jednocześnie za kolejnego awatara Króla-Ducha,

Naczelnik uczynił z niego narodowego i państwowego poetę Polski niepodległej, przede wszystkim inscenizując jego wielki ponowny pogrzeb na Wawelu w roku 1927. Był to oczywisty akt polityczny (sprowadzenie zwłok poety rozegrane zostało jako przedstawienie scalające ponownie Polskę popękaną po zamachu majowym), ale też romantyczny nekroperformans, w którym zwłoki poety z woli jego duchowego następcy wywyższone zostały niemal do poziomu świętości. Jako wieszcz Niepodległej Słowacki musiał zostać oczyszczony z niejasności, splątania, sprzeczności. Musiał zostać poddany ujednolicającej nacjonalizacji i reedukacji.

To wtedy z pełnego wątpliwości Kordiana uczyniono bezkompromisowego patriotę, a „Księcia niezłomnego” obwołano po kraju przygotowując Polaków (proroczo i skutecznie niestety) na złożenie ofiary z siebie na ołtarzu Boga i ojczyzny. To wtedy rozpoczęło się zabójcze dla niego nauczanie, że „wielkim poetą był”, które w genialnym błysku wykorzystał Gombrowicz do profilaktycznego załatwienia konkurenta, któremu wiele zawdzięczał (przeczytajcie tzw. „Fantazego” i choćby „Iwonę, księżniczkę Burgunda”, a mam nadzieję, że zobaczycie, o co chodzi).

„Wielki poeta narodził się nam. Mamy wielkiego poetę” – według Stanisława Brzozowskiego takie słowa brzmiały w oklaskach po premierze „Wesela”, skutecznie zagłuszając atak Wyspiańskiego

na wspólnotę. Atak Słowackiego na nas też tak zagłuszyliśmy: na zatłoczonym placu wielki pomnik skutecznie odgradzany od życia sznurami samochodów.

Papuzie zaniechania

Kto wie – może był to konieczny odruch obronny? Słowacki jest fascynujący, ale i przerażający, co świetnie w swoich książkach o nim i z nim jako bohaterem pokazał i rozegrał Paweł Goźliński. Może jest tak, że jego okrucieństwo i mistycyzm to choroba, przed którą musimy się wszelkimi sposobami chronić, jeśli chcemy żyć jak „normalne europejskie społeczeństwo”? Może to samopoświęcenie, którego w swoim radykalizmie domaga się ustami Bukarego-Lucyfera, jest właśnie tym, czego powinniśmy się wyrzec? Może jego nieustanne nicowanie polskiej formy i ironiczne jej podważanie nie pozwala nam rozgościć się spokojnie w rezerwach naszej narodowej dumy i mocy, bez których wciąż nie jesteśmy tak pewni swoich racji, jak byśmy chcieli?

Zapomnieć o Słowackim, by żyć. Nawet rozumiem, ale odruchowo się nie zgadzam i do głowy przychodzi inny zapomniany poeta – Władysław Broniewski, piszący, że „poza Słowackim, Mickiewiczem / życie jest w ogóle niczem”. Bo jeśli go zapomnieć, to z czym zostaniemy? Z jego uładzoną i ucukrowaną wersją sponkowaną przez Sienkiewicza? Z czytankami o ślicznych chłopcach i dziewczętach dających się zabić, by „mały rycerz” odzyskał po latach prawdziwie wolną Polskę? Zresztą sprawa jest dużo prostsza: czy tego chcemy, czy nie, Słowacki jest ważną i cenną częścią naszego „narodowego dziedzictwa”. Zaniechanie pracy z nim i nad nim oznacza wyrzeczenie się tego, co już nas, ludzi mówiących językiem, w którym pisał, ukształtowało. To się już nie odstanie. Tego już nie od-doświadczymy. A na pewno nie jest to możliwe przez zapomnienie i wyparcie. Co wyparte – jak wiadomo – wraca. Staje w drzwiach potworem.

Sposób nieistnienia Słowackiego w dzisiejszej polskiej kulturze, a zwłaszcza w teatrze, uwyraźnia miejsce, w którym się znaleźliśmy jako społeczeństwo: operując nieustannie pojęciem „dziedzictwa narodowego” i „narodowej kultury”, działamy wbrew i przeciw nim. Nie znamy tego „dziedzictwa”, nie myślimy nim. Choć usta pełne mamy szacunku i frazesów o niepodległości, to niepodległości tej →

→ rdzenia i źródła, czyli polskiej kultury, nie ćwiczymy, nie stosujemy, nie rozmawiamy z nią. Owszem – czcimy od święta jej stereotyp, ale pracować z nią i nad nią systemowo i systematycznie nie chcemy.

Nie mogę nie zapytać, gdzie jest Narodowy Teatr Słowackiego – polski odpowiednik Royal Shakespeare Company, finansowany centralnie i zorganizowany planowo teatr pracujący stale i długofalowo nad dziełem tego wspaniałego dramaturga i tych, którzy – jak Wyspiański – na własny sposób je kontynuowali.

Zadawałem to pytanie i wiem, że wydaje się ono ekscentrycznym konceptem. Ale nie. Pytam serio: czy jest ktoś, kto na poważnie chciałby o takim teatrze pomyśleć, wziąłby się na serio za jego stworzenie i utrzymanie? Kto chciałby pracować nad odnowieniem języka Słowackiego i jego scenicznej mowy, byśmy go mogli usłyszeć w pełnym brzmieniu? Kto – z drugiej strony – byłby ciekaw co sezon nowych inscenizacji jego dramatów, tak żeby nie było pokolenia, które nigdy nie słyszało ze sceny „Fantazego” i „Księdza Marka”? Czy ktoś jest gotów to zrobić, skoro nie słysząc nawet nikogo, kto te pytania potraktowałby poważnie?

Jeśli nie ma, to o jakiej trosce o dziedzictwo narodowe mowa? Na czym buduje się uświęconą niemal narodową tożsamość? Na kwiatach składanych pod pomnikiem w rocznicę? Na narodowym czytaniu bez zrozumienia? Na totalnym odęciu się i uznawaniu za wroga każdego, kto nie czci tych samych genialnych strategów? I o jakim teatralnym konserwatyzmie się mówi, pomstując na „nowoczesny” teatr? O jakiej polskiej tradycji scenicznej? O jakim teatrze narodowym?

Cytuję:

*„O! smętny – o kochany!
Srodze ty oszukany...
Grób twój wygląda blade
Niby gmachów kaskadą
Cichą... a jednak grzmiącą:
W kraj cieniów i upiorów
Z całą tęczą kolorów –
Pod ziemię wlatującą.
I tak wiśi pochyła,
A stoi... jak mogiła”.*

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



Kadr z filmu „Whitney”

Scenariusz upadku

ANITA PIOTROWSKA

Filmowa historia Whitney Houston odstania wiele wątków: małej skrzywdzonej „Nippy”, nadwrażliwej artystki, dla której talent był przekleństwem, i gwiazdy, której nie wolno być sobą.

MÓGŁO TO BYĆ FILM O IKONIE CZARNYCH kobiet, której udało się wyjść z getta muzyki gospel i soul. Film o dziewczynie z kościelnego chóru, która w przeciwieństwie do swoich afroamerykańskich koleżanek, będących całe życie „o krok od sławy” (patrz: oscarowy dokument pod takim właśnie tytułem), stała się królową popu. I wszystko to znajdziemy w dokumencie Kevina Macdonalda. Ale ponieważ większość widzów doskonale pamięta, w jakich okolicznościach zmarła przed sześcioma laty

Whitney Houston, od początku bajeczna opowieść o niej naznaczona jest tym, co nieuchronne. Staje się wypełnieniem jakiegoś tragicznego planu i przy okazji oskarżeniem kultury popularnej, fabrykującej seryjnie swoich bożków, by zerować na nich aż do końca. A nawet jeszcze dłużej.

Macdonald nie jest pierwszym, który rozprawia się z mitami narosłymi wokół Houston, tyle że obnażając metodycznie jej legendę, wydobywa na wierzch różne jej wersje i niewypowiedziane dotychczas

traumy. Muzykująca rodzina z Newark, z matką śpiewającą ongiś w chórkach Arethy Franklin, ze sławną kuzynką Dionne Warwick oraz braćmi, którzy wspierali wokalistkę w jej drodze do sławy, daleka była od ideału. To najbliżsi podsunęli jej pierwszą torebkę „trawy” i kreskę kokainy – w prezencie urodzinowym. Od zawsze traktowano Whitney, zwaną pieszczotliwie „Nippy”, jak rodzinną inwestycję, w czym szczególnie zasłużył się ojciec piosenkarki.

I będzie to niejedyny podobieństwo do historii Amy Winehouse. Krokodyle łzy wylewane po latach przez krewnych stały się zresztą żelaznym punktem dokumentów o upadłych gwiazdach. Również wątek rasowy krzyżuje się tu przewrotnie z przypadkiem Amy, białej wokalistki o zachwycająco „czarnym” głose. Bo Whitney Houston w dokumencie Macdonalda jest podwójną zakładniczką swojej rasy: dla wielu Afroamerykanów ze względu na jaśniejszy odcień skóry pozostała „białaską”, a w końcu zdradczynią muzycznych korzeni; wobec białych starała się być doskonałym produktem ich wyobrażeń. O niej także, podobnie jak w głośnym dokumencie o Winehouse, ktoś powie, że „miała starą duszę” – jakby widmo rychłej śmierci gwałtownie przyspieszało wewnętrzny proces starzenia. Ona też będzie upadać i umierać na oczach kamer, przemielona i ośmieszona przez media w najbardziej tragicznych momentach swej biografii.

Przed wszystkim jednak reżyser „Marleya” wpisuje swoją bohaterkę w charakterystyczny pejzaż zachłystniętych konsumpcją lat 80. XX w. i początku następnej dekady. Nieodrodnymi dziećmi tamtej epoki byli Michael Jackson, Prince czy George Michael, również przedwcześnie zmarli. Macdonald pokazuje dramat artystki, której trudno było pogodzić się z faktem, że w czasach wszechwładztwa wizerunku, kultywowanego przez tabloidy i stację MTV, nie wystarczyło już mieć głosu „jak tornado”. Na dodatek, zgodnie z dominującą wówczas konserwatywną narracją, wszelkie kontrowersje, w tym odmienne skłonności seksualne (Whitney była przez lata związana ze swą asystentką Robyn Crawford), należało trzymać w tajemnicy.

Kilkakrotnie migawki z życia wokalistki mikсовane są z momentami charakterystycznymi dla epoki Reagana i Busha seniora. Widzimy, jak podczas gali

Super Bowl brawurowo odśpiewuje amerykański hymn, który w ustach czarnoskórej piosenkarki brzmi niczym manifest wolności, choć organizatorom miał służyć głównie do prężenia mięśni w związku z rozpoczynającą się wówczas wojną w Zatoce Perskiej. Takich chwil, gdy popkultura i polityka w jednym stały domu, jest w filmie więcej. Przebojem „I Will Always Love You” Whitney będzie wspierać w Johannesburgu prezydenturę Nelsona Mandeli, ale ten sam utwór wykorzystywał w wersji arabskiej Saddam Husajn podczas swojej kampanii.

Można zastanawiać się, na ile Macdonald zwalcza w swoim filmie mitotwórstwo, a na ile mu służy. Wszak „Whitney” wybija na pierwszy plan to, co wzbudza dziś największe emocje: problem molestowania seksualnego dzieci, odmiennosc ról płciowych (Bobby Brown nie mógł znieść życia w cieniu sławniejszej żony) czy wspomniane już kwestie rasowe. Zestawienie celebryckich materiałów i kręconych amatorską kamerą scen zakulisowych zawsze wywołuje niezdrową ekscytację, reżyser unika jednak epatowania kolejnymi „zgonami” Houston. Otrzymujemy dokument nakręcony klasycznie, wręcz zachowawczo, wedle sprawdzonych wzorców HBO czy Netfliksa, wyrażnie koncesjonujący sensację.

Reżyser zna bowiem reguły gry: w zamian za namaszczenie filmu przez bliskich nieżyjącego bohatera, za prawo do wizerunku i udostępnienie materiałów dotychczas niepublikowanych, twórcy zwykle godzą się na pewien artystyczny kompromis. Czy opłacał się on w tym wypadku? Zgromadzone przed kamerą „gadające głowy” chwilami stosują autocenzurę, mimo to filmowa historia Whitney odsłania wiele intrygujących wątków: małej skrzywdzonej „Nippy”, niezdolnej po latach do ochrony własnego dziecka, nadwrażliwej artystki, dla której talent, uznany zrazu za dar Boga, okazuje się przekleństwem, wreszcie – gwiazdy, która ma na koncie ponad 200 mln sprzedanych płyt, ale nie wolno jej być sobą. Ktoś powie, że to wszystko już było, lecz Macdonald nie ma ambicji odkrywania Ameryki. W historii Whitney interesuje go właśnie owa bezwzględna powtarzalność „amerykańskiego” scenariusza upadku. ©

WHITNEY – reż. Kevin Macdonald. Prod. USA/Wielka Brytania 2018. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 6 lipca.

1. Ania, nie Anna



Serial, reż. Helen Shaver i inni, Kanada 2018, sezon 2, Netflix

Udana, choć chwilami dość swobodna adaptacja powieści Lucy Maud

Montgomery doczekała się kolejnych dziesięciu odcinków. Rudowłosa Amybeth McNulty raz jeszcze wciela się w rolę Ani z Zielonego Wzgórza, która ponad sto lat temu stała się nowym wzorem „dziewczyńskości” i nadal kradnie serca swoich czytelników.

2. Wołyń



Dramat, reż. Wojciech Smarzowski, Polska 2016, TVP1, 8 VII, 20.10

Mija 75 lat, odkąd rozpoczęły się przedstawione tu wydarzenia. Twórca

„Domu złego” starał się przywrócić pamięć o rzezi wołyńskiej, ale także ostrzec współczesnych przed nacjonalistycznym zacietrzewieniem czy instrumentalizowaniem religii. Angażując aktorów polskich i ukraińskich, pokazując rozmaite oblicza konfliktu, myślał o filmie, który będzie łączył, a nie dzielił. Stworzył silnie grające na emocjach wojenne widowisko.

3. Nie jestem czarownicą



Dramat, reż. Rungano Nyoni, Francja/Wielka Brytania 2017, Cineman VOD

Urodzona w Zambii walijska reżyserka powraca w rodzinne strony, by opowiedzieć o dyskryminacji i eksploatacji afrykańskich kobiet, choć robi to w przewrotnym, surrealistycznym tonie. Bohaterką nagradzanego debiutu jest ośmioletnia dziewczynka, która trafia do obozu dla „czarownic”, zmuszanych do niewolniczej pracy fizycznej i wykorzystywanych jako turystyczna atrakcja.

4. Photon



Dramat/science fiction, reż. Norman Leto, Polska 2017, Showmax

Zwycięzca zakończonego niedawno festiwalu Młodzi i Film to jeden

z najoryginalniejszych polskich tytułów ostatnich lat. Jego twórca, związany głównie ze środowiskiem sztuk wizualnych, połączył kino fabularne z popularnonaukowym esejem, skłaniając do refleksji nie tylko nad naturą wszechświata, ale również nad kondycją współczesnego naukowca.

Lektor:

Starość i Eros



■ Jun'ichirō Tanizaki

DZIENNIK SZALONEGO STARCA

Przełożył i posłowiem opatrzył Mikołaj Melanowicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018, ss. 200.

„GDY PRZED SNEM PRZYGLĄDAM się sobie w lustrze po wyjęciu sztucznych zębów, widzę twarz naprawdę przedziwną. W górnej i dolnej szczękę nie mam ani jednego własnego zęba. Nie ma też dziąseł. Kiedy zamykam usta, wargi zachodzą płasko na siebie, a nos zwisa tuż nad nimi i omal nie dotyka brody”. Dziennik, który prowadzi Tokusuke, 77-letni senior zamożnej rodziny, to kronika niedomagań

podeszłego wieku i zabiegów, które mają je ograniczyć, chłodny opis newralgicznych dolegliwości, skoków ciśnienia i narastającego zniedołężnienia, a nawet długa lista przyjmowanych leków. Jest to zarazem równie szczegółowa kronika ostatniej miłości. Obiektem podszytego masochizmem i fetysyzmem uczucia staje się synowa, piękna Satsuko, niegdyś tancerka rewiiowa, kobieta no-

woczesna. „Jest nieco złośliwa i uparta. Trochę też cyniczna. I trochę zakłamaną” – notuje narrator. Satsuko wie o erotycznej namiętności, jaką żywi do niej Tokusuke. Oszczędnie dawkuje swoje względy, czerpiąc w zamian spore korzyści (modna i droga torebka, wyjątkowo cenny klejnot), a gra, która między nimi się toczy, jest czytelna także i dla innych domowników. Równocześnie – dowiadujemy się o tym z dołączonych na końcu notatek pielęgniarzki, lekarza i jednej z córek – rozumieją oni, że to właśnie ta namiętność podtrzymuje bohatera przy życiu. Niedowiarek i epikurejczyk, pogodzony z perspektywą rychłej śmierci, nawet przygotowania do niej łączy z osobą Satsuko – chce, by na jego kamieniu nagrobnym wykuto ślady stóp Buddy, które w rzeczywistości będą odciskiem stóp ukochanej...

Jun'ichirō Tanizaki (1886–1965) był jednym z najwybitniejszych pisarzy Japonii minionego wieku, a sławę przyniosły mu zarówno własne książki, jak i przekład na współczesny japoński klasycznej powieści z XI wieku, „Genji-monogatari” damy Murasaki Shikibu. U nas przetłumaczono kilka powieści Tanizakiego („Ashikari” i „Shunkinshō”, czyli „Dwie opowieści o miłości okrutnej”, „Tajemna historia pana Musashiego”) oraz esej „Pochwała cienia”. Wydany w 1962 r. (w Polsce po raz pierwszy 10 lat później) „Dziennik...” to dzieło przedśmiertne, przekuwające zapis własnego doświadczenia w świetną literaturę, a zarazem przewrotne ukoronowanie budowanej przez pisarza mitologii kobiety. ©®



**Book's
not dead**

Jacek Dukaj gościem podcastu „Tygodnika Powszechnego”



Moje licealne doświadczenie z polskim przekładem Conrada było takie, że uznałem jego tekst za styropian słowny, który zatyka wyobraźnię i nic więcej. Lektura oryginału „Heart of Darkness” po latach była odkryciem, jakbym czytał zupełnie inną książkę.

Zadziałała na mnie wtedy tak – choć nie do końca rozumiem dlaczego – jakbym spotkał przyjaciela, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy ani nie słyszałem, ale od pierwszego zetknięcia, wymiany spojrzeń poczułem, że istnieje tu pokrewieństwo, łączność duchowa, że on przez samo swoje istnienie wypowiada więcej o mnie, niż sam jestem w stanie o sobie powiedzieć – mówi pisarz Jacek Dukaj, gość nowego odcinka podcastu „Book's not dead”.

Odcinka mogą Państwo wysłuchać na stronie www.TygodnikPowszechny.pl lub na soundcloud.com/booksnotdead.

By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „OBSERWUJĘ/FOLLOW”

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Stuchaj w
Apple Podcasts

SOUNDCLOUD

PAWEŁ

Bravo:

Z przepisu i na oko



„CÓŻ ZNACZY CZŁOWIEK BEZ PAPIERÓW? NA pewno mniej niż papiery bez człowieka” – pocztówka z cytatem z Josepha Rotha towarzyszy mi jako jeden z paru przedmiotów, tarki do parmezanu i maszynki do

kawy, gdziekolwiek prostokąt podłogi nazwę swoim domem. Na zdjęciu Roth siedzi z tułaczym przygarbieniem na walizce, w przestrzeni między wagonami, w przeczuciu tego, jak skończy się krótka faza kruchego pokoju, którego Europa wówczas zażywała. Umasowienie życia miało zaraz doprowadzić do jeszcze sprawniejszego umasowienia śmierci. Nowoczesna biurokracja nadająca człowiekowi numer i pieczęć jako warunek istnienia jest nieodłączną częścią tej przemiany.

Żeby to tylko dotyczyło ludzi! Bolesnie przekonała się o tym Penka, bułgarska krowa, która w maju samowolnie oddaliła się z przygranicznej łąki. Serbscy wieśniacy ją zidentyfikowali (dzięki klipsowi z numerem w uchu) i odstawili na granicę. Bułgarskie urzędy chciały ją zabić, nie miała wszak papierów sanitarnych, wszystko w najświętszej zgodzie ze wspólnotowymi przepisami. Nie pomogło tłumaczenie, że przepisy są potrzebne, żeby chronić naszą oazę np. przed chorobą wściekłych krów, ale w tym wypadku rozsądek podpowiadał, że nie ma zagrożenia. Podniosło się larum na cały kontynent, zorganizowano petycje i kampanie. Z dobrym skutkiem, na szczęście.

Krowa tak czy siak trafi pod nóż, jak nie teraz, to za trzy lata. Ale w tym samym czasie codziennie aż piszczą od przykładów bezmyślnego stosowania przepisów.

W imię świętości życia prywatnego Unia wprowadziła nowy system ochrony danych osobowych. Każdy słyszał o groteskowych przebiegach, które nadgorliwi ludzie czynią, żeby na wszelki wypadek respektować prawo z nawiązką, choć nie rozpoznając jego ducha. Można się zżymać na głupców, którzy np. nie odczytują przy klasie listy obecności, ale ich ograniczone zdolności poznawcze, lenistwo czy oportunistyczny nie są tu głównymi winowajcami. Zawinili ci, którzy napisali prawo mętne, dające pożywkę tym oczywistym przecież ludzkim przywarom. Roztropna władza powinna brać pod uwagę, dla jakich poddanych pisze przepisy.

Od polityków i wyższych szarż urzędniczych trzymam się jeszcze dalej niż od wściekłych krów, ale z przepisami mam do czynienia na co dzień. Przekazywanie kuchennej wiedzy zawsze się czyni, mając na oku smaczny rezultat i rozkosz posiłku (niech mi wybaczą autorzy przegadanych strumieni świadomości z serii „Narcyz z durszlakiem”), stąd balansuje ono między przestrzeganiem podstawowych zasad a twórczym ich przełamaniem. Między uświęconą przez pokolenia regułą a odstępstwami, podyktowanymi tym, jak zmieniają się składniki, narzędzia i oczekiwania żywieniowe. Między bezpiecznym prowadzeniem ucznia za rękę i przełamywaniem jego nabytych

złych nawyków a wiarą, że prawie każdy ma w sobie dość intuicji, żeby wiedzieć, kiedy się urwać spod nadzoru... a jeśli nawet nie dojdzie dokładnie tam, dokąd go mieliśmy zaprowadzić? No cóż, ważne, żeby był zadowolony.

Najtrudniej mi zawsze odpowiadać na pytanie: czy ilości są takie ważne? Nie wystarczy sypnąć na oko? Największy rygor, godny bułgarskiej inspekcji weterynaryjnej, trzeba zachować przy ciastach z drożdżami lub zakwasem, gdzie udział niepodających się standaryzacji czynników (gatunek bakterii, wilgotność, twardość wody...) i tak powiększa szanse, że coś pójdzie nie tak. Warto pilnować ilości cukru, w wielu słodkich przepisach nie możemy dać go za mało, bo oprócz smaku ma on ważne działanie wiążące. Kolejna ścieżka, której trzeba się trzymać dość ściśle, to ilość oliwy lub innego tłuszczu, na którym smażymy i dusimy: brak wprawy często skłania nas, żeby z tym tłuszczem przegiąć, bo to nas uchroni przed przypaleniem, podczas gdy w rozsądnie kontrolowanym przypaleniu tkwi sekret reakcji Maillarda, matki wszystkich dobrych smaków. Podobnie gdy podlewamy coś winem, ciągle walczę z przesadą (wiadomo: Polak mało wypić nie lubi). Kiedy jest napisane „kieliszek”, to nie chlujmy pół butelki, alkohol w nadadku zabija danie goryczą. Odwrotnie zaś z wodą na makaron: może niekoniecznie musi być sakramentalny litr na sto gramów, ale jeśli damy wody połowę, to nie miejmy pretensji, że kluchy źle wyszły.

Takich dość sztywnych nakazów i norm jest jednak skończona liczba, reszta procesu opiera się bardziej na tym, co i jak się opłaca robić, żeby osiągnąć efekt z wszelkimi możliwymi wariantami. Ale może nie powinienem tego mówić za głośno, bo jako kucharz bez dyplomu nie mam prawa was namawiać, byście działali tak, jakbyście pogubili wszystkie papiery. ©P

Cóż podać na obiad w dniu, kiedy się chwije niemiecka koalicja, a wraz z nią nadzieje na dalsze trwanie naszej nudnej belle époque? Klops! Ale włożymy do niego odrobinę zieleni, jako kolor nadziei. Ok. 3/4 kg mielonej, nie bardzo chudej wołowiny (np. z łopatki lub karku) mieszamy z 1 jajkiem, 50 g startego parmezanu, garścią bułki tartej, dajemy sól i pieprz, dodajemy ostrej papryczki, jeśli kto lubi. Na blasze pokrytej papierem do pieczenia rozkładamy „dywanik” z cieniutkich plasterków bekonu, zachodzących na siebie. Na to układamy mięso w prostokąt o grubości ok. 1,5 cm, nie dochodząc do brzegów bekonu. Kładziemy na to parę cienkich plasterków szynki i żółtego sera oraz sypiemy 100 g listków młodego szpinaku. Delikatnie rolujemy mięso z nadzieniem, najpierw samo, bez bekonu, następnie podnosząc papier rolujemy jeszcze raz, tak żeby bekon owinął klopsa. Pieczemy w ok. 200 stopniach przez ok. 45 minut, aż bekon się mocno zrumieni czy nawet spali (nie trzeba go jeść, ważne żeby oddał smak i tłuszcz).





CHOROBA NA MORZE

MATEUSZ JANISZEWSKI, LEKARZ, PISARZ, PODRÓŻNIK:

Po wielkiej wyprawie wraca się do cywilizacji i trzeba pogodzić się z tym,
że jest się zwyczajnym człowiekiem.
Heroizmem jest właśnie to, że się wraca i żyje dalej.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy nazwa „Zimorodek”
wzięła się z tego, że jacht jest malutki?

MATEUSZ JANISZEWSKI: Rzeczywiście, Dar Młodzieży to nie jest. Jednak 45-stopowy stalowy kecz, zbudowany w 1978 r. w duńskiej stoczni, na pewno nie jest malutki. O nazwę trzeba by zapytać pierwszego właściciela jachtu. Zarejestrowany jest jako s/y Isfuglen. Tłumaczy się ją właśnie jako zimorodek, ale po duńsku znaczy też stalowego bądź żelaznego ptaka. Jest taki że-

glarski przesąd, że nazw jachtów się nie zmienia, więc tak już zostało. A nazywamy go okazjonalnie Zimorodkiem, by nie łamać sobie języka na duńskiej wymowie.

Jakie są jeszcze morskie przesady?

Listów z morza nie można pisać, wozic na pokładzie kwiatów, gwizdać, póki się nie opłynie Hornu, używać parasoli, wpisywać miejsca docelowego w dzienniku.

Jacht jest teraz w rękach trzeciego właściciela, Artura Krystosika, i to on jest *spiritus movens* wszystkich naszych wypraw. Jego zapał i osobowość sprawiają, że zebrała się grupa kapitanów, fundament społeczności skupionej wokół Zimorodka.

Co jest szczególne w zimorodkowym środowisku, to fakt, że dla przytłaczającej większości tych kapitanów żeglarstwo nie jest sposobem na zarabianie pieniędzy, tylko sposobem na życie. Organizowane przez Artura wyprawy nie są przedsięwzięciami komercyjnymi – składamy się na jedzenie, utrzymanie jachtu, ale zysku armator z tego nie ma.

Mieliście ambicje, by Zimorodkiem dotrzeć tam, gdzie udało się w roku 1914 Ernestowi Shackletonowi?

Nie. Antarktyda nie była naszym celem, kierowaliśmy się na Georgię Południową, ruszając śladami przekutej w sukces porażki wyprawy statku *Endurance*.

Statek Shackletona został uwięziony w lodach, a następnie zmiądzony przez krę. Załoga podjęła próbę powrotu do cywilizacji, ciągnąc za sobą szalupy ratunkowe. W końcu znaleźli się na Wyspie Słoniowej, nieprzyjaznym skrawku lądu z dala od ludzkich osiedli. Wyspa jest nieprzystępna, skuta lodem, o jej brzegi rozbijają się rozszalałe morskie fale. Dla Shackletona najważniejsze było uratować swoją załogę. Pozostawiając za sobą większość rozbitków, wyruszył po pomoc w stronę Georgii Południowej. Płynęli przez najbardziej niespokojne wody świata niewielką odkrytą łodzią. Za całą pomoc nawigacyjną mieli prosty sekstant i zegarek.

Ci ludzie nie mogli przypuszczać, na jaką skazują się udrękę. Pan też inaczej wyobrażał sobie swoją wyprawę.

Podczas wyprawy Zimorodkiem zrozumiałem, jak bardzo nasze oczekiwania muszą rozminąć się z tym, co nas spotyka. Po prostu – muszą! Od tej pory z większym spokojem będę przyjmował rzeczy, które przychodzą w trakcie podróży. Wyruszając, liczyłem trochę na to, że dzięki niej wszystko poukłada się w całość.

W książkową całość? Udało się to Panu w „Ortodromie”?

W życiową całość. Wyruszałem w tę podróż z przeświadczeniem, że jak dotrę do jej kresu, to spłynie na mnie niebiańskie światło, które rozświetli moją egzystencję. Trochę sobie z tego w „Ortodromie” kpię.

W ogóle ta książka miała być o czymś innym – o przechadzce nad Bajkał, wyprawie, która w końcu się nie odbyła. Pomysł zrodził się z fascynacji splotem pomiędzy literaturą a pieszymi wędrówkami.

Jakim splotem?

Chodzi o to, że nieliniarna opowieść odnajduje swoją strukturę w bardzo realnym wymiarze. Trochę tak jak w „Pierścieniach Saturna” Sebalda, książce, która głęboko mną poruszyła. I jeszcze Wolfganga Büschera „Berlin-Moskwa. Podróż na piechotę”, opowieść o niepisarzu, który przez trzy miesiące marszu staje się pisarzem.

MATEUSZ JANISZEWSKI (ur. 1975) zajmuje się ortopedią i chirurgią urazową. Pracował m.in. w Timorze Wschodnim i w Tybecie. Od kilkunastu lat publikuje książki i opowiadania, a także tłumaczy. W 2014 r. w Czarnem ukazał się „Dom nad rzeką Loes”, pierwsza jego książka wydana pod własnym nazwiskiem i wyróżniona Nagrodą im. Beaty Pawlak. Jego nowa książka, „Ortodroma”, ukazała się właśnie nakładem Znaku.

A ja chciałem wyjść z mojego mieszkania w Krakowie i dojść nad brzeg Bajkału. Obliczyłem, że będę szedł około dziesięciu miesięcy. W tej podróży ważna miała być ciągłość między domem a miejscem, do którego trafiam. Chodzi o doświadczenie, że cały świat jest na progu mojego domu.

Ten świat był wciąż na progu w czasie rejsu Zimorodkiem w stronę Antarktydy?

Książka przede wszystkim jest o tym, jak rozpadam się pod naporem podróży.

Jak rozpadają się moje wyobrażenia, jak wkłada się zmęczenie, choroba. Wszystko to składa się na to, że gdy podróż się kończy, jest się innym człowiekiem. Jak w szamańskiej przemianie, w której trzeba doświadczyć zniszczenia siebie samego, by zyskać nową wiedzę. Odnoszę wrażenie, że jest to doświadczenie wielu osób, które wyruszają w podróż. Pod warunkiem jednak, że pozwolą najpierw odejść swoim wyobrażeniom, że ich się kurczowo nie trzymają przerażeni tym, co z nimi się stanie po rozpadzie.

Pan mówi o rozpadaniu się, a ja czytam w „Ortodromie”, jaki wysiłek wkłada się w najprostsze czynności, choćby w ubieranie się.

Ubierasz się, by móc się znaleźć we wrogim środowisku. Może nie jest to ten poziom niebezpieczeństwa jak w przestrzeni kosmicznej, gdzie jak nie dopniesz kombinezonu, możesz się udusić, bo na zewnątrz nie ma tlenu. Ale na oceanie musisz mieć pancerz – sztywny, gruby, niewygodny. Zakładasz na siebie kolejne warstwy – gumowe rękawice, kalosze, kaptury, gogle – wszystko musi być podciągane paskami, niemal hermetyczne, bo woda potrafi wedrzeć się w każdą pozostawioną szczelinę. Ubranie ma chronić przed wilgocią i zimnem, jest w nim w miarę ciepło, ale wystarczy się poruszyć i człowiek zlewa się potem. Najtrudniejsze jest podobno pierwsze dziesięć lat zakładania tego gówna.

W porównaniu z wyprawą Shackletona rejs Zimorodkiem odbywa się w warunkach komfortowych.

Mimo że nasza podróż była nieporównywalnie bardziej komfortowa, z podróżą Shackletona łączyło ją to szczególne miejsce na ziemi, gdzie nie można oczekiwać pomocy od nikogo. Gdy wyruszasz na Georgię Południową, trzeba zgłosić się po pozwolenie do lokalnej administracji i napisać, co zrobisz, jeśli coś się stanie, w jaki sposób sam sobie zapewnisz pomoc. Administracja wyspy wydając pozwolenie wyraźnie podkreśla, że na miejscu nie udzieli nikomu żadnego wsparcia.

Zdumiewa to, że z wyprawy Shackletona wrócili wszyscy. Ale wkrótce pięciu z tych marynarzy zginęło na froncie I wojny. Stawili czoło niewyobrażalnej potworności pustkowia, a okazało się, że ich heroiczny wyczyn jest niczym w starciu z wojenną rzeczywistością.

Jakby ścigał ich los.

Wtedy samym już nawigacyjnym wyczynem była wyprawa szalupami z Wyspy Słoniowej na Georgię Południową bez przyrządów nawigacyjnych. Przez kilkanaście miesięcy ci ludzie nie

→ zmieniali skórzanych płaszczy i wełnianych kombinezonów nasiąkniętych wodą. Jak się zobaczy miejsce, gdzie rozbitkowie oczekiwali na pomoc, półwysep na Wyspie Słoniowej, gdzie rozbili obóz czekając na odsiecz, którą sprowadzić miał ich dowódca, trudno uwierzyć, że mogło się tam zmieścić pięciu ludzi, a przecież mieszkali ich tam dwudziestu pod odwróconymi do góry dnem szalupami, w ciemnościach, bo świateł mieli niewiele.

Gdy rozbitkowie dotarli na Wyspę Słoniową, oddali się orgii zabijania.

Jakby przemoc była czymś, co przywraca im człowieczeństwo. Ciekawe, że ta historia nie jest wyrażona wprost w pamiętnikach Shackletona. Ona gdzieś tam przemyka. Wyładowali na wyspie i przez kilka godzin dokonywali rzezi fok leżących na plaży. Nie zrobili tego wyłącznie dlatego, że byli głodni – to był potężny wybuch nagiej agresji. Może w ten sposób chcieli odzyskać kontrolę nad naturą, która mogła im odebrać życie.

W „Ortodromie” pisze Pan o opuszczonej osadzie rybackiej na Georgii, gdzie znajdują się ruiny przetwórnicy wielorybów, fabryce śmierci. Przez cały okres działania stacji wielorybnych w okolicach wyspy upolowano prawie 200 tys. wielorybów. Dopiero w połowie lat 80. zarządzono całkowity zakaz komercyjnych połowów wielorybów.

A w latach 90. powstał projekt zbudowania symbolicznego grobu zabitych ssaków w postaci porzucanego szkieletu walenia zespawanego z fragmentów tej fabryki. Dla mnie to trudne do zrozumienia – wśród stworzeń, które spotkałem w swoich podróżach, wieloryby sprawiły na mnie wrażenie najbardziej świadomych. Kiedy spogląda się w ich oczy, trudno oprzeć się myśli, że nawiązuje się kontakt z istotą nieludzką, ale z pewnością świadomą. Z tego też powodu ruiny fabryk na Georgii są jeszcze bardziej wstrząsające. Jest w nich coś rytualnego: platformy, na które wciągano martwe cielska walen, wyniesione na słupach wyglądają jak świątynie, w których dokonywało się krwawych ofiar. Z drugiej strony tkwi w tych złomowiskach coś złowieszczo mechanicznego – jakby przepowiadały bezdusność nadchodzącego Holocaustu. Porzucane mechanizmy, których jedynym celem było zabijanie pozbawione emocji.

W „Domu na rzekę Loes”, poprzedniej Pana książce, też sporo miejsca zajmuje morderczy instynkt człowieka.

Nie mam pojęcia, skąd bierze się ta wszechobecna przemoc. Ostatnio oglądałem dokument o najbardziej agresywnej spośród odkrytych do tej pory społeczności szympanów. Jej skuteczność i dynamika zasadza się na okrutnych polowaniach na małpiatki. Te zachowania nie są potrzebne do jednostkowego przetrwania, są natomiast narzędziem tworzenia i scalania więzi społecznych. Oglądając małpy z Ngo, trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie takie zachowania najbardziej upodabniają je do ludzi. W zorganizowanych aktach przemocy zaczyna się wytwarzać człowieczeństwo. Społeczeństwo wyklucza się z tego, że organizowaliśmy się do polowań, do agresji. To część kręgosłupa cywilizacji. Kiedyś prowadziłem w Poznaniu wykład i jeden z obecnych doktorantów zauważył, że szympansy bonobo tworzą społeczne struktury, które na przemoc się nie opierają, argumentując w ten sposób, że możliwe są społeczeń-

stwa bez przemocy. Nasz gatunek jednak ewolucyjnie jest ku przemocy predysponowany – *Homo sapiens* wybił do cna *Homo neandertalis*. Wytrzebił wielkie lądowe ssaki i w końcu, gdy wszedł w posiadanie odpowiedniej technologii, mógł swoją potrzebę zniszczenia wyładować na wielorybach. Takie preludium do ludobójstw XX i XXI wieku. Przemoc wpisana jest w nasze człowieczeństwo.

W czasie rejsu Zimorodkiem myślał Pan, że ma już dość?

Kiedy przepływałem przez Cieśninę Drake’a, cały czas o tym myślałem, bo to trudny kawałek morza. To tak, jakby włożyć siedem osób w dużą pralkę i odpalić ją na czterysta obrotów. I gdy ona tak wiruje, okazjonalnie zrzucać ją z czterech metrów w dół i znów podnosić, po to by za chwilę znów nią cisnąć o wodę, która przy takim uderzeniu staje się twarda jak beton. Dodatkowo wymęczyła mnie choroba morska. Wszyscy sobie myślą, że polega ona głównie na rzyganiu, ale rzyganie to wybawienie. Najgorsze jest wszechogarniające poczucie niemocy. Początkowo nie ma się objawów, niezauważalnie traci się wolę życia. Człowiek mógłby być lepiej zbudowany do morskiej podróży; wieloryby radzą sobie z tym o wiele lepiej. To jednak nie jest nasze naturalne środowisko.

A jednak ciągnie Pana do tego nienaturalnego środowiska.

Ludzie, którzy wybierają się na takie wyprawy, noszą w sobie poczucie niedoskonałości, dotkliwego braku. Chodzi o to, czego mi brakuje? Nie udzielam takiej odpowiedzi. Mogę tylko wskazać, że jest to nieuchwytna cząstka – niektórzy nazywają ją Bogiem, inni jego brakiem i nieuchronnością śmierci rozumianej jako nieodwołalne nieistnienie.

Litości... Każdy podróżnik opowiada o przemijaniu i Bogu. Pan o śmierci wie wiele więcej niż każdy z nas. Jako młody człowiek chorował Pan na raka, diagnozy były bardzo kiepskie. Zorganizował Pan nawet pożegnalną imprezę dla przyjaciół.

Ci, którzy boją się śmierci, nie będą nigdy potrafili cieszyć się życiem.

Uffff...

Na Wyspie Słoniowej poraził mnie spektakl nieustającej śmierci. To było przytłaczające – czuło się zbędność życia. Pin-gwiny zabijane przez orki – mord za mordem. Dzień w dzień.

Ciągnie Pana do przekraczania takich ekstremów, do doznawania tak mocnych wrażeń?

Wyprawa Zimorodkiem nie była szczególnie ekstremalna – są ludzie, którzy tę granicę przepychają dużo dalej. Nie szukając daleko – polska wyprawa na K2, akcja ratowania Tomka Mackiewicza i Elisabeth Revol, tytaniczna wspinaczka Adama Bieleckiego i Denisa Urubki – to wszystko jest opowieść o półherosach, gra o niemal mitologicznych wymiarach. Ja raczej piszę w swojej książce o zwyczajności, o tym jak w obliczu śmierci łgniemy do życia. Nie przepychamy się w krainę nieśmiertelności, lecz pozostajemy śmiertelnikami. O tym mówi zawarty w książce cytat z „Moby Dicka” Melville’a. Ktoś pyta Pelegę, czy myśleli o śmierci, gdy był sztorm. On na to wykrzykuje: „Jakiej śmierci! Tam się trzeba było ratować, o życiu się wtedy myśli!”

I?

I może w ten sposób radzimy sobie z obecnością śmierci – musimy się wepchnąć tam, gdzie nie ma miejsca, by myśleć o końcu naszej egzystencji. Wojciech Kurtyka napisał świetną książkę „Chiński maharadza”, o tym jak przechodził bez asekuracji skomplikowaną drogę wspinaczkową w Dolinie Bolechowskiej, nieopodal Krakowa. Człowiek, który zrobił potwornie trudne drogi w wysokich górach, chciał to doświadczenie wyrazić opowiadając o czymś, co się działo kilkanaście kilometrów od jego domu. Na pewien sposób jest to absurdalne: z jednej strony wiemy, że idzie jakiś facet, nawet nie przywiąże się liną, jak popełni najmniejszy błąd, to umrze. Ale z drugiej strony widzi się pełnię życia, jego afirmację.

Hmm...

Tylko w takim granicznym geście tę śmierć się jednocześnie neguje i akceptuje.

„Ortodroma” traktuje o przygodzie, o wspólnocie mężczyzn i o pokonywaniu słabości. Zadeedykowałeś ją ojcu.

Bo on mnie nauczył żeglować, gdy miałem cztery lata. Ale wbrew pozorom książka jest o tym, jak się nie osiąga celu, co raczej nie uchodzi za męskie. Wyprawa nie dociera do Antarktydy, a na Georgii Południowej wcale nie jest tak niebezpiecznie. I po tym wszystkim wraca się do cywilizacji, gdzie trzeba pogodzić się z tym, że jest się zwyczajnym i nikt na ciebie nie czeka. Heroizmem jest właśnie to, że się wraca i żyje dalej. Część ludzi w trakcie podróży szuka różnic, pragnie zobaczyć coś innego, poszukuje egzotyki. A ja widzę, że w każdym zakątku ziemi porządek spraw jest zawsze ten sam – ludzie rodzą się, umierają, mają domy, starają się przeżyć. Niektórzy robią to na pokładzie jachtu, inni w warunkach ekstremalnych, bo w świecie, gdzie panuje głód, panoszy się wojna, jeszcze inni starają się przetrwać w bardzo skomplikowanym układzie społecznym w Hollywood. To jest refleksja, która do mnie przyszła po wyprawie Zimorodkiem. Inaczej mówiąc, możemy starać się wy-

bijać ponad przeciętność, ale koniec końców wszyscy jesteśmy bardzo do siebie podobni.

A ja uważam, że trzeba mieć nieprzeciętne predyspozycje, by popłynąć w taki rejs.

Zamiast słowa „nieprzeciętne” użyłbym „nieoczywiste”. Na pokładzie sprawdza się powściągliwość – to nie jest przestrzeń do dzielenia się emocjami. Rytm życia wyznacza schemat wacht – cztery godziny sterowania, nawigacji i osiem godzin odpoczynku. Powoduje to, że poniekąd żyje się osobno, każdy chowa się do swojej koi. Jacht to mała przestrzeń, na której zgromadzonych jest dość dużo ludzi pod olbrzymią presją – istotna jest więc umiejętność niewchodzenia w konflikty. Większość załogi Zimorodka żyła się ze sobą w poprzednich rejsach; pewna pozytywna psychologiczna masa krytyczna została przekroczona. Tworzyliśmy zgrany zespół, który w większości nie potrzebuje się nawet komunikować, by sprawnie rozwiązywać powstające problemy. Ale słyszałem też o rejsie, w którym to dziewczyny dały sobie po mordzie. Nie wiem – może mężczyznom łatwiej powściągnąć emocje...

Trzy lata minęły od rejsu Zimorodkiem. Co od tego czasu zmieniło się w Pana życiu?

Muszę częściej się golić, bo mi posiwała kępkami broda, i po kilku dniach wyglądam jak Jack Nicholson w filmie „Schmidt”. Kilka dni temu wróciłem z rejsu Zimorodkiem z Panamy na Jamajkę – przeprowadzałem jacht przez Kanał Panamski w jego drodze powrotnej z kolejnej wyprawy na Antarktydę, w której nie brałem już udziału. I wracając z Kingston przez Kanadę samolotem, uświadomiłem sobie, że muszę zmienić paszport. W wielu miejscach na świecie stoją teraz elektroniczne bramki paszportowe – przez żadną z nich nie udało mi się przejść. Wtedy idzie się do urzędnika paszportowego. Zapytałem: „Czemu mnie te cholerne bramki nie puszczają?”. On spojrzał w mój paszport i powiedział: „No, troszkę się zestarzałeś...”.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Wyprawa Shackletona – łódź wyrusza z Wyspy Słoniowej na Georgię Południową. Fotografował prawdopodobnie Frank Hurley.



STANISŁAW

Mancewicz:

Która godzina?



TO OCZYWISTE, ŻE NA TEMAT PIŁKI NOŻNEJ nie mamy nic mądrego do powiedzenia, ale na temat strzelania goli – owszem. By wyrazić się precyzyjniej – mimo licznych zgrzybień i otyłości, wobec zaniku skoczności, szernienia komórek szarych i licznych podpróchnięć wciąż jeszcze rozróżniamy samobóję od gola strzelonego komuś. Właściwie od zawsze rozumieliśmy, czym jest sukces bądź porażka, zastanowiwszy się nad tymi parametrami głębiej, doszliśmy do olśniewającego wniosku, że ich pojmowanie jest po prostu zmysłem, podobnym smakowi i węchowi. Słowem, rozróżnienie, czy coś ma słodki smak sukcesu czy jest w nim gorycz porażki, to niezbędne elementy dla oceny rzeczywistości. Naturalnie i mózg robi człowiekowi psikusy, i jakże często człowiek człowiekowi czyni wodę z mózgu.

Skoro ustaliliśmy już te elementarne założenia, możemy bez krępacji przejść do analiz sukcesów w rozumieniu tutejszym. Nie jest to zadanie proste, podobnie jak zapewne nie jest łatwe orientowanie się przez Diega Armanda Maradonę, która jest akurat godzina. Każdy ciekawy świata widział w telewizji, że nosi on dwa zegarki. Z dojmującej mowy jego ciała i wyrazu twarzy łącznie można mniemać, że pokazują one inne godziny. Ponieważ Maradona – ongiś zwany przez naszych komentatorów sportowych Maradonną – był bogiem (a może właśnie boginią) naszej młodości, ponieważ mamy do niego stosunek więcej niż ciepły, w ramach eksperymentu o charakterze bodaj psychoneurologicznym spędziliśmy cały dzień z czterema zegarkami. Dwoma na rękach i także dwoma na nogach. Każdy pokazywał inną godzinę. Bez obaw – rodzinie wytłumaczyliśmy szczerze, że nie jest to powód do wzywania pogotowia ani reagenta, lecz zaawanso-

wane doświadczenie naukowe, które umożliwi nam odniesienie sukcesu podczas rychłego występu na krakowskim festiwalu naukowym Copernicus. Tako bezpieczni oddaliśmy się pożywnym obserwacjom naszych zaburzeń fizjologicznych i zmian w postrzeganiu rzeczywistości w mniemaniu, co jest sukcesem, a co nie. Na wstępie ustaliliśmy, że sukcesem jest już sam odczyt z cyferblatów, porażką zaś stan pomieszenia.

Dla każdego mającego w pamięci opinię Protagorasa, że człowiek jest miarą wszechrzeczy, co znaczy plus minus tyle, że kryterium tego, co jest prawdziwe, zależy od indywidualnej opinii, aż cztery równoczesne wskazówki, która oto jest godzina, muszą być demolujące. Oparcie się na tzw. zegarze biologicznym jest marną pociechą wobec niepokoju wywołanego zmianami danymi. Także uśrednienie danych – dla spokoju ducha – w tym przypadku, jest pomysłem co najmniej beznadziejnym. Konsekwencją walki z wewnętrzną demolką musi być jakiś rodzaj ucieczki. Mamy tu na myśli odpędzenie indywidualnych mniemań, wysiadkę z karuzeli obserwacyjnej, stłuczenie owego sławnego szkiełka i wydłubanie sobie oka, a najlepiej obu. Zostaje oddanie się jakże pięknie uprawianej dziś kolektywizacji spraw ducha, widzenia faktów, zjawisk, symboliki i emocji. Protagoras robi się nieaktualny, bo to kolektywizowana opinia staje się miarą wszechrzeczy i kropka.

Zerkając na cztery zegarki, zauważyliśmy, że najroztropniej będzie nam na zegarki nie patrzeć. I co? Co ustaliliśmy? Która godzina? Wedle naszego doświadczenia życiowego byliśmy pewni jednego, że jest wieczór i tyle. Że jest ciemno, i że pada. Włączyliśmy zatem radio, w którym usłyszeliśmy krzepkie zapewnienie Gospodarza, że mamy poranek, że oto nastał wspólny, nowy, słoneczny dzień, co przyjęliśmy do wiadomości. Zamiast życzyć domownikom dobrej nocy, powiedzieliśmy dzień dobry, zamiast jeść kolację, zjedliśmy śniadanie, ogoliliśmy się i włożywszy garnitur, dziarsko wyszliśmy do biura. Ku naszemu zdumieniu biurowiec był pełen kolektywizowanych, wypoczętych, dziarskich właśnie i bardzo chętnych do pracy ludzi, którzy zabierali się z zapalem do roboty w przekonaniu, że jako rzekł Gospodarz, świat uwierzył i uwierzy teraz w każdą naszą wersję, że wygraliśmy do zera, żeśmy strzelili światu sto goli, że jest zaiste ranek, a nie spleśniały wieczór, że sukces goni sukces i że to on jest zegarkiem. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ





nr 3 (3562)/18 14,90 zł (w tym VAT 8%)



**KUPŻE TEN PRZEKRÓJ,
KSIAŻĘ CI POWIADA!...**

Hamlet, akt VI, scena II



zdjęcie: Elina Brotherus

W KIOSKACH!

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA WWW.PRZEKROJ.PL

ZYWIÓŁY

REKLAMA

WŚRÓD
OBRAZÓW
Z KOLEKCJI
GRAŻYNY
I
JACKA
ŁOZOWSKICH



I MASKI

22.06.2018

—

07.10.2018

kurator
Bogusław Deptuła

Wystawa czynna
22.06.2018 – 07.10.2018
(do 2 września galeria otwarta codziennie
w godz. 11.00–20.00,
od 4 września galeria otwarta
wt.-nd. 11.00–19.00)

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
Pl. Zdrojowy 2, 81-720 Sopot

Artyści:

OLGA BOZNAŃSKA, JAN CYBIS,
KSAWERY DUNIKOWSKI, JULIAN FAŁAT,
ALEKSANDER GIERYMSKI, ALFONS KARPIŃSKI,
TADEUSZ MAKOWSKI, JACEK MALCZEWSKI,
JAN STANISŁAWSKI, ZOFIA STRYJEŃSKA,
WŁADYSŁAW ŚLEWIŃSKI, LEON WYCZÓŁKOWSKI,
STANISŁAW WYSPIAŃSKI I INNI.

Jacek Malczewski, *Ślepy faun*, 1910, olej tektura, 65 × 81 cm

Zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Sopotu

Patroni medialni wystawy:

Radio Gdańsk

inyou pocket
ESSENTIAL CITY GUIDES

trojmiasto.pl

!Bona-fide
pomorskie

prestiz
GDAŃSK

Sopot

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI
PL-81-720 Sopot, PLAC ZDROJOWY 2, tel. (+48 58) 331 86 21, fax (+48 58) 331 86 32, MP 585-022-08-52, REGON 140627787